

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/483

1987



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. SZRETT : **ANTYPOLONIZM**

W. CHARŁAMP : **DZIENNIK ZEWNĘTRZNY**

K. GAWLIKOWSKI : **CHINY A "STARSZY BRAT"**

M. DZIEWIĘCKA :

POLONIA POŁUDNIOWO-AFRYKAŃSKA

SPIS RZECZY

Józef Szrett:	<i>Antypolonizm</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	13
WIERSZE		
Bertolt Brecht:	<i>„Rezolucja” (z „Dni Komuny”)</i>	26
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Krzysztof Gawlikowski:	<i>Chiny a „Starszy Brat”</i>	28
Ernest Skalski:	<i>Reforma</i>	40
Wiktor Grotowicz:	<i>„Watergate” po niemiecku</i>	51
K R A J		
Witold Charłamp: (ja):	<i>Dziennik zewnętrzny</i>	55
	<i>Notatki z Polski</i>	62
SPRAWY I TROSKI		
Małgorzata Dziewięcka:	<i>Najnowsza Polonia południowo-afrykańska</i>	71
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	91
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	97
Józef Darski:	<i>Kronika ukraińska</i>	100
E. Zagiell:	<i>Kronika litewska</i>	105
KRONIKA KULTURALNA		
Józef Wojciech Gadomski:	<i>Fundacja Humboldta — udział Polaków</i>	109
Józef Czapski:	<i>Ostatni kapista</i>	120
CI, CO ODESZLI		
Michał Heller:	<i>Pamięci przyjaciela</i>	123
KSIĄŻKI		
Mikołaj Ruskowski:	<i>Nowości literatury krajowej</i>	126
Alicja Iwańska:	<i>Polscy socjologowie po angielsku</i>	140
Tadeusz Wyrwa:	<i>Polacy w Australii i Oceanii w latach 1890-1940</i>	142
—	<i>Nadstawane nowości wydawnicze</i>	144
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kronika kanadyjska</i>	148
◆		
Prof. R. Bender, Ks. A. Boniecki, A. Chałubińska, P. Chruszczyński, R. Heith, L. Dudarew-Ossetyński, J. Kaczmarek, R. Krynicki, K. Łukomski, T. Mianowicz, M. A. Rudzki:	<i>Listy do Redakcji</i>	153
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	160
◆		
—	<i>Indeks Autorów i tematów „Kultury” za rok 1987</i>	161

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień - Décembre 1987

INSTYTUT  LITERACKI

**REDAKCJA « KULTURY » SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE**

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA), po raz 65-ty — \$ 100,00	F. 562,00
Dla uczczenia pięknego życia dr med. Reli Baczko, bez reszty poświęconego innym — przyjaciółka ze Sztokholmu	F. 100,00
Ryszard Głódkowski, Lay-Saint-Christophe (Francja), po raz 24-ty	F. 200,00
Adam Gruszecki, Zurych	F. 35,54
J. K. Jordanowski, Elizabeth, NJ (USA), po raz 5-ty — \$ 23,00	F. 131,00
Ewa Morawska, Philadelphia, PA (USA) — pamięci Meża Casimira Borkowskiego, zmarłego 6 maja 1987 — \$ 50,00 ..	F. 270,00
Edward Mróz, Menlo Park, CA (USA) — \$ 25,00	F. 135,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada) — za miesiące listopad i grudzień 1987 r., po raz 24-ty — \$ 200,00	F. 140,00
François Prause, Thailande, po raz 29-ty	F. 100,00
Wojciech Skalmowski, Bruksela — zamiast kwiatów na grób śp. prof. Krystyny Pomorskiej-Jakobson, w pierwszą rocznicę Jej śmierci	F. 200,00
Andrzej Skórka, Lyon (Francja) — zamiast kwiatów na grób zmarłego 20 lipca 1987 r. Bogumiła Studzińskiego — wspamiętanie człowieka i wielkiego patrioty	F. 100,00
Wanda Trzos, Etobicoke, ON (Kanada), po raz 10-ty	F. 87,51
Edda Werfel, Wiedeń, po raz 8-my	F. 250,00
Jan Woźniak, Londyn, po raz 24-ty — £ 10,00	F. 90,50
Zamiast kwiatów na grób Igora Newerlego — grupa przyjaciół i czytelników z Toronto (nadesłała Maria Topperman) ..	F. 450,25

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

A.A. — NYC — \$ 40,00; Małgorzata i Paweł Nassalscy, NYC — \$ 25,00 — razem: \$ 65,00	F. 363,00
Lucyna Baczko-Cora — zamiast kwiatów na grób dr Aurelii Baczko	F. 200,00
Janina B., Szwajcaria — na „Solidarność Walczącą” — \$ 25,00	F. 143,00
Kanberskie T-wo b. Działaczy „Solidarności” — na Fundusz Wydawniczy Regionu Śląsko-Dąbrowskiego „Solidarności” — w tym z przeznaczeniem \$ c. 200,00 dla ponownie ukazującego się w Hucie „Katowice” Wolnego Związkowca (nadesłał przewodniczący Roman Wakieć) — razem: \$ A. 600,00	F. 2.485,86
Polish-Canadian Action Group, Toronto, ON — na „Solidarność” — w Polsce (nadesłała Z. Rozwadowska — sekretarz) — \$ US 751,65	F. 4.276,00
Tatiana z Lozanny — na „Solidarność Walczącą” — Frs 50,00	F. 200,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” w Winnipegu, MB, (Kanada) (Friends of Solidarity) — \$ c. 383,00	F. 1.715,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 176)

Antypolonizm

Dlaczego artykuł Błońskiego o biednym chrześcijaninie partrzącym na getto (*Tygodnik Powszechny* z 11 stycznia 1987) narobił tyle szumu, odbił się takim echem, rozniecił tyle resentymentów? Zewsząd posypało się moc złotych, srebrnych i plastikowych myśli, tak że kiedy redakcja, po opublikowaniu kilku spokojniejszych wypowiedzi polemicznych, postanowiła dyskusję zamknąć, rozległ się narodowy pomruk niezadowolenia. A byli i tacy, którzy poczuli się obrażeni, że nie opublikowano ich dywagacji i rąco pobiegli z nimi do prasy reżymowej, która się taką gratką ogromnie ucieszyła, bo i katolikom i Żydom udało się naraz „dolożyć”.

Więc co się za tym całym hałasem kryje? Czy jest to po prostu polska odmiana antysemityzmu, o wiele mniej krwawa od sąsiedzkich, ale tak całkiem to znów nie bezkrwawa, a z całą pewnością dosyć antypatyczna, by w głowę zachodzić, jak to możliwe, by po hitlerowskim *Endlösung* mogło to jeszcze trwać? Oczywiście — jest jeszcze świeża pamięć udziału Żydów w „budowaniu socjalizmu”, i to szczególnie w dziedzinie terroru (co starał się wykorzystać zdychający już niesławnie „Grunwald”). Oczywiście — istnieje jeszcze w starszej generacji tradycja ONR-u i inne niesławne tradycje (przedwojenny polski katolicyzm ma tu sporo na sumieniu). Ale echo tych resentymentów da się, choć już rzadko, wykryć w młodym pokoleniu, to znaczy w tym, co już „prawdziwego Żyda” nie widziało w naturze, a co najwyżej w filmie (ogromne powodzenie „Skrzypka na dachu” i to nie tylko z uwagi na ładną muzykę, potwierdza powszechność zainteresowania obiektywnego).

Nie o antysemityzmie jednak będzie ten artykuł, ale o zjawisku będącym jego przeciwieństwem, albo właśnie podobieństwem. Chodziło więc na razie tylko o to, aby o zjawisku antysemityzmu

nie zapominać. I tylko jedno pytanie nie tyle retoryczne co semantyczne: dlaczego właśnie antysemityzm? Kto to wymyślił? Żydzi czy ich wrogowie?

Przecież to pojęcie etniczne pokrywa ogromne obszary i nieprzeliczone miliony ludów należących do grupy semickiej. Przede wszystkim Arabowie to Semici, a „antysemityzm” wśród nich właśnie rozkrzewia się obecnie najliczniej. Może należałoby mówić o antyizraelityzmie, gdyby nie to, że początki zjawiska i jego najdrastyczniejsze przejawy rozgrywały się na obszarach geograficznie odległych od tego, na którym istnieje dziś państwo o tej nazwie. Wielowiekowa egzystencja w diasporze sprawiła, że jakby zatarła się tożsamość nazwy narodu, przekształcana przez języki ludów, wśród których Żydom przyszło bytować. W polskim języku „Żyd” brzmi właściwie — „jewrej” jest obelgą. U Rosjan akurat odwrotnie. Więc nawet antyżydowość nie wydaje się terminem właściwym. Pozostać trzeba przy antysemityzmie, rozumiejąc jednocześnie całą tę terminologiczną nieprawidłowość.

Teza postawowa tego artykułu brzmi: Polacy nie są na świecie lubiani, a w naszym stuleciu można już nawet mówić o antypolonizmie. Oczywiście tradycji tego sporu i nie tylko absurdalnych, jak u Jarry'ego, ale i realnych, co potwierdza piśmiennictwo wielu innych narodów. Niedawno ukazał się przekład relacji chrześcijańskiego Araba z Aleppo z jego podróży do Moskwy. Ile ten pobożny niewątpliwie ortodoks inwektyw na naszych przodków wysypał! Mój Boże — jest nawet *passus*, że Turcy są lepsi od Polaków, ściągają bowiem tylko haracz od chrześcijan, nie wtrącając się do spraw ich religii, a Polacy mordują prawdziwych chrześcijan (chodzi o prawosławnych i — oczywiście — o wojnę z Chmielnickim).

Część rodaków zapewne się oburzy i z jednej strony licytować zacznie nasze zasługi dla innych narodów oraz potrząsać sztandarem „Za naszą wolność i waszą”, z drugiej wyliczać zacznie argumenty świadczące przeciwko tejże tezie. Oczywiście — zwłaszcza tej drugiej „listy” zapomnieć nie można: tylekroć różni ludzie, różne narody czy państwa pomagały nam zupełnie bezinteresownie! Chociażby ostatnia, jakże podnosząca na duchu akcja pomocy w dobie „Solidarności” i „wojny jaruzelskiej”. Fakt to bowiem bezsporny: mamy też sporo przyjaciół, a chwilami nawet się nas podziwia, że waleczni, że wolność kochający, że gościnni i z sercem na talerzu. Ale liczba przyjaciół nie przewyższa, niestety, liczby niechętnych, a zwłaszcza wrogów.

Największe zagrożenie niechęcią czy wręcz nienawiścią stwarza

sąsiedztwo. Stara jak świat reguła sprawdzała się dotychczas prawie zawsze, alianse zaś były tylko faktu tego potwierdzeniem. I znów wiek XX, przy wszystkich swych wynaturzeniach, przy całym balaście niespełnionych marzeń, przynosi też zjawiska pozytywne — unia wiążąca nie tylko gospodarczo Wspólny Rynek, a przede wszystkim zaniknięcie palących kontrowersji terytorialnych, ukazują te perspektywy przyszłości, które radują Kandydów.

Polacy mają dziś dwa główne sąsiedztwa (do 1918 istniało trzecie — austriacko-habsburskie). Sąsiedztwa tym groźniejsze, że liczebnie przytłaczające: Niemców i Rosjan. Na różnicę zachodzącą dziś pomiędzy tymi sąsiedztwami wskazywano przed kilku laty w artykule „Dolina między górami” (*Kultura* nr 1-2/1984) nie warto więc powtarzać rzeczy oczywistych.

Cechą wspólną nienawiści sąsiedzkiej Niemców i Rosjan jest przede wszystkim ta, która wynika z poczucia krzywdy dokonanej. Ale to tylko ramowe podobieństwo: krzywda niemiecka jest historyczna i istnieje wyłącznie jako zagrożenie przez dążenie do ewentualnych rewindykacji terytorialnych. Ponadto jednak istnieje tam właśnie poczucie krzywdy własnej: wyzucia z ojcowizny. Stalin pozostawił nam okrutny spadek nienawiści... obdarowując cudzimi terytoriami, niby jako reparacje, niby jako kara za wojnę i jej zbrodnie w stosunku do Polaków. Jedyną głupotą tego przecież nieprzeciętnie sprytnego ludobójcy stała się aneksja części Prus Wschodnich: niczego nie zyskał poza nieprzedawniającym się poczuciem aneksji u Niemców. Ale oczywiście Królewiec Królewcem (czy raczej na razie Kaliningradem), a poczucie krzywdy z powodu ogromnych obszarów ziem zwanych u nas długo i bezsensownie „odzyskanymi” jest o wiele mocniejsze w stosunku do nas i nie należy go redukować do zjawiska „ziomkostw” — politycznie bez znaczenia, a wizualnie raczej groteskowych (coś w rodzaju naszych polonijnych zespołów regionalnych). O wiele groźniejsze od ziomkostw jest poczucie, u większości Niemców, że zostali skądś wypędzeni, czegoś pozbawieni przez „zmowę Słowian”.

To oczywiście nie oznacza, by należało rewidować polskie granice zachodnie, podobnie zresztą jak wschodnie. U schyłku XX wieku pojęcie *Lebensraum*'u zaczyna się przeobrażać: potęga państw przestaje opierać się na rozległości obszarów, choć to, zwążywszy tzw. skarby naturalne, ma nadal pewne znaczenie, ale znaczenie to nie staje się jednoznaczne z podbojem, zaborem i kolonizacją w zeszlowiecznym ujęciu.

W sumie więc niechęć do Polaków, rzadko zresztą manifestowana przez Niemców, ale istniejąca w świadomości narodu, ma dwa zasadnicze źródła: poczucie krzywdy własnej — wyzucia z ojcowizny, ale w jeszcze większym stopniu poczucie krzywdy dokonanej. Oba zaczynają się powoli odsuwać w cień wraz z następ-

stwem pokoleń, ale pozostaną, jako historyczny pokarm resentmentów. O innych niechęciach będzie później mowa.

Dla Rosjan, podobnie jak dla Niemców, Polacy to przede wszystkim nieprzyjemni świadkowie własnych zbrodni. Aby odnaleźć zbrodnie strony przeciwnej, muszą się — nie jak Niemcy — cofać we „wczoraj”, ale głęboko w historię. To dlatego, nie znajdując równoważni, usiłują nieraz tworzyć fikcje. Za carów miała to być niewdzięczność „Polaczyszków” za dobrodziejstwo uczestnictwa w imperium powołanym z Boskiego, jak wiadomo, ukazu. Obecnie podobnie. „Polaczyski” nadal niewdzięczne: odrzucają zasady ustroju zbudowanego na jedynej naukowej metodzie, nie chcą współtworzyć „świetlanej przyszłości”, więcej — nieprzytomnymi apelami starają się „ingerować w wewnętrzne sprawy narodu (*sic!*) radzieckiego”.

Oczywiście: jest to wykarykaturowanie sytuacji, ale tylko w ten sposób możliwe jest znalezienie jakiegokolwiek zbrodniczego działania Polaków przeciwko „świętej Rosji”, która z kolei ma wobec nich na sumieniu miliony, tak — miliony zesłanych, zamorzonych, czy po prostu rozwalonych, jak ci oficerowie w grobach masowych Katynia i innych — nieznanymi. Nienawiść rosyjska jest więc ciężka i ponura, a sporo w niej dostojewszczyzny, czyli mistycyzmu zła i właśnie mistycyzmu narodowego przeobrażonego w mit polsłannictwa.

W sumie więc: nie lubi się małego, ale zadzierzystego sąsiada, który nie chce się zgodzić ani na zaorywanie miedz, ani na łaskawość opieki proponowanej przez dużego i mocniejszego. A że historia przemocy ma w obu przypadkach bilans jednoznacznie dodatni dla tych dużych i mocnych, nienawiść zachodnia i wschodnia jest dla Polski czymś w rodzaju drugiego kryzysu: końca jego nie widać i remedia nieznanne. Chyba, że uwierzymy nestorom bułeczkowo-rzemieślniczego odrodzenia, Kisielowi i Wierzbickiemu. Nie na wierze wszelako opiera się polityka — i ta międzynarodowa i ta wewnętrzna. To nestorom i narodowi ku pamięci!

Niedobrze jest być małym w otoczeniu dużych, słabym w pobliżu osiłek. Ale nie jest aż tak wielką radością być mocnym wobec słabszych, czy choćby równorzędnych. Polacy bowiem, zresztą każdy naród, a często właśnie niezbyt liczny i niezbyt znaczny, mają wielkie o sobie wyobrażenie i — co jeszcze gorsze — roszczą sobie prawa do rządzenia innymi. Jak wiadomo, mamy tylko jednego naprawdę zaprzyjaźnionego narodowego sąsiada, skończyliśmy bowiem nasze z Węgrami zatargi przegoniwszy w XVII wieku z naszych ziem Rakoczego. To strasznie mało, zważywszy ile mamy bezpośrednich i niezupełnie bezpośrednich sąsiadów. W większości są to narody licznie lub ekonomicznie

od nas słabsze, z wyjątkiem Ukraińców, którzy mogą stanowić polityczną potęgę, gdyby uzyskali niepodległość i możliwość swobodnego rozwoju. I nie jest pociechą, że ten duży, ale wciąż jeszcze słaby politycznie sąsiad jest dla Rosjan niebezpieczny, jest bowiem niebezpieczny i dla nas.

Nie chodzi jednak ani o liczby kilometrów kwadratowych, ani o miliony przyznające się do swojego języka (bo to jednak sprawdzian w stosunku do nacji częściowo zrusyfikowanych, jak Ukraińcy czy Białorusini). Chodzi o to, że wzajemne animozje z bezpośrednimi sąsiadami „mniejszymi” (to termin umowny) opierają się nie tylko na tych elementach, które w takich sytuacjach występują zawsze, ale także na tych, które są specyfiką naszego środkowoeuropejskiego zaścianka.

Chodzi właśnie o polskie mity posłannicze, o nadrzędność bez pokrycia, o mocarstwowe mrzonki, wyrosłe na żywym choć zdradliwym podglebiu historii. „Polska od morza do morza” jest czymś absolutnie niestrawnym ani dla tych, którzy niegdyś wchodzili w skład Rzeczypospolitej Obojga Narodów (Litwini, Białorusini, Ukraińcy), ani dla tych, którzy tego zaprzeszczonego *Commonwealth*'u nie tworzyli (Czesi, Słowacy, Rumuni).

Kiedyś opowiadał ktoś, jak w czasie rozmowy z Rosjaninem, gdy — zapytany — podał swe nazwisko kończące się na „ski”, rozmówca mruknął, nie wiedząc jakim właściwie tonem: „Znaczy, pan”.

W 1945 roku „wyzwoliciele” często używali dziwacznej formy, łącząc owo „pan” z „tykaniem”: „Pan, daj pakuszat”.

Polak równa się pan. Hm! Nie jest dostatecznym uzasadnieniem fakt, że mieliśmy najliczniejszy bodaj w Europie stan szlachecki, bo i Węgrzy w tym względzie niewiele od nas odstawali. Bojarów też było w Rosji mrowie. Tyle, że Polak, wszystko jedno czy był rzeczywiście szlachcicem, czy tylko się pod szlachectwo podszywał, puszyć się lubił i „okazywać”. A już szczególnie w stosunku do obcych. I gdy z jednej strony występowała w stosunku do zagranicznych „starszych” braci swego rodzaju służalczość, w stosunku do „młodszych” znamienne było to narodowo-stanowe puszenie się i wywyższanie. Czesi to muzykanci, Rumuni — Cyganie, Ukraińcy — prymitywni Kozacy, Białorusini — ciemne, zabobonne chłopcy, a Litwini — po borach siedząc i z niedźwiedziami się zadając, ich cechy przejęli. I to samo wobec innych nacji stanowiących diasporowe mniejszości. W tym Żydom szczególnie dużo się dostawało, bo to „oni Chrystusa ukrzyżowali”.

I cóż stąd, że owa pycha w stosunku do narodu wybranego podszyta była w gruncie rzeczy sympatią. „Nasze Żydki” — czyta się nieraz w dawniejszej literaturze. Ale te „Żydki” wcale nie

chciały być „naszymi” i wobec papuzich Polaków odczuwali mniej więcej to, co zubożały arystokrata odczuwa wobec życzliwego mu nawet, lecz zupełnie nieobytego dorobkiewicza.

Naszym hobby są prześmiewki z innych, zwłaszcza słowiańskich języków. Cecha w gruncie rzeczy niewinna, ale też złoścząca — czyżby bowiem nasz chrześzczący, skrzypiący i rozślizgany język miał być wzorem piękności i dystynkcji?

Wobec „mniejszych” sąsiadów stosowaliśmy więc — i to od wieków — takie fomy i takie poklepywania, iż tak bardzo znów nie można się dziwić ich wyraźnej, nieraz szczególnie przykrej, niechęci. To, czym nas Stalin „obdarzył” w 1945 roku czyli „dobrodziejstwo” obszarów, skąd zostało wypędzonych kilka milionów urodzonych tu i zakorzenionych mieszkańców, wcześniej jeszcze sami sobie zwaliliśmy na głowę. Nie zaprzeczając potędze wizji Piłsudskiego, anachroniczna była ona właśnie w dziedzinie narodowościowej polityki wewnętrznej: przeciwstawiała bowiem wspaniałą, jagiellońską wizję federacyjną aspiracjom, które zrodziły się w XIX-wiecznych renesansach narodów bez państw. Anachronizm „Dziadka” zakładał bowiem, że wizja będzie piękna i dla innych „unijnych” narodów, ale właśnie dla nich wcale piękna nie była, zakładała bowiem kontynuację prymatu jednego — tyle że innego niż rosyjski — narodu. Jakże trafnie i o ileż nowocześniej postępował Lenin, mając owe aspiracje „samostanowieniem”. Wiadomo, co z tego wyszło w sowieckiej praktyce, ale okazuje się też, jak bardzo chwytny jest w stosunkach międzyludzkich slogan. Myśmy (a to znaczy: nasi ojcowie i dziadkowie) wybierali slogany z lamusa; siłą ząbkującego sowietyzmu było tworzenie nowych. I dlatego fascynacja „państwem robotników i chłopów” była tak długa, wbrew alarmującym wieściom z codzienności tego „raju”.

Federacja, unia — to wciąż jeszcze określenia bez oddźwięku w Europie środkowej, gdzie rozrodzona familia dużych i małych narodów hoduje nieustannie marzenia o własnym, naprawdę własnym państwie. I tylko owa „własność” może w przyszłości przynieść owoce, nie tyle zresztą unijne, co uniwersalizujące „Europe ojczyzn” na wzór EWG. I to uniwersalizowanie dlatego właśnie jest solą w oku sowieckiej propagandy, że zakłada na pierwszym miejscu „samostanowienie” rzeczywiste, a na drugim — zjednoczenie wedle interesu, a nie ideologii. Gdyby więc wierzyć owej propagandzie, EWG dawno już powinna była rozlecieć się, a przede wszystkim umrzeć z nędzy na własnym rumowisku bezrobocia i depresji. Że jest inaczej? Swoistą „siłą” sowieckiej propagandy jest całkowite lekceważenie faktów. W tym przynajmniej zachowała ona wierność „heglizmowi postawionemu na nogach”.

Powracajmy do antypolonizmu. Zazwyczaj uczucia zbiorowe wobec innej zbiorowości słabną wprost proporcjonalnie do dzielącej je geograficznej odległości. I tu dochodzimy do zjawiska, które zaczyna być niepokojące: antypolonizm rozciąga się bowiem znacznie szerzej niżby — teoretycznie — mogły go zakreślić strefy sąsiedztw. Dla tych ostatnich podjęliśmy próbę zobaczenia odwrotnej perspektywy, a więc — o co mają lub mogą mieć pretensje sąsiedzi. Dla tych drugich, które mają charakter przerzutów, wyjaśnienia nie są już tak proste.

Można by zaryzykować twierdzenie, że antypolonizm jako przerzut ma związek z diasporami emigracyjnymi naszych najbliższych sąsiadów. To prawdopodobne. Nadspodziewanie jest bowiem mocna dziedziczność resentmentów. Bardzo trudno odmierzyć i ocenić, czyj antypolonizm jest najmocniejszy. Obawiać się można, że jednak żydowski, a dopiero w następnej kolejności znajdować się będą te inne: niemieckie, ukraińskie czy rosyjskie. Z tego trzeba sobie zdawać sprawę, że podobnie absurdalny, nie oparty na bieżącej sytuacji lecz na dziedzicznych zabobonach, polski antysemityzm znajduje swe zwierciadlane odbicie w żydowskim antypolonizmie. Znamiona są podobne, szkodliwość ta sama.

Powie ktoś: a co mnie obchodzi, czy nas Żydzi nienawidzą, czy nie? Oczywiście będzie to wyraz indywidualnej głupoty, solidarność bowiem żydowska i wpływ żydowskich lobby nie tylko na opinie o Polakach, ale i na pociągnięcia polityczne, jest w świecie zachodnim ogromny. Nie jest w naszym interesie mieć tak wpływowych wrogów, a przynajmniej niechętnych nam ludzi w decyzyjnych ośrodkach. I mniej może ważne pragmatycznie, ale też ważne: po co to złe dziedzictwo po stuleciach w zasadzie dobrej koegzystencji?

I znów ktoś wtrąci: Żydzi, Ukraińcy i inne mniejszości tyle nam przecież zawdzięczają, ale wiadomo — z osobistego już doświadczenia — jak niechętnie przyjmuje się wspomnienia, a już szczególnie wypominanie dobrodziejstw. A zarazem jest tak, że długotrwałość koegzystencji rodzi zawsze wzajemne dobrodziejstwa. I tak było właśnie w przypadkach owych wspólnych dziejów, ci zaś, którzy z nich potrafią wyciągać i publicznie demonstrować tylko rzeczy złe i czarne, działają świadomie lub (ale o wiele rzadziej) nieświadomie na rzecz niechęci lub nienawiści do innego narodu.

Żydzi, tyle stuleci opierający swą taktykę przeżycia na nieasymlacji w rozmaitych narodowych diasporach, więc posługujący się, niczym sygnałem ostrzegawczym, hasłem antysemityzmu, powinni jednak pamiętać o tym, że są różne antynacjonalizmy, że np. turecki „antyormianizm”, czy obecny cejlński „antytamizm” są bardzo podobnej konsystencji, która w skali etyki spo-

łecznej po prostu cuchnie nieuzasadnioną bowiem skierowaną przeciwko zbiorowości nienawiścią.

Tu jeszcze jedna ogólna dygresja. Tak — każdy przejaw antynarodowej nienawiści jest społecznie zbrodniczy. Ale i to jest prawdą, że poszczególne narody mają — jak ludzkie jednostki — swoje szczególne cechy charakterologiczne. Tylko że właśnie pomiędzy jednostkowym a zbiorowym charakterem zachodzi podstawa różnica: o ile pierwszy może być osądzony wedle określonych norm etycznych czy prawnych, drugi takim osądom się nie poddaje. Po pierwsze nie poddaje się dlatego, że jest nadmiernie złożony, a więc skomplikowany i niejednoznaczny. Po drugie, ponieważ cechy, które dałoby się określić jako negatywne, znajdują zawsze przeciwwagę w pozytywnych. Po trzecie, ponieważ nie ma i chyba być nie może instytucji ponadnarodowej, która mogłaby za „charakter narodowy” karać czy nagradzać. Można wprawdzie założyć, że w jakimś stopniu odpowiedzialnymi za „cechy narodowe” są przedstawiciele władzy, którzy w politycznej działalności pewne elementy tych cech szczególnie wyolbrzymili. Proces norymberski miał być w jakiejś mierze próbą osądzenia narodu na jego konkretnym historycznym etapie, poprzez osądzenie przywódców. Eksperyment uległ autokompromitacji z uwagi na to, że alianci dopuścili do trybunału sądzącego za ludobójstwo sprzymierzonych z nimi ówczesnie innych ludobójców. W efekcie więc był to jeszcze jeden wyrok po prostu zwycięzców nad zwycięzonymi!

Jakże więc pogodzić tę pozorną sprzeczność? Bardzo zwyczajnie: żadnego narodu nie wolno oskarżać, potępiać czy działać na jego szkodę przyjmując za przesłankę jego złożoną „gorszość”, wynikającą jakoby z owych cech. Można i nawet trzeba potępiać, a nawet „mieszać się w wewnętrzne sprawy państwa” będącego reprezentacją danego narodu (czy narodów), jeśli nastąpi konkretyzacja pewnych złych cech w jego działaniu politycznym. I to nie tylko w działaniu zewnętrznym, ale i wewnętrznym, kiedy to zaczyna ono w obrębie swych granic uprawiać ludobójstwo, obojętne czy z uzasadnień „klasowych” czy „rasowych”. W sumie to na jedno wychodzi i obowiązkiem innych państw jest właśnie ingerowanie w wewnętrzne sprawy takiego „złego” państwa, aż do jego zniszczenia w sensie ustroju, który ową polityczną konkretyzację cech negatywnych zrealizował.

Natomiast nigdy nie wolno potępiać *żadnego* narodu za jakies przypisywane mu złe cechy, ponieważ, jako zbiór jednostek, nie posiada on jednak charakteru jednostkowego, ale złożony charakter zbiorowy, w którym zawsze cechom ujemnym da się przeciwstawić cechy pozytywne. A ponadto w perspektywie dziejowej istnieje zmienność i miał rację stary Taine, obserwując zbiór

owych cech z perspektywy nie tylko „rasy”, ale ponadto środowiska i momentu (czyli czasu). Najwięksi niegdyś (za Wikingów czy w dobie wojny 30-letniej) rabusie Europy — Skandynawowie to dziś „gołąbki pokoju” (*nota bene* czasem nazbyt gołąbko potulne), niegdyś tchórzliwi i bojący się jakoby wszelkiej broni Żydzi we własnym odtworzonym państwie dali wspaniały pokaz umiejętności wojowania. Można to obserwować w znacznie krótszych perspektywach, np. na Francuzach XX wieku: przecież inni byli oni w latach pierwszej wojny światowej, a inni w okresie drugiej. *Les poilus* przeobrazili się w ciągu 20 lat w *les cocus*.

Nie wydaje się, że nawet gdybyśmy przyznali rację absurdalnym tezom, że są narody wyższe i niższe, mądrzejsze czy głupsze, zbrodnicze czy dobrodziejsze, aby należało Polaków umieszczać po złej stronie, a nie po dobrej. Wyliczone poprzednio cechy nie miały na celu dezawuowania rodaków, ale starały się wskazać na te — rzeczywiste zresztą — cechy naszego narodu, które oddziałują w oczach obcych na naszą niekorzyść, zwłaszcza że w ich konsekwencji powstają dalsze jeszcze negatywne konsekwencje. Wręcz przeciwnie; obserwując rzecz całą maksymalnie obiektywnie (to znaczy pomimo przynależności do inkryminowanej nacji), można dojść do wniosku, iż Polacy posiadają cechy pozwalające ich powszechnie kochać, a przynajmniej lubić.

Tak jednak nie jest, a rodacy w swej większości nie zdają sobie z tego sprawy. Przekonani o powszechnej przyjaźni, a może nawet podziwie („przecieżemy się synowie Kościuszki, niezłomni w umiłowaniu wolności!”), gdy natrafiają na mur obojętności lub wręcz niechęci, stają zdumieni i zaraz zaczynają snuć prywatne spiskowe historiozofie.

Wydało się więc pożyteczne zwrócić uwagę na zjawisko, którego chyba jeszcze nikt nie nazwał, choć na poszczególne objawy uwagi już wielokrotnie zwracano.

Cóż więc mają w nakreślonej tu sytuacji czynić nasi rodacy? Po pierwsze — być świadomymi zjawiska i nie poddawać się błogim złudzeniom, płynącym stąd, że mamy wielu i prawdziwych przyjaciół pośród innych narodów. Po drugie — wyciągać stąd właściwe wnioski i zaprzestać tej narodowej tromtadacji, której objawy ostatnio jakby się nasilały. Duch endeckości szybuje nad kiepsko uprawianymi i zatrutymi rozłogami ojczyzny i co raz przypomina się wieszcz z jego wierszem o tamtych — sprzed półtora stulecia — rodakach, co szli wołając „Polska, Polska”. Po trzecie — zastosować, gdy to potrzebne, żydowską taktykę wczesnego i szybkiego reagowania. Powinniśmy sygnalizować wszelki antypolonizm, zanim jeszcze rozwinię on skrzydła.

Tylko, na miłość Boską, nie róbmy tego na zasadzie odwetowej, nie bluzgajmy wzajem antyniemieckością, antyrosyjskością,

antysemityzmem czy jakimkolwiek innym antynacjonalizmem. Przerosty nacjonalizmu trzeba zwalczać zarówno u obcych, jak i pod własną strzechą. Czym zaś jest, a czym nie jest patriotyzm dostatecznie jasno wyłożył przed kilku laty Jan Józef Lipski, by należało do tych spraw powracać.

Jednym słowem: krzyczymy, gdy zajdzie tego potrzeba: „precz z antypolonizmem”, ale przestańmy wreszcie krzyczyć szeptem: „precz z Żydami” czy „precz z Ruskimi”.

Józef SZRETT

Pogląd

Dwutygodnik społeczno-polityczny „Towarzystwa Solidarność” e.V.
Ukazuje się w Berlinie Zachodnim od 17 stycznia 1982 r.

PUBLICYSTYKA ■ WYWIADY ■ RECENZJE
■ KRONIKA AKTUALNYCH WYDARZEŃ W KRAJU I NA ŚWIECIE ■ PRZEDRUKI Z PODZIEMNEJ PRASY KRAJOWEJ

Cena pojedynczego egzemplarza w RFN DM 6,-. Ceny prenumerat w poszczególnych krajach podane są w każdym numerze „Poglądu”. Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji — „Pogląd”, Postfach 62 02 24, D-1000 Berlin 62. Telefon 030/782 93 84.

LIPERT GALLERY

147, Milton Street, Brooklyn, New York 11222, USA
Tel.: 718 383 4429

Obrazy wybitnych polskich malarzy na sprzedaż: Michałowski, Orłowski, W. Kossak, Pankiewicz, Wyczółkowski, J. Malczewski, Waliszewski, Tarankiewicz, Rudzka-Cybis, J. Cybis, Muter, L. Gottlieb, Eleszkiewicz, Tukan-Wolski oraz inni.

Duży wybór starych polskich rycin i map.

Nasza następna aukcja: listopad 1987 — stare polskie obrazy, ryciny, mapy, antyki, monety oraz książki. Katalog na żądanie.

Z. Michael LEGUTKO — właściciel

RÓWNIEŻ KUPUJEMY DZIEŁA POLSKIEJ SZTUKI.

Dziennik pisany nocą

Umbria, 20-26 lipca 1987

Znowu Umbria, najpiękniejszy (dla mnie) rejon Włoch, w moich włoskich wędrówkach kąpiel ożywcza. Za każdym razem, niezawodnie. Od Orvieto, w którym kocham się od dawna razem z Herbertem, do umbryjsko-toskańskiej Cortony, w której tak pragnął pożyć na starość i umrzeć Wittlin. W środku Asyż, Gubbio, Todi, Perugia, Spoleto. *Umbria dolce*, nazywają ją jedni. *Terra mistica*, mówią o niej inni. *Salve Umbria verde*, witał ją w znanym wierszu Carducci.

Tym razem itinerarium jest skromne, związane z kilkudniowym pobytem w nieznanym mi dotąd miasteczku Bevagna, gdzie Siostry Benedyktynki prowadzą przyklasztorny pensjonat. Bevagna leży w odległości ośmiu kilometrów od Foligno. Omijałem dotychczas Foligno, odpychany przez niezbyt przyjemne wspomnienie wojenne. A Goethe spędził zaledwie pół dnia w Asyżu (nie zajrzawszy do Bazyliki Świętego Franciszka), tak mu było śpieszno do Foligno. Doskonały to dziś punkt wypadowy dla wędrowców, nie posiadających samochodu: częste pociągi dowożą szybko do Asyżu, do Spoleto, do Perugia.

No i plac, wielki plac, który w zeszcpeconym przez nowoczesne budownictwo mieście opalizuje jak perła w tandetnej oprawie. Pusty w porze obiadowej, wymieciony z ludzi i nawet z gołębi. Można, zapominając o upale, długo dreptać tam i nazad koło zamkniętej katedry, wspaniałego skrzyżowania masywności frontonu z lekkością rozet i kolumnienek ornamentacyjnych. Tutaj, obwieszca tablica na ścianie katedry, w roku 1206 młody syn asyjskiego kupca, późniejszy Święty Franciszek, „postawił pierwszy krok swego życia ewangelicznego, sprzedając posiadane towary i konia, aby za otrzymane pieniądze odrestaurować kościół Świę-

tego Damiana w pobliżu Asyżu". Naprzeciw, w miejskim pałacu, bibliofil Orfini ofiarował światu w roku 1472 pierwsze drukowane egzemplarze *Boskiej Komedi*.

Bevagna, rzymska Mevagna z zachowaną jeszcze kolumną rzymską i rzymskimi mozaikami fauny morskiej, jest cudem zminiaturyzowanym. Choć mały, jej plac ma prawo figurować w pierwszym rzędzie sławnych placów w sławnych miastach umbryjskich. Dwa kościoły romańskie, katedralny Świętego Michała Archanioła i mniejszy Świętego Sylwestra, zdumiewają architekturą ciężką, celowo mroczną w nawach wytyczonych zwalistymi kolumnami, z długimi schodami które prowadzą do ołtarza. Śliczna fontanna jest centrum placu, jak również ośrodkiem życia towarzyskiego w Bevagni (wieczorem). Przed zachodem słońca z krążanku klasztornego u Sióstr Benedyktynek widać „zieloną Umbrię” Carducciego, Umbrię pól i winnic. Ale nie tak ostatnio zieloną, bo do krajobrazu wdarły się od pewnego czasu rozległe płaty upraw słonecznikowych. Mnie w Umbrii nie przestaje nigdy zachwycać złotawa szarość kamienia. Ta sama w pejzażu i w budownictwie, jakby między przyrodą i człowiekiem obowiązywał z dawien dawna pakt harmonijnego współbrzmienia.

Według Auerbacha sekret powodzenia Świętego z Asyżu tkwił przede wszystkim w jego umiejętności przemawiania do „wyobraźni ludowej”, podstawą jego „potęgi spirytualnej” pozostała na zawsze umbryjska „dusza ludowa”, chociaż wśród zwolenników i admiratorów franciszkanizmu nie zabrakło później możnych tego świata: papieży, biskupów, książąt. Auerbach wymienia kilka głównych czynników, które umożliwiły Franciszkowi szybki podbój umbryjskiej „duszy ludowej”: poczucie natury bezpośrednio, poetyckie, nie alegoryczne; bardzo osobiste poszukiwanie Boga (uważa się niekiedy Świętego z Asyżu za prekursora Reformacji); obrona ubogich; widowiskowo-teatralny dar kaznodziejski (zdaniem jego współczesnych „umiał przemienić w język całe swoje ciało”); nieufność do „książkowej wiedzy”, którą „diabeł opanował i zgłębił lepiej od wszystkich ludzi”; naśladowanie Chrystusa szczere, pokorne, pełne miłości i prostoty, uwidocznione w niezliczonych, przekazywanych z ust do ust, epizodach. Świętego z ludowej legendy i z ludowych opowieści utrwalił Giotto w freskach górnej, nasłonecznionej Bazyliki.

W ciemnej Bazylice dolnej panuje niepodzielnie Święty z wizerunku Cimabue. Kruchy, mały, chorowity, o oczach bezgranicznie smutnych, utopiony w za dużym habicie brunatnym, uginający się jakby pod ciężarem złotej aureoli wokół głowy. *Poverello* opisany przez Tomasza ze Spalato, który widział go w roku 1222 podczas kazania na rynku w Bolonii: „Brudny ubiór, nędzna figura, brzydka twarz; a przecież, gdy skończył mówić, mężczyźni

i kobiety pchali się do niego, by go dotknąć, by uszczknąć skrawek okrywających go łachów”. Uosobienie pokory i *sancta obedientia*. Tego „świętego posłuszeństwa, co czyni człowieka podległym wszystkim ludziom, nie tylko ludziom, lecz również zwierzętom”. Gdzie leży prawda? Między „ludową”, bajkową prawie wizją Giotta, i dramatycznym wizerunkiem Cimabue; między światłem górnej i mrokiem dolnej Bazyliki.

Istnieje też Święty „rewolucyjny”, o czym dowiedziałem się z książeczki kupionej w Perugii. Uczona autorka zestawia dwie reguły franciszkańskie. Pierwsza, *Regula non bullata* (czyli nie opatrzona bullą papieską), pochodzi z roku 1222. Druga, *Regula bullata*, została w rok później zatwierdzona bullą papieża Honoriusza III. Z drugiej znikły dwa punkty, które Franciszek włączył do pierwszej: o odmowie wykonania rozkazu zwierzchników, jeżeli nie godzi się z sumieniem zakonnika; o pracy pospołu z innymi jako generalnej normie życia zakonu. Wolno tu dojrzeć prefigurację współczesnych zjawisk „obiekcji sumienia” i „księży robotników”?

Dragonea, 13 sierpnia

„Nie należy mieszać pisarzy z literatami. Dla literatów, jak wiadomo, jedynym tematem ważnym jest, i zawsze była, literatura. Więc muszę tu zaraz ostrzec, że w moim słowniku codziennym pisarz (czyli przede wszystkim poeta) jest przeciwieństwem literata. Więcej, jedna z możliwych ścisłych definicji pisarza byłaby dla mnie wręcz taka: *człowiek, któremu na sercu leży wszystko co się dzieje z wyjątkiem literatury*”.

To znakomita pisarka włoska Elsa Morante w pośmiertnym tomiku esejów (i jej jest podkreślenie). Ileż razy powtarzałem, z uporem maniaka, tę myśl (nie posuwając się do aż tak radykalnej „definicji”). Pisarz i literat. Garstka pisarzy i rosnące wciąż zastępy literatów. Literat pochodzi od włoskiego *letterato*, który oznaczał człowieka umiejącego „dobrze pisać” o wszystkim, co mu pod dworskie pióro podsunęli władcy i zarządcy dworu. Odżyła dziś moda na debaty o „hańbie domowej”, na kolejne radiografie „zniewolonego umysłu”, a ja po „październikowym przełomie w literaturze polskiej” napisałem szkic *Kłęska i bunt dworzanina*. Literatura, literatura, wyłącznie literatura, reszta przemija, zmienia się jak dekoracje na scenie obrotowej. Spostrzegłeś ten „chwyt” (genialny)? Doceniłeś ten „pomysł” (rewelacyjny)? Zgaga literatów strąconych z dworskiego piedestału jest prawie zawsze podszyta pretensją do całego świata, że nie oddał sprawiedliwości „dobrej (mimo wszystko) literaturze”.

Stara instytucja literata dworskiego, podbita do zenitu w epoce

systemów totalitarnych (z maksymalną naturalnością i dezynwolturą, co nie powinno dziwić, we Włoszech faszystowskich), nie jest związana jedynie z mechanizmem odgórnego „zleceniodawcy”. Myślę, że Orwellowi podobałby się „słownik codzienny” Elsy Morante. W wielu jego szkicach odzywa się nuta irytacji, niekiedy furii nasyconej swiftowskim wtriolem, w stosunku do literatów z angielskiego dobrowolnego *establishment*'u. Świętą literata jest salon literacki, poza nim rozpościerają się gęste, nieprzeniknione ciemności.

16 sierpnia

Rośnie książka, której wciąż nie ma (w takiej postaci, jaka marzy mi się od lat). Książka o życiu Mariny Cwietajewej, nie powieść, nie, skrupulatna historia rosyjskiej rodziny inteligentkiej w zamęcie rewolucji i potem, aż do naszych dni, uzupełnienie *Doktora Żiwago*. Jakie bogactwo wątków! Biali i czerwoni, emigracja, powrót do kraju. Sergiej Efron, mąż Mariny, biały oficer ewakuowany po klęsce z Krymu do Czechosłowacji. W roku 1922 Marina dostaje paszport, z córeczką Ariadną (druga córeczka Irina umarła z niedożywienia w roku 1920) wyjeżdża z Moskwy do Berlina. Lata emigracji w Czechosłowacji i we Francji. W Czechosłowacji rodzi się syn Georgij. W roku 1931 dwudziestolatnia Ariadna zbliża się pod wpływem ojca do placówek sowieckich w Paryżu i oddala od uwielbianej matki. Sergiej współpracuje w Paryżu z „organami”, jest zamieszany w zabójstwo (czy „egzekucję”) Ignacego Reissa. W roku 1937 on i Ariadna wracają do ZSSR. Marina zostaje z synem w Paryżu, żyje w nędzy bojkotowana przez emigrację rosyjską. W Moskwie Ariadna otrzymuje pracę w *Revue de Moscou*. W roku 1939 Marina z synem wraca również do kraju. Na bardzo krótko cała rodzina odnajduje się na dachu w Bolszewie pod Moskwą. Niebawem NKWD aresztuje Ariadnę (skazana na osiem lat łagrów, odsiedziała pełny wyrok) i Sergieja (rozstrzelany). Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej Marina z synem wyjeżdża, w ramach ewakuacji pisarzy, do Jełabugi nad Kamą. Odrącana czy ignorowana przez „kolegów po piórze”, popełnia tam samobójstwo. Syn zgłasza się na ochotnika do wojska i ginie na froncie. Ariadna, po zwolnieniu z łagrów, pracuje w Riazaniu. Powtórnie aresztowana w roku 1949, zostaje zesłana na dożywocie do Turuczańsk (rejon krasnojarski) na Syberii. „Zrehabilitowana” w roku 1955, poświęca resztę życia, dwadzieścia lat, gromadzeniu puścizny poetyckiej i archiwum uwielbianej znowu matki. Poeta Jurij Żiwago, poetka Marina Cwietajewa.

„Rośnie książka, której wciąż nie ma”, bo wydano za granicą

Listy z zesłania Ariadny Efron do Borisa Pasternaka, przeplatane jego rzadkimi odpowiedziami. Pasternak odgrywa w życiu Cwietajewej rolę szczególną. „Trójkorespondencja” Cwietajewa-Rilke-Pasternak odsłania romans epistolarny dwojga poetów rosyjskich. Nie zetknęli się, podziwiając wzajemnie swoją twórczość, do roku 1935, roku krótkiej wizyty Pasternaka w Paryżu z okazji międzynarodowego kongresu pisarzy. Przebieg spotkania nie przynosi Pasternakowi chluby. Poznała go wtedy również Ariadna, wychowana w kulcie jego poezji. Zbyt mało wiadomo o kontaktach Pasternaka z Mariną i Ariadną po ich powrocie do ZSSR. Z listów Pasternaka z Mariną widać, że był jej podporą (duchową i materialną) podczas sześciu lat zesłania nad Jenisejem. Żyła jego wierszami i przekładami, podejrzewam też że kochała się w nim miłością czterdziestoletniej, całkowicie osieroconej i samotnej kobiety.

Była pierwszą czytelniczką manuskryptu *Doktora Żiwago*. Należało jej się to, powieść powstała z losów podobnych do losu jej rodziny. Pasternak zachwycał się jej listami, zwłaszcza jej opisami przyrody syberyjskiej, które są czymś więcej niż rejestracją zmian niesionych przez pory roku. Ani on ani ona nie mogli oprzeć się wrażeniu, że w spojrzeniu obojga — „żiwagowskim” spojrzeniu — to co się dzieje jest częścią natury, jej praw, jej kaprysów, wywoływanych przez nią kataklizmów, burz po których muszą nastąpić przejaśnienia, a człowiekowi przypada tu w udziale jedynie wysiłek (jakże często daremny!) dochowania wierności samemu sobie, obrony sumienia, ratowania duszy.

Brodski w nekrologu Nadieжды Mandelsztam porównuje ją pięknie do „resztki wielkiego pożaru”, do „małego węgielka, który parzy gdy dotknać”. Istnieją, jak sądzę, dwie formy oporu przeciw gwałtom „nowej epoki historycznej”: „mandelsztamowski” opór kultury; „żiwagowskie” stawianie czoła naturze.

20 sierpnia

Procesja wyruszyła z Opactwa w Cava o drugiej w nocy. Na oko składała się ze stu, może stu dwudziestu osób. Noc była dość widna i duszna, oddychała jeszcze żarem sierpniowego dnia. Sierp księżycyca na niezbyt gwiazdzistym niebie przypominał zaciśnięte w dziwnym grymasie usta. W powietrzu płynęły wolno i opadały na wierzchołki drzew strzępiaste kłaki dymu po pożarze lasu na Monte Falerio.

Na czoło procesji wysunięto starych, przeważnie kobiety. Jedna z nich zdawała się wskrzeszonym modelem Boscha: jej twarz, w świetle latarni trzymanej na wysokości piersi, pokryta była dużymi brodawkami, oczy miała złe i niespokojne, nos zakrzywiony krogulczo dotykał prawie obwisłych warg. W ciszy uformowanej procesji ona tylko wykrzykiwała bezładne zdania, z powtarzającym się refrenem: *Gesù, Maria, Santi del Paradiso*. W słowo *Paradiso* wkładała gniewną euforię, brzmiało niekiedy jak warknięcie strażniczki bram Raju. Mniej więcej co piąty uczestnik procesji zaopatrzone był w latarnię. Za starymi szła gromadka bardzo młodych z niezapalonymi świecami w rękach, dalej mężczyźni i kobiety w średnim wieku.

Pierwszy etap drogi był łatwy, prowadził wyschniętym łożyskiem strumienia usianym liśćmi i igliwem, zaczęto więc wkrótce po wyruszeniu procesji śpiewać. Nie powiodły się próby śpiewania przez wszystkich jednej i tej samej pieśni pobożnej. Śpiewano ich kilka, zderzały się, naskakiwały na siebie, przeciskały się to nieśmiało to natarczywie, tworząc chóralny, wielomelodyjny krzyk. Tak posuwał się ten pochód w ciemności lasu, gruby wąż nakrapiany światełkami jak niebo nad nim gwiazdami.

Po dwóch godzinach doczołgał się do kapliczki na skalnym występie, z którego widać już morze i Monte Falerio. Procesja zatrzymała się na odpoczynek. Daleko było do brzasku, nawet w szarawej płachcie morza nie czaił się jeszcze nadchodzący dzień.

Odpoczynek trwał krótko. Niektórzy starzy uczestnicy procesji zdjęli buty, wśród nich kobieta z obrazu Boscha. Drugi etap wiódł wąską, kamienistą ścieżką na zboczu wzgórza. Tak wąską, że pochód musiał posuwać się gęsiego, rozciągnął się w przerywany sznur, a posiadacze latarni przystawali co parę kroków, aby oświetlić drogę idącym za nimi. Tak kamienistą, że stopy nie dotykały nigdzie ziemi pod sterzącymi z niej, ostrymi kamieniami. Umilkł śpiew, zamiast niego słyszano się co jakiś czas okrzyki bólu bosych uczestników procesji. Ścieżka, wysoko nad Wybrzeżem Amalfitańskim, otarła się parokrotnie o skraj przepaści, zmuszając pochód do zawiązywania na sznurze węzłów i powolnego, ostrożnego ich rozsupływania. Dniało, gdy procesja dotarła do źródła w skale, otoczonego dużym klepiskiem między drzewami. Tylko młodzi rwali się do picia. Bosi czekali cierpliwie na swoją kolej, aby skaleczone nogi podstawić pod skalny wytrysk i zatamować krew zmoczonymi w wodzie szmatami.

Trzeci i ostatni etap był co prawda wspinaniem się pod górę, lecz ścieżką ubitą i na tyle szeroką, że sznur mógł znowu stać się grubym węzłem procesji. Pogaszono latarnie, młodzi zapalili swoje świece. Rozległ się śpiew, słaby i zadyszany śpiew jednej teraz pieśni. Przy wschodzącym czerwono słońcu procesja, dobiwszy nareszcie do celu, trzykrotnie okrążyła Sanktuarium na po-

lance. Przed bramą Sanktuarium upadła na kolana stara kobieta z obrazu Boscha, wykrzykując swoje *Gesù, Maria, Santi del Paradiso*. Sanktuarium nazywa się *Avvocata*, Orędowniczka. W rejonie salernitańskim częsta to, gdzie indziej zdaje się nieużywana, nazwa. W pobliżu naszego domu znajduje się mały kościół z końca osiemnastego stulecia, pieczołowicie niedawno odnowiony, o którym okoliczni mieszkańcy mówią zawsze czułym zdrobnieniem *Avvocatella*.

23 sierpnia

Na początku stulecia Martin Buber ułożył antologię mistyków wszystkich wyznań *Spowiedzi ekstazyjne*. Borges uważał ją za jedną ze swoich podstawowych lektur. Co o wiele ciekawsze, Musil czerpał z niej pełnymi garściami w trakcie pisania *Człowieka bez właściwości*. Niezależnie od antologii Buber, Musil ułożył w roku 1921 własną, *Doświadczenia graniczne*, wybór stu dziesięciu cytatów mistycznych. Interesował go szczególnie „aspekt werbalny” przeżycia ekstazyjnego.

Interesował go słusznie, gdyż sam Buber przyznawał we wstępie do swojej antologii, że mistycy nie są w stanie przeskoczyć muru słowa. Zamknięci w obrębie doświadczeń i wizji odgradzonych od słowa, niezwykle silnych w momentach „wychodzenia poza siebie” i „wchodzenia w Boga” (*ekstasis*), a równocześnie bezsilnych w próbach przeniknięcia do ekspresji językowej, bez przerwy uciekają się do określeń: „niewystawiony”, „niewyraźalny”, „niewypowiedzialny”, „nieuchwytny” (słownie). Angela z Foligno (druga połowa XIII wieku) skarżyła się na uczucie „uciętego języka” w ustach. Inni posługiwali się zwrotami w rodzaju: „nic nie widzę i widzę wszystko, nic nie słyszę i słyszę wszystko”. Enrico Suso (pierwsza połowa XIV wieku) wyznał, mówiąc o sobie w trzeciej osobie: „Ujrzał wtedy i usłyszał to, co nie jest dostępne dla żadnego języka. Było to bez formy i bez wyglądu, a przecież zawierało w sobie radosną rozkosz wszystkich form i wszystkich wyglądown”. Ilekroć zaś mistycy ekstazyjni usiłują jednak uchwycić cień nieuchwytnego, wyrazić drobny choćby okrucz niewyraźnego, w ich spowiedziach występują dwa elementy: światło, potok światła; wizja absolutnego zjednoczenia z Bogiem, roztopiająca własne „ja”. Najbardziej może starała się doścignąć sens doświadczenia ekstazyjnego „hiszpańska” Teresa (XVI wiek), w listach do swoich spowiedników. Ale i ona rozkładała w końcu ręce: „Wszystko to nie da się wyjaśnić inaczej jak poprzez porównania, które są z pewnością prostackie i nieokrzesane, lecz ja nie potrafię tego powiedzieć w żaden inny sposób”.

Das Wort schneidet nicht, słowo nie tnie, wzdychał bezradnie Musil, dodając że „mistyka i narracyjność pozostają wobec siebie w trudnych stosunkach”. Pokonywał trudność cytatai, często dosłownymi, z wypisów mistycznych Bubera i własnych, bez powoływania się na autorów „spowiedzi ekstatycznych”. Rzecz „gra”, nadspodziewanie nawet dobrze, w poetyckim kontekście powieści. Stany mistycznej ekstazy posiadają jedyną alternatywę: poezja albo milczenie.

Maisons-Laffitte, 15 września

10 czerwca 1987 odbyło się w Centralnym Domu Literatów w Moskwie spotkanie redakcji i współpracowników tygodnika *Moskowskije Nowosti* (awangarda i szyba wystawowa *glasnosti*, głównie na benefis zagranicy) z pisarzami moskiewskimi i z publicznością. Do stołu przydzielonego napływały pytania na karteczkach. Jedno z pytań brzmiało tak: „Czy można mówić o socjalistycznym humanizmie, lub pisać o okresie przejściowym, w kraju gdzie zginęło sto milionów niewinnych ludzi?”. Odpowiedział na nie Akademik Jurij Afanasjew, dyrektor Instytutu Historii i Archiwów: „Dużo czytałem. Ale nie znalazłem w żadnej książce uzasadnionych danych na temat liczby ofiar masowych represji i innych nieszczęść. Tak, nie można mówić o żadnym humanizmie, tym bardziej socjalistycznym, gdy giną miliony ludzi. My historycy musimy odtworzyć całą prawdę przeszłości, nie przemilczając zdarzeń tragicznych. I taka historia będzie napisana”.

Podczas tułaczki, a właściwie ucieczki, Nadzieży i Osipa Mandelsztamów ukazał się któregoś dnia w *Prawdzie* artykuł o „humanizmie socjalistycznym”. Przeczytawszy go, poeta mruknął do żony: „Okazuje się, że jesteśmy w łapach humanistów”. Być może, anonimowy autor pytania na karteczce słyszał o tym wspomnieniu Mandelsztamowej. Niewykluczone też, że wymienił w pytaniu liczbę stu milionów nie bez kozery: o zamordowaniu stu milionów i „przeskoczeniu rowu” mówił przecież arcybiskup Wierchowieński na herbatce „u naszych”. Takie to reminiscencje oplatają zdradliwymi mackami *glasnost'* w kolebce.

Będzie więc napisana nowa historia, będzie przywrócona cała prawda o przeszłości. Czyli będą nareszcie wypełnione słynne „białe plamy”. Chwalebne, lecz karkołomne zadanie. Nie mogę ręczyć za absolutną ścisłość tego co zaraz powiem, chociaż źródło jest wiarygodne: moskiewski korespondent największego dziennika włoskiego *Corriere della Sera*. Kilka miesięcy temu, bodaj w kwietniu czy maju, poświęcił on swoją kolejną korespondencję owym „białym plamom” w związku z powstaniem mieszanej, so-

wiecko-polskiej komisji historycznej do spraw odkłamania przeszłości. Według informatorów dziennikarza włoskiego na jednym z posiedzeń wstępnych ręce uczestników dotknęły grobu katyńskiego. Strona sowiecka zaproponowała osobliwe wyjście z kłopotliwej sytuacji: zastrzeliliśmy przez omyłkę, *nostra maxima culpa*, czterdziestu oficerów polskich; reszta jeńców uciekła, błąkała się po ZSSR i w końcu wpadła w szpony hitlerowskich najeźdźców, którzy dopuścili się „bestialskiego mordu masowego”. Stalin, przyciskany do muru przez Sikorskiego, wysunął również wersję, a raczej hipotezę, „ucieczki oficerów polskich z obozów jenieckich”. A zatem historia pisana na nowo w duchu *glasnosti* nie zamierza rezygnować całkowicie z autorytatywnej i wypróbowanej już historii starej.

Przyjmując za dobrą monetę informacje korespondenta włoskiego, ogląda się mieszaną, sowiecko-polską komisję historyczną jako coś w rodzaju końskiego czy krowiego targu. Czterdziestu to za mało! No to niech będzie dwustu! Jeszcze za mało! W głowach wam się, drodzy towarzysze z Warszawy, przewróciło! Żarty (makabryczne) na bok. Istota rzeczy polega naturalnie na tym, że odślanianie prawdy o przeszłości w wytargowanych dawkach musi wywołać skutek odwrotny do zamierzonego. Wrzód katyński nabrzmiałby w Polsce i zaognił się jeszcze bardziej, gdyby katyńska „biała plama” została wypełniona tak absurdalnym ochłapem prawdy historycznej.

Glasnost' stała się probierzem stosunku do „nowej (postkomunistycznej, dodają niektórzy) Rosji Gorbaczowa”. Powiedz mi czy wierzysz w trwałość *glasnosti*, a powiem ci kim jesteś. Wysłannicy miesięcznika Bernarda Pivot *Lire* wybrali się do Moskwy, przepytali tam mniej lub więcej optymistycznych heroldów i beneficjentów *glasnosti*, a w drodze powrotnej do Paryża zatrzymali się w Monachium i przeprowadzili krótki wywiad z Zinowiewem. *Glasnost'*? — prychnął natychmiast autor *Przepastnych wyżyn i Świetlanej przyszłości*. — Kamuflaż! „Bluff polityczny, obliczony na zasianie konfuzji w opinii publicznej i na zaskarwienie sympatii Zachodu... Nie róbcie sobie złudzeń na temat intelektualistów sowieckich. To oni wypracowali represje stalinowskie i gułag. Inteligencja sowiecka była zawsze wiernym sługą władzy”. Odwilż literacka jest błagą? „Tak, jest kroplą wody w morzu... Nie będzie nigdy w ZSSR swobody twórczości. Gorbaczow i jego przybocznicy usiłują nauczyć krokodyla fruwania... W mojej nowej książce wykazuję, że gorbaczowizm jest przygotowaniem do nowego breżniewizmu, gorszego jeszcze niż poprzedni”. Czy aby nie jest pan odrobinę paranoikiem? „Absolutnie nie. Mój punkt widzenia jest naukowy”.

Zinowiew nie jest paranoikiem, jest po prostu radykalnym

sceptykiem. Zanadto radykalnym na mój gust, właśnie dlatego że „naukowym”. Parafrazując znane powiedzenie Clemenceau o generałach: kryzys systemu sowieckiego jest zbyt poważną sprawą, aby ją powierzać naukowcom. Niestety, jak często w takich wypadkach bywa, powstała już polaryzacja. Na jednym biegunie zachłystujący się bezkrytycznie admiratorzy Gorbaczowa, na drugim ci co uważają go wyłącznie za bluffiarza w masce „reformatora”. Mój punkt widzenia nie jest z pewnością „naukowy”, ale (jak sądzę) trzeźwy. Mniej mnie obchodzi kim jest Gorbaczow „naprawdę”, jak mniej mnie obchodziło kim był „naprawdę” Chruszczow. I wtedy i dziś istota problemu sprowadzała się i sprowadza do pytania: ile zostanie po upadku Chruszczowa (który nastąpił), ile zostanie po upadku Gorbaczowa (który nastąpi). Coś zostało wtedy, coś zostanie obecnie. Postalinowski kryzys systemu określiłbym jako stopniowe obłupywanie i podmywanie wiszącej nad przepaścią, potężnej skały. Specjaliści w dziedzinie „politologii” nazywają ten proces „ottomanizacją”.

Podobną trzeźwość zalecałbym entuzjastom *glasnosti* w Kraju. Dla przykładu. Należy oczywiście rejestrować skrupulatnie każdy przejaw odwilży literackiej w ZSSR; nie należy natomiast robić tego takim tonem, z takim przejęciem, jakby cud przemienienia starszego brata dojrzywał tuż tuż, za rogiem. Należy brać w rachubę i wykorzystywać luz sowieckiej *perestrojki* (dla mnie *peredyszki*), nie należy natomiast rozgrzewać siebie i innych do rychłego powitania ucieleśnionej nareszcie „dobrej nowiny ze Wschodu”. Mniej żłudzeń, więcej chłodnego, spokojnego dystansu. I więcej marzeń, panowie...

25 września

Jeszcze dwa znamienne komunikaty z frontu *glasnosti*.

Na konferencji prasowej Urbana, z gościnnym udziałem Gerasimowa, była między innymi mowa o głośnej (w ramach stalinowskiej *glasnosti*) wypowiedzi Mołotowa po klęsce wrześniowej. W wersji Urbana sowiecki minister spraw zagranicznych nazwał wtedy Polskę „ułomnym tworem Traktatu Wersalskiego”. Ja pamiętam ten zwrot inaczej: „pokraczny bękart Traktatu Wersalskiego”. Rzecz jasna, „ułomny twór” brzmi trochę wytworniej od „pokracznego bękarta”. Wolno się zastanawiać, czy zabieg przypudrowania poprzedziła narada obu rzeczników prasowych, sowieckiego i polskiego, w duchu targu katyńskiego na posiedzeniu mieszanej komisji historycznej.

Drugi komunikat donosi o napiętnowaniu *Moskowskich Nowosti* przez Jegora Ligaczowa, uważanego powszechnie za Numer

Dwa w kremlowskiej hierarchii partyjnej. Co zgiewało Ligaczowa? Krótki nekrolog Wiktora Niekrasowa, który zmarł na początku września w Paryżu. Biegli w wróżeniu z moskiewskich fusów podzielili się błyskawicznie na dwa obozy. Podejrzliwi wobec *glasnosti* uznali to za kolejny dowód, że jastrząb Ligaczow szybuje coraz groźniej nad sekretarskim tronem, w którym uwił sobie gniazdo gołąb Gorbaczow. Kredytodawcy *glasnosti* natomiast wężą tu ukartowany z góry podział ról: im bardziej gołąb gołębieje, tym bardziej jastrząb jastrzębieje, bijąc w powietrzu na pokaz skrzydłami ortodoksji partyjnej. Zwłaszcza że świeży epizod w scenariuszu ptasiej rozgrywki zawiera dodatek „nie do pomyślenia”, zdaniem obozu gołębiego, dawniej: oto Jegor Jakowlew, redaktor *Moskowskich Nowosti*, poderwał się z krzesła po wypowiedzi Ligaczowa i stanął twardo w obronie nekrologu Niekrasowa.

Biedny Wiktor Płatonowicz! *Glasnost'* rozpętała małą burzę nad jego cichym grobem emigranta. Zetknąłem się z nim pierwszy raz w Londynie wkrótce po jego wyjeździe z ZSSR w mieszkaniu dziennikarza angielskiego Davida Floyda (zabrał mnie tam Leo Łabędź). Potem było parę spotkań w Paryżu, jedno zamieniło się w rozmowę dla *Giornale*. Był emigrantem szczególnym, podobnym do Michała Hellera w tym, że nie narzekał na swój emigrancki los, przeciwnie — w wyjeździe na Zachód widział swoją życiową szansę. Uwielbiał podróże, podróżował często po Europie i za Ocean, zapraszany na wieczory autorskie przez skupiska rosyjskie i ukraińskie (nawiasem mówiąc, w przedemigranckim jeszcze okresie podróz do Stanów Zjednoczonych i jej ciepły opis stały się przyczyną jego „niełaski” w ostatnich latach rządów Chruszczowa: wyrzucono go z partii, skazano na nieistnienie jako pisarza). Kochał też Paryż, gdzie się urodził, słynne były jego paryskie włóczęgi i eksploracje. Zdaje się, że pożegnał się z myślą o dalszych powieściach czy nowelach, zastąpił je świetnie skomponowanymi, ostrymi w obserwacji, dowcipnymi notatkami. Ale wspominam popołudnie w trójkę u Maksimowa, gdy zamówiony obiecyświat Niekrasow zaczął naraz opowiadać o swoim Kijowie. Bez dreszczyków nostalgii, bez podskórnych podrygów wygnaćczej *self-pity*, z pogodną naturalnością człowieka, który rozpakowuje i pokazuje innym swój wywieziony багаż rodzinny.

Fatima Sałkazanowa opisuje dziś w *Russkoj Mysli* ostatnią wizytę u ciężko chorego Niekrasowa w przededniu jego śmierci, 2 września. Kazał sobie przeczytać wolno na głos artykuł Kondratiewa w *Moskowskich Nowostiach* z propozycją wznowienia w ZSSR *W okopach Stalingradu*. Potem rozmowa zeszała na *perestrojkę* Gorbaczowa. Niekrasow westchnął: „Jak strasznie będzie, kiedy się to wszystko skończy”.

28 września

Proust contre la déchéance Czapskiego, edytorskie cacko nowego wydawnictwa *Noir sur Blanc* w Lozannie, to oryginalna wersja francuska jego wykładów w Gruzowcu, które po polsku ukazały się w roku 1948 w *Kulturze*. Tak dziś jak przed czterdziestu laty trudno oprzeć się wzruszeniu: zima 1940-1941, *krasnyj ugotok* w starej przyklasztornej chacie pątnika, za oknami ostry mróz, na ścianie portrety Marksa, Engelsa i Lenina, pod nimi Czapski opowiada z notatek i „z głowy” po francusku o swoim ukochanym pisarzu gromadce kolegów z gruzowieckiego obozu jeńców wyłączonych, nie wiadomo dlaczego, z kaźni; jedyna, obok *Wspomnień starobielskich* i książki Swianiewicza, żywa plamka w wielkiej „białej plamie” katyńskiej.

Opowiada doskonale, ze swadą, z przejściem, sypie zapamiętanymi cytatami, z każdego zdania bije jego miłość do Prousta. „Tylko pamięć niezależna od woli ma znaczenie dla sztuki”. Ta proustowska „pamięć niezależna od woli”, zaklęta w napotykanym przypadkowo przedmiocie i wyzwolana z niego cudem, jest motorem wykładów Czapskiego. Bardziej może Czapskiego-jeńca wojennego, niż Czapskiego-artysty. Trafny wydaje mi się francuski tytuł książeczki, Czapski uzasadnia go pośrednio odkrywczym zestawieniem dwóch refleksji: Bergotte'a o swoistej religii sztuki i Starca Zosimy o religii prawdziwej.

Co nie znaczy, żebym całkowicie podzielał miłość Czapskiego do Prousta. Z biegiem lat budzi we mnie coraz większy chłód proustowski kult „intuicji”, „instynktu”, podkreślanie ich przewagi nad „inteligencją”. De Fallois ułożył przedmowę do *Contre Sainte-Beuve* z fragmentów *W stronę Swanna* i *Czasu odnalezionego*, zakończonych autoekspozycją „poetyki” Prousta. Całość nazywa się *Pamięć niezależna od woli i zmartwychwstanie poetyckie*. Zdarza mi się, odczytując niekiedy na nowo Prousta, wątpić czy cud „zmartwychwstania poetyckiego” odbywa się u niego zawsze; czy też dość często pokrywa on nadużywaną, mechaniczną trochę, formułę albo receptę poetycką.

3 października

Dyskutuje się, analizuje, mędrkuje, rozcina włos na czworo, a sprawa jest tak prosta, tak niezwykle prosta! „Także ja — wyznaje Ingmar Bergman w swojej autobiografii *Latarnia magiczna* — kochałem Hitlera. Przez wiele lat stałem po stronie Hitlera, cieszyłem się jego zwycięstwami i smuciłem jego porażkami...

Kiedy dotarły do mnie świadectwa obozów koncentracyjnych, mój intelekt odmówił przyjęcia tego, co rejestrowały oczy. Jak wielu innych, również ja nazywałem te obrazy łgarstwami wymyślonymi przez propagandę. Gdy wreszcie prawda przełamała moje opory, ogarnęła mnie rozpacz; i pogarda dla samego siebie, która już przedtem stanowiła ciężkie brzemię, przekroczyła granice mojej wytrzymałości. Dopiero znacznie później uprzytomniłem sobie, że w praktyce nie było we mnie żadnej winy, mimo wszystko”.

Naturalnie kluczowe zdanie tego epokowego zaiste wyznania brzmi: „Mój intelekt (?) odmówił przyjęcia tego, co rejestrowały oczy (cudze)”. Oczy sławnego reżysera nie chciały się oderwać od obrazów w hitlerowskiej „latarni magicznej”. Kto wie, czy owa „latarnia magiczna” nie tłumaczy też przygody „intelektów” po przeciwnej stronie barykady „ideologicznej”, czy na przykład Trznadel nie powinien być posłużony się konceptem „latarni magicznej” zamiast konceptu „hańby domowej”. W stalinowskiej „latarni magicznej” zachwycone „intelektu” polskie oglądały nowych Obywateli, nowego Człowieka Radzieckiego, odwracając z obrzydzeniem oczy od „łgarstw wymyślonych przez propagandę (wrogą)”. Jeśli zaś „latarnia magiczna”, to może mieliśmy do czynienia z rozwydrzonymi i okrutnymi dziećmi (a jak rozwydrzone i okrutne potrafią być dzieci, pokazał William Golding w powieści *Lord of the Flies*), które pewnego dnia dorosły do *Poematu dla dorosłych*. Wolne „w praktyce od poczucia jakiegokolwiek winy, mimo wszystko”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

LEKARSTWA

BONY DOLAROWE

dewizowe konta bankowe A

HASKOBA Ltd

81 Cromwell Road, London SW7 5BP

Tel. 01-373 7888. Telex London 23919



Wiersze

Bertolt BRECHT

„REZOLUCJA” (z „Dni Komuny”)

*Biorąc pod uwagę, że to wasze prawa
czynią niewolników z wszystkich nas,
postanowiliśmy praw tych nie uznawać,
bo nie chcemy już w niewoli dłużej trwać.*

*Biorąc pod uwagę, że nam wciąż grozicie
z dział i karabinów mierząc w naszą pierś,
postanowiliśmy, że nikczemne życie
bardziej dla nas straszne, niżli śmierć.*

*Biorąc pod uwagę, że będziemy głodni,
jeśli pozwolimy wam bezkarnie kraść,
chcemy wreszcie stwierdzić, że od magazynów
drzwi nas tylko dzielą, które mogą paść.*

*Biorąc pod uwagę, że nam wciąż grozicie
z dział i karabinów mierząc w naszą pierś,
postanowiliśmy, że nikczemne życie
bardziej dla nas straszne, niżli śmierć.*

*Biorąc pod uwagę, że jest willi wiele,
podczas gdy nam mieszkań ciągle brak,
postanowiliśmy dziś się tam wprowadzić,
bo nam ciasne nory już nie w smak.*

*Biorąc pod uwagę, że nam wciąż grozicie
z dział i karabinów mierząc w naszą pierś,
postanowiliśmy, że nikczemne życie
bardziej dla nas straszne, niżli śmierć.*

*Biorąc pod uwagę, że jest węgla mnóstwo,
podczas gdy nas stale dręczy chłód,
postanowiliśmy wziąć go sobie sami,
by się wreszcie w ciepło dobrze wygrzać móg.*

*Biorąc pod uwagę, że nam wciąż grozicie
z dział i karabinów mierząc w naszą pierś,
postanowiliśmy, że nikczemne życie
bardziej dla nas straszne, niżli śmierć.*

*Biorąc pod uwagę, że nie potraficie
nigdy nam zapewnić przyzwoitych płac,
postanowiliśmy przejąć dziś fabryki,
aby bez was sobie wreszcie radę dać.*

*Biorąc pod uwagę, że nam wciąż grozicie,
z dział i karabinów mierząc w naszą pierś,
postanowiliśmy, że nikczemne życie
bardziej dla nas straszne, niżli śmierć.*

*Biorąc pod uwagę, że już nie wierzymy
w to co nam przyrzeka wiarołomny rząd,
postanowiliśmy od dziś przejąć władzę,
i kształtować odtąd sami własny los.*

*Biorąc pod uwagę, że armatnia mowa
dla was jest najbardziej zrozumiałą z mów,
postanowiliśmy od dziś nakierować
na was wyłot groźnych łuf.*

Bertolt BRECHT

(Tłumaczył Janusz SZPOTAŃSKI)

(Wiersz jest nadal aktualny — zmienił się tylko adresat — Redakcja.)

Archiwum polityczne

Chiny a "Starszy Brat"

O TRUDNYCH STOSUNKACH SOWIECKO-CHIŃSKICH*

Pierwsza wojna światowa była szokiem dla wszystkich ugrupowań prozachodnich w Chinach, reformistycznych i rewolucyjnych, które szukały na Zachodzie wzorców ideologicznych, kulturowych, technologicznych i politycznych, w nadziei na „westernizację Chin” i przywrócenie im dawnej świetności. Hekatomba niezrozumiałej wojny załamała w sposób dramatyczny mit oświeconego i postępowego Zachodu i wywołała nawet wśród jego najgorętszych zwolenników falę wątplenia w wyższość cywilizacji zachodniej, będącą przedtem dogmatem.

Zażarte dysputy polityczne toczyły się wokół kwestii przystąpienia Chin do wojny. Ostatecznie 14 sierpnia 1917 roku Chiny wypowiedziały wojnę państwom centralnym. W praktyce wysyłały one swoich robotników do wyczerpanych wojną państw Ententy, także do Rosji. Razem z dość liczną ludnością chińską na rosyjskim Dalekim Wschodzie znalazło się w Rosji około półtora miliona Chińczyków. Wielu z nich wzięło udział w walkach rewolucyjnych po stronie „czerwonych”. Były nawet całe od-

* W eseju tym, podobnie jak w poprzednich, autor używa transkrypcji nazw chińskich oficjalnie przyjętej w ChRL. Jest ona o tyle wygodna, że ujednoliciła imiona transkrybowane poprzednio w rozmaity sposób, i z różnych dialektów. Dla orientacji czytelnika w nawiasach podane są wersje imion w formie najbardziej znanej czytelnikowi polskiemu. W transkrypcji tej q należy czytać jak polskie ć, x jak ś, j jak dz, r jak ż, sh jak sz, ch i zh w przybliżeniu jak polskie cz, ng oznacza po prostu n tylnojęzykowe. Nieznany w Europie problem zróżnicowania spółgłosek na przydechowe i nieprzydechowe (zamiast na dźwięczne i bezdźwięczne) pomijam jako zbyt skomplikowany.

działy chińskie. Z ogarniętej rewolucją i walkami Rosji zaczęły napływać tysiące uchodźców. Biali emigranci szukający jakiegokolwiek zarobku stali się w latach dwudziestych częścią pejzażu miejskiego Chin. Niektórzy oficerowie znaleźli sobie miejsce w armiach północnych militarystów, w literaturze anglosaskiej zwanych ściślej *war-lords*, znacznie liczniejsi występować zaczęli w roli kelnerów czy barmanów w restauracjach miast portowych, a dawne damy z towarzystwa nierzadko spadały na samo dno portowego życia. O ile inni „biali” budzili niechęć a nawet nienawiść ludu, rosyjscy biali także i pogardę.

Upadek mitu Zachodu, traktowanego przedtem jako ucieśnienie demokracji, humanizmu, postępu, nauki itp., zbiegł się z własnymi nieudanymi próbami przeszczepienia na grunt chiński zachodnich wzorców instytucjonalnych i z nową falą nastrojów antycudzoziemskich (anty Zachodnich i antyjapońskich) związanych z miejscem, jakie wyznaczał Chinom nowy ład powersalski. Zaledwie kilka lat wcześniej niż w Rosji, w 1911 roku, rewolucja obaliła cesarstwo w Chinach. Próbowano zaprowadzić ustrój republikański z systemem wielopartyjnym i demokracją parlamentarną, rezultaty okazały się jednak żałosne. Instytucje przeszczepione z Zachodu po prostu wyrodziły się w parodię, władzę przejęli w praktyce dowódcy lokalni. Chiny pogrążyły się w chaosie wojen domowych, zapanowała nędza i terror, nieznanne w takiej skali za najgorszych czasów cesarstwa. Nawet najzagorzalsi zwolennicy rewolucji i jej przywódcy zwątpili w sens dokonanych przemian.

W tym klimacie społecznym idee socjalizmu i wizja nowej rewolucji światowej, która ustanowi nowy sprawiedliwy ład i stworzy nowe bezklasowe „społeczeństwo światowe”, znajdowały wielu zwolenników. Były one bliskie rodzimym ideałom radykalnych egalitarnych ruchów chłopskich i tradycjom „ogólnoswiatowego” w teorii cesarstwa chińskiego, tradycyjnym ideałom antykapitalistycznym i podporządkowania jednostki społeczeństwu. Komunizm jednak początkowo nie znajdował wielu zwolenników, znacznie bardziej popularny okazał się anarchizm. Podczas gdy Komintern wielkim nakładem sił i środków próbował tworzyć komunistyczne centra i wydawać czasopisma, które okazywały się nieodmiennie efemerydami, anarchiści bez żadnej pomocy z zewnątrz wydawali wówczas kilkadziesiąt czasopism, niektóre na bardzo wysokim poziomie. Mao ze swoimi kolegami w rodzinnym Changsha zdołał zapisać do partii zaledwie kilkadziesiąt osób, a anarchiści w tym mieście mieli kilka tysięcy zwolenników. Gdy czyta się dzisiaj ich krytyki socjalizmu innych nurtów i ruchu rewolucyjnego, etatystycznych ideałów „sprawiedliwego społeczeństwa” — uderzają one zadziwiająco trafnością i darem przewidywania. Wspomnieć też warto, że wielką fascy-

nację w ówczesnych Chinach budził wtedy język esperanto, jako nowy uniwersalny język światowy, i kółka esperantystów mnożyły się w tempie zadziwiającym.

Przegrana wojna z Polską spowodowała konieczność zasadniczej rewizji strategicznych koncepcji rewolucji rosyjskiej. Poprzednio wierzono, że rewolucja w Rosji jest tylko prologiem do rewolucji europejskiej, że rewolucja w metropoliach kolonialnego świata będzie równoznaczna z tryumfem socjalizmu w skali światowej. Fala rewolucyjnych ruchów w Europie jednak zamierała, nie udało się połączyć z niemieckimi centrami ruchu socjalistycznego i pobudzić rewolucji na Zachodzie wkroczeniem Armii Czerwonej. W tej sytuacji zrodziła się nowa koncepcja: obalenia kapitalizmu przez rewolucję w koloniach. Uważano bowiem, że imperializm bez kolonii musi się załamać, a ponieważ największą potęgą imperialistycznego świata była wówczas Anglia, uderzenie chciano skierować przeciwko głównym filarom angielskiego panowania, Indiom i Chinom. Sądono naiwnie, iż wywołanie rewolucji w Indiach i Chinach spowoduje niemal natychmiastowe załamanie imperializmu w skali światowej i w sposób zdumiewająco antymarksistowski zakładano, że rewolucje tam da się wywołać niejako z zewnątrz, przez grupki przyszłych agitatorów i zawodowych rewolucjonistów, którzy nauczą Hindusów i Chińczyków, jak rewolucję taką przeprowadzić. W związku z tym w sposób nagły zmieniono w kierownictwie Kominternu priorytety i koncepcje; partie komunistyczne Europy, z ich tradycjami ruchu robotniczego, miały odgrywać rolę wspomagającą, paraliżować działania rządów, zaś partie narodowo-rewolucyjne w krajach kolonialnych, opierające się na wszystkich „patriotycznych” klasach tuziemców, miały odgrywać rolę wiodącą.

Realizacja tej polityki okazała się jednak znacznie trudniejsza, niż oczekiwano. Mimo wielokrotnych prób nie udało się w Indiach stworzyć ośrodków rewolucyjnych podporządkowanych Kominternowi. Powstały one natomiast w Chinach, Indochinach, Indonezji i Japonii. Jednak nawet tam, także w Chinach, które w tej sytuacji stały się „ogniwem wiodącym”, sytuacja okazała się nader skomplikowana. Partia komunistyczna, dyrygowana bezpośrednio z Moskwy i posługująca się frazeologią proletariacką, mimo dość powszechnych sympatii dla rewolucyjnej Rosji nie zdobyła wystarczającego poparcia społecznego. Trzeba było wesprzeć inne siły polityczne, ruch nacjonalistyczny, którym manipulować było znacznie trudniej, żądający zwrotu Mongolii Zewnętrznej, likwidacji rosyjskich przywilejów w Mandżurii itp. Ponadto wraz z rozbudową struktur instytucjonalnych w centrum moskiewskim pojawiły się tam różne koncepcje i interesy grupowe. Każdy z wielkich szefów kierujących jakąś instytucją starał się zachować możliwie największą autonomię i nie chciał oddawać inne-

mu ani swoich zasobów, ani kadr. Armia miała swój punkt widzenia i interesy, Komisariat Spraw Zagranicznych swoje, a centrum kominternowskie stało się tylko jedną z instytucji zabiegających o pieniądze, kadry i wsparcie. Dziś wydaje się wręcz nieprawdopodobne, jak tych kilkadziesiąt osób z kominternowskiego centrum, gnieżdżących się w kilku pokojkach, ze śmiesznymi sumami walut, bez znajomości Azji Wschodniej, z wyobrażeniami na jej temat niekiedy zupełnie „księżycowymi”, chciało zorganizować i przeprowadzić zwycięską rewolucję na Dalekim Wschodzie. Jednakże od wojny z Polską aż po lata trzydzieste, rozprawę z Trockim i ze starą kadrą Kominternu (Zinowiew, Kamieniew) „problem chiński” był kluczowy dla polityki Moskwy, dla jej polityki zagranicznej i walk wewnętrznych. Ostateczne załamanie się nadziei na zwycięstwo rewolucji w Chinach stało się przyczyną najbardziej dramatycznych walk i spowodowało konieczność wypracowania nowej zupełnie koncepcji „budowy socjalizmu w jednym kraju”, bez perspektyw na rychłą rewolucję światową. Z teoretycznych dyskusji na temat Chin i Wschodu zrodziła się stalinowska koncepcja pięciu formacji, będąca odtąd dogmatem ruchu komunistycznego. Pierwsze wielkie czystki i mordy dotknęły właśnie doradców politycznych i wojskowych wracających z Chin po załamaniu się tam rozmaitych prób wywołania rewolucji antyimperialistycznej w 1927 roku.

Bez wzięcia pod uwagę całej złożoności sytuacji politycznej w Moskwie trudno zrozumieć wszystkie meandry polityki sowieckiej w tym okresie i jej wielonurtowość. To prawda, że politycy w Moskwie zwykle starali się „nie kłaść wszystkich jajek do jednego koszyka” i prowadzili grę z różnymi siłami politycznymi, jednak to co działo się wówczas w Chinach przekracza nawet bujną wyobraźnię. W krótkim i z konieczności bardzo selektywnym eseju można zaledwie wspomnieć o niektórych elementach. A więc w Chinach lat dwudziestych mamy wspieranie Partii Komunistycznej i radykalne zmiany jej polityki oraz priorytetów co kilka lat, od koncepcji partii proletariackiej do niemal agencji wewnątrz Guomindangu (Kuomintangu), od „organizacji mas” i propagandy proletariackiej przez etap patriotyczno-rewolucyjnej współpracy z rodzimymi klasami posiadającymi do spisków, powstań i walk zbrojnych z programem ustanowienia bezpośrednio ustroju komunistycznego. Raz ta partia była traktowana jako jedyny organizator rewolucji, kiedy indziej główne nadzieje związane z Guomindangiem, chciano go wręcz przyjmować do Kominternu i dyrygować z Moskwy „rewolucyjnym rządem jedności narodowej”, by niezadługo wrócić do opierania się na partii komunistycznej i na pospiesznie tworzonej Chińskiej Armii Czerwonej. A obok tego były kolejne flirty i wzloty nadziei związane ze związkami zawodowymi, z chińskim Komsomołem, z reorganizowanym

i kierowanym przez politycznych i wojskowych doradców z Moskwy Guomindangiem, z różnymi militarystami lokalnymi, układy i nawiązanie oficjalnych stosunków dyplomatycznych z wrogim im wszystkim rządem pekińskim, organizacja grup partyzanckich w Mandżurii nasyłanych z Rosji i wreszcie jej krótkotrwała okupacja przez Armię Czerwoną w 1929 roku.

Wszystkie te niespodziewane zwroty w polityce Moskwy, przeczucie się od jednej koncepcji do drugiej bez konsekwentnej realizacji żadnej z nich, a często nawet bez fazy realizacji, miały swą cenę, którą płacili komuniści różnych nacji pracujący w Chinach i w centrach rosyjskich, a jeszcze droższą lewicowcy chińscy. Była to cena krwi, ale także osobistych dramatów ideologicznych i politycznych, ruiny całego życia nazbyt łatwowiernie zawierzonego Moskwie, integralności osobowej, logiki działania partii itp. Ile tysięcy najlepszych patriotów chińskich różnych orientacji straciło życie w tym diabelskim młynie walk politycznych i zbrojnych, dziś nawet ustalić nie sposób. Ostatecznym tego wynikiem była z jednej strony antykomunistyczna orientacja Guomindangu połączona z głębokim urazem wobec Moskwy, z drugiej zaś narastające w Komunistycznej Partii Chin tendencje antykominternowskie, które ostatecznie przesądziły o zdobyciu w partii pełnej władzy przez grupę Mao Zedonga (Mao Tse-tunga).

Rewolucja dokonała się w Chinach, kiedy Moskwa przestała już jej oczekiwać, i w sposób daleki od moskiewskich recept: jako rewolucja chłopska i przez działania armii zorganizowanych przez komunistów. Zwycięstwo to stało się możliwe dopiero w wyniku drugiej wojny światowej, w wyniku okupacji większej części terytorium Chin przez Japonię i rozwoju tam ruchu oporu. Dopiero w tej szczególnej sytuacji historycznej, występującej jako partia broniąca interesu narodowego, komuniści zdobyli niezbędne poparcie społeczne. I w trzeciej wojnie domowej (1947-1949) ostatecznie pokonali armie Guomindangu.

O tym kluczowym okresie wojny trzeba powiedzieć więcej, gdyż zdecydował on nie tylko o zwycięstwie komunizmu w Chinach, ale także o stosunkach między Moskwą i Pekinem po tym zwycięstwie. Wojna na Dalekim Wschodzie zaczęła się w istocie w 1931 roku od okupacji Mandżurii przez Japonię i utworzenia tam marionetkowego państwa Mandżukuo. KPCh w tym okresie utworzyła Chińską Republikę Sowiecką (Zhonghua Suwei Gongheguo) w Chinach centralnych na terenach kontrolowanych przez jej wojska (Moskwa nie nawiązała z nią wszakże oficjalnych stosunków dyplomatycznych, choć i jej stosunki z rządem Guomindangu były zawieszane). Rachuby na rozszerzenie władzy sowieckiej w Chinach nie powiodły się jednak. Program „komunizacji” wystraszył nie tylko klasy posiadające, ale i masy chłopskie, a

Chińska Armia Czerwona nie była w stanie oprzeć się regularnym wojskom Guomindangu. Republika Sowiecka z Mao na czele została rozbita, niedobitki jej armii musiały opuścić stare bazy komunistyczne w Chinach centralno-południowych, przebiły się na północ w pobliże kontrolowanej przez Moskwę Mongolii i przyfrontowej strefy terenów okupowanych przez Japonię, gdzie w zamieszaniu wojennym odbudowa centrów politycznych partii wydawała się łatwiejsza. Był to sławetny Wielki Marsz.

Na północy udało się istotnie stworzyć rejon kontrolowany przez komunistów, choć rachuby na pomoc Moskwy okazały się chybione. Ta nie spieszyła się z organizacją przerzutów broni i sprzętu. Później, w ciągu wielu lat wojny z okupantem japońskim, domagała się ona stale rozszerzania walki przeciw wojskom japońskim, nie odpowiadała jednak na prośby o dostawy sprzętu. Ostatecznie dostawy takie podjęto, a nawet wysłano samoloty i lotników dla wzmocnienia obrony przeciwlotniczej, ale skierowano je do śmiertelnego wroga komunistów, do Guomindangu. Inne bowiem były interesy Moskwy prowadzącej skomplikowaną grę międzynarodową, a inne KPCh. Moskwa, która zawarła układ o nieagresji z Japonią, uznała że wspomaganie rządu chińskiego mającego uznanie międzynarodowe jest wygodniejsze, niż wspomaganie komunistów chińskich. Poprzez umacnianie frontu chińskiego chciała związać możliwie największe siły japońskie, by zapobiec możliwemu przeciw atakowi na własne terytorium dalekowschodnie. Wizja drugiego frontu na wschodzie była stale nocną marą Stalina podczas trudnych lat walki z faszystowskimi Niemcami. Komunistom chińskim narzucano politykę współdziałania z Guomindangiem, „frontu narodowego” i walki zbrojnej przeciw Japonii. Wyczerpywanie sił KPCh, zdominowanej przeciw przez niechętnie Kominternowi ugrupowania „wiejskich partyzantów”, byłoby przysłówiowym pieczeniem dwu pieczeni przy jednym ogniu.

Odmienność orientacji politycznych Moskwy i KPCh uwidoczniła się jaskrawo w przededniu wojny japońsko-chińskiej na pełną skalę, podczas głośnego „incydentu siańskiego” w grudniu 1936 roku. Dwu generałów Guomindangu, Yang Hucheng i Zhang Xueliang, zaaresztowało wówczas swego szefa państwa i głównodowodzącego zarazem Jiang Jieshi (Czang Kai-szeka) podczas inspekcji, poprzedzającej nową wielką ofensywę przeciwko wojskom komunistycznym. Wypadki w mieście Xi'an (Si'an) mają już bogatą literaturę historyczną, która jednak nie wyjaśniła wielu kluczowych aspektów, pozostających wciąż w tajemnicy. Wersja przedstawiona mi prywatnie przez byłych pracowników Kominternu przedstawia się następująco. Obydwaj generałowie nosili się z zamiarem buntu już od dawna i zgłosili chęć przejścia wraz z wojskami na stronę KPCh. Wówczas Mao, jako potwierdzenie

pełnej szczerości ich intencji i „odkupienie byłych win”, zaproponował im aresztowanie Jiang Jieshi. Stałoby on przed sądem komunistycznym i zostałby stracony, a dwaj generałowie byłiby oficjalnie przyjęci do KPCh. Plan ten, który byłby wielkim tryumfem politycznym KPCh, został przedstawiony do aprobaty Kominternowi i Dymitrow go zaakceptował. Być może nie bez udziału Moskwy Wang Jingwei, przebywający wtedy w Niemczech jeden z najbliższych współpracowników Sun Zhongshana (Sun Jat-sena) i wódz chińskiej lewicy niekomunistycznej, pozostający jednak od lat w kontaktach z Moskwą, wyruszył do kraju, spodziewając się tam powierzenia mu najwyższych funkcji państwowych po eliminacji byłego wodza.

Gdy jednakże rano 13 grudnia Dymitrow otrzymał depezę o uwięzieniu wodza Guomindangu i pospieszył z nią do Stalina, zniknął na długie godziny. Wrócił dopiero w południe, tak wzburzony, jakim go nie pamiętali najstarsi stażem kominternowcy, cisnął nawet lampą o ścianę i awanturował się wściekle. *Prawda* ukazała się w tym dniu z nieprawdopodobnym wręcz opóźnieniem, około 4-tej po południu, i był w niej artykuł ni mniej ni więcej tylko oskarżający „agentów japońskich” o uwięzienie wodza Guomindangu i próbę rozbicia tworzonego z trudem chińskiego frontu jedności narodowej wobec agresji. Tak pracownicy sekcji chińskiej Kominternu wprowadzeni w grę dowiedzieli się, że ich szef Dymitrow i Mao są „agentami japońskimi”. A pamiętajmy, że oskarżenia „trockistów” o agenturalną służbę niemiecko-japońską były wtedy na porządku dnia w Moskwie i zamieszani w „afere” widzieli już siebie oczyma wyobraźni na kolejnej sali rozpraw.

Aresztowania jednak nie nastąpiły, Dymitrow nie został usunięty. W związku z tym do końca pozostało dla nich niejasne, czy dumny i dość autonomicznie działający Dymitrow po prostu nie poinformował o swoich zamiarach Stalina i dopiero po osiągnięciu sukcesu powiedział mu o tym, z żałosnymi skutkami, gdyż wódz miał inne plany wobec Chin, czy też po prostu Stalin zmienił zdanie. Z jednej strony wydawało się nieprawdopodobne, by posunięcie polityczne tego rządu nie zostało skonsultowane ze Stalinem zawczasu i by sprawca takiej niesubordynacji mógł ujsć bez kary, z drugiej wydawało się absurdalne, by Stalin wiedział o sprawie, akceptował posunięcie, a zmienił decyzję *post factum*. Osoby z otoczenia Mao opowiadały potem prywatnie, że ten, otrzymawszy telegram z Moskwy żądający porozumienia z wodzem Guomindangu i uwolnienia go, wpadł w furję, tupał, krzyczał i rozbijał wszystko pięściami. Ostatecznie przy walnym udziale wytrawnego dyplomaty Zhou Enlaia (Czou En-laja) konflikt został załagodzony i porozumienie między KPCh a Guomindangiem zostało zawarte (prawda, że wówczas bez skutków praktycznych). Dwaj buntownicy zostali później aresztowani, stra-

cono ich wraz z rodzinami, sekretarzami itp. przed ucieczką wodzów Guomindangu na Tajwan, gdy opróżniano więzienia.

Opisuję ten incydent tak dokładnie nie tylko dlatego, iż zebrane relacje mają wartość historyczną, ale także dlatego, że rzucają one sporo światła na stosunki między Moskwą a KPCh. Pokazują, że Komintern w pewnych wypadkach funkcjonował jako *lobby* partii komunistycznych, zderzając się z odmienną postawą czynników kierowniczych państwa, mających inne priorytety i koncepcje, choć ostatecznie to Komintern musiał przekazywać w teren decyzje nie przezeń podjęte. Dodajmy, że Stalin miał zadawane urazy do Kominternu i nigdy zbytnio go nie cenił, a o samym Mao mawiał, że jest jak rzodkiewka: patrzysz z wierzchu — czerwona, a poskrobiesz — wychodzi białe.

Podobnych konfliktów było wiele. W latach 1941-1942, gdy Moskwa stała w obliczu największego zagrożenia, Mao zainicjował u siebie kurs „sinizacji komunizmu”, nadawania mu chińskiej formy, i zasadniczych zmian doktrynalnych, a także eliminacji politycznej wszystkich, których uważał za powiązanych z Moskwą. Po skończeniu wojny światowej, gdy Jiang Jingguo, syn Jiang Jieshi, obecnie po śmierci ojca kierujący Tajwanem, wizytował Mandżurię i gdy KPCh przygotowała tam zamach na niego, to właśnie Rosjanie ostrzegli go. Studiował on kiedyś w Moskwie, tam się ożenił, miał tam przyjaciół i Moskwa wolała zachować go na przyszłość¹.

W końcowym okresie wojny, jak wynika z analizy posunięć politycznych i relacji prywatnych, Stalin miał plan „rozwiązania kwestii chińskiej” przez podział tego kraju. Mandżuria miała się stać „demokratyczną republiką ludową”, podobną do swych sióstr europejskich, tak samo jak republika turkiestańska proklamowana na chińskich terenach zachodnich, w rejonie Xinjiangu. Chiny północne zamierzał oddać nacjonalistycznym komunistom chińskim z Mao na czele, a na południu chciał zachować reżym Guomindangu, który w tej sytuacji ostałby się z jego łaski i funkcjonował jak Finlandia. Tybet miał uzyskać pełną samodzielność i stać się strefą buforową między posiadłościami rosyjskimi i angielskimi. Zjednoczenie tak podzielonych Chin nie mogłoby się dokonać nawet i za sto lat i tym sposobem imperium rosyjskie

1. Przebywał on na studiach w latach 20-tych. Po 1927 roku, gdy jego ojciec przyłączył się w Chinach do prześladowań komunistów i stopniowo wysuwał się na czoło Guomindangu, Jiang Jingguo pozostawał w ZSSR, był członkiem WKP(b), przyjął obywatelstwo sowieckie. Brał udział w pracach centrali Kominternu. W ramach czystek został wysłany z Moskwy do Magnitogorska, gdzie redagował m.in. gazetkę zakładową. Ze względu na pozycję ojca uniknął gorszego losu. Odesłano go do kraju (wraz z żoną i dziećmi) dopiero gdy rozpoczęła się wojna japońsko-chińska i gdy ZSSR zaczął normalizować swe stosunki z rządem guomindangowskim.

byłoby najsilniejsze na obu kontynentach. Właśnie dlatego w 1948 roku w Moskwie przyjęto delegację rządową „Demokratycznej Mandżurii”, z którą podpisano stosowne umowy o współpracy w różnych dziedzinach². I wcale nie kwapiono się z przekazywaniem zdobycznego sprzętu japońskiego wojskom Mao. Ambasador sowiecki był jednym z ostatnich, którzy opuścili rząd guomindangowski, uczynił to dopiero w przededniu wsiadania na okręty i panicznej ucieczki na Tajwan, gdy ambasador amerykański dawno już opuścił byłego sojusznika. Dlatego też konsul sowiecki w Pekinie długo nie chciał uznać nowych władz (Pekin zajęty został przez wojska KPCh w styczniu 1949 roku). Nie mogąc złożyć żadnych dokumentów, a chcąc pozostać w mieście, zapisał się na uniwersytet pekiński i czekał na dalsze wypadki. Przypomnijmy, że i Mao w końcowym okresie wojny chciał nawiązać współpracę z USA i w oparciu o ten kraj właśnie chciał modernizować Chiny. Ostatecznie dopiero w czerwcu 1949 podjął decyzję o nowym kursie „oparcia się na jednej stronie”, to jest ZSSR. Zjednoczenie Chin i ustanowienie tam władzy partii kierowanej przez Mao Zedonga było sprzeczne z zamiarami i interesami Moskwy, dlatego nie udostępniła ona kierownictwu chińskiemu środków desantowych zgromadzonych dla planowanej inwazji wysp japońskich, ratując w ten sposób resztki reżymu guomindangowskiego na Tajwanie przed wcieleniem do nowego państwa.

Wizja braterskich więzów Moskwy i Pekinu od chwili ustanowienia w Chinach władzy komunistów była tylko fikcją propagandową. Rzeczywistość była o wiele bardziej skomplikowana, czego przez czas długi Zachód zupełnie nie rozumiał, naiwnie wierząc, że wszyscy komuniści są „agentami Moskwy”, bez względu na to, co mówią. Pierwsza wizyta Mao w Moskwie ilustruje to najlepiej (opis opieram na trudnych do sprawdzenia relacjach prywatnych, które wydają się jednak wiarygodne). Mao opuścił swój kraj w końcu listopada 1949 roku, niemal tuż po proklamo-

2. Prezydentem Ludowej Mandżurii miał być Gao Gang, czołową rolę w tworzeniu prosowieckich struktur administracyjnych odegrał też tam Liu Shaoci (Liu Szao-ci). Obydwaj zajmowali później wysokie stanowiska w ChRL. Pierwszy został usunięty z władz i aresztowany natychmiast po śmierci Stalina, a w kilka lat później zmarł w więzieniu w niejasnych okolicznościach. Był to rzadki w Chinach przypadek fizycznej likwidacji w gronie przywódców (dopiero później w okresie rewolucji kulturalnej praktyka ta się upowszechniła). Liu Shaoci został potępiony dopiero w 1966 roku. Zarzutów dotyczących okresu ich współpracy z Rosjanami nigdy jednak publicznie nie roztrząsano, zarzucając im inne błędy. Było to zwykłą praktyką także wobec innych usuwanych dostojników, związanych niegdyś z pracą dla Kominternu lub inaczej powiązanych z Moskwą. Można jednak zakładać, że takiej współpracy, choćby podejrzewanej i odległej w czasie, Mao nigdy nie wybaczał i zawsze w końcu eliminował takich działaczy.

waniu ChRL (1 października), choć jego obecność na miejscu była pilnie potrzebna. Jechał do Moskwy pełen najgorszych obaw. Gdy pociąg przekroczył granicę i na peronie otoczyli go żołnierze, zabarykadował się w przedziale i nie dał się przekonać do przyjęcia zwykłego rytuału kompanii honorowej, oczekującej na „bratniego przywódcę”. Nawet kwiaty, które w pierwszym momencie przyjął, za chwilę wyrzucił przez okno, obawiając się pewnie, że mogą być zatrute.

Jego obawy w Moskwie nie rozwiązyły się, tym bardziej, że o jego przybyciu prasa moskiewska nie poinformowała. Znalazł się praktycznie w areszcie domowym. Jedyłą jego rozrywką, dość zresztą wątpliwą, było oglądanie co dzień dwu filmów sowieckich, jakie mu pokazywano. Pisał wielokrotnie listy, wojował o uzyskanie kuchenki elektrycznej i prawa dostarczania mu przez ambasadę ryżu, jajek i sosu sojowego, aby mógł sam się żywić (wciąż obawiał się zapewne otrucia), o kontakty z ambasadą (wciąż jeszcze obsadzoną przez personel epoki guomindangowskiej), wreszcie o pozwolenie zamieszkania w niej, na co mu wreszcie pozwolono. Chińczycy jednak odetchnęli z ulgą dopiero po pierwszym jego wystąpieniu publicznym, na spotkaniu z robotnikami zakładów Ligaczowa, o czym doniosła prasa. Świat wreszcie dowiedział się, że Mao przebywa w Moskwie, a zatem nie mógłby już zniknąć bez śladu, jak tyłu przed nim komunistów. Nadal jednak żadnych rozmów politycznych z nim nie prowadzono. Dopiero w końcu grudnia, gdy zaproszono go wraz z innymi delegacjami komunistycznymi na uroczystą akademię z okazji 70-tej rocznicy urodzin Stalina, obchodzonej szumnie, znalazł się za stołem przydialnym tuż obok wodza. Ten przed publicznością, korpusem dyplomatycznym i dziennikarzami wymieniał kordialne uśmiechy z Mao, ścisnął mu dłoń z szacunkiem itd., stwarzając złudzenie porozumienia i przyjaźni. Dopiero po tym spotkaniu zaczęły się rozmowy Mao ze Stalinem, w końcu stycznia dołączył do nich Zhou Enlai i inni funkcjonariusze przybyli z Pekinu. Traktat o sojuszu i przyjaźni wraz z towarzyszącymi dokumentami podpisano 14 lutego. Duża część rozmów toczyła się jednak w cztery oczy, tylko z tłumaczami każdego z nich. Tłumacz Stalina jeszcze tej samej wiosny w tajemniczych okolicznościach zginął. Wyglądało to na napad rabunkowy wieczorem na ulicy, choć w owych czasach napady takie w centrum właściwie się nie zdarzały. Tłumacza Mao także żaden cudzoziemiec nie widział później w Pekinie. Wydaje się także, że nie zachowały się z tych rozmów dokumenty, w każdym razie Chruszczow miał później wielkie kłopoty z odtwarzaniem dawnych porozumień, ich części tajnej, i podobno ostatecznie różne kwestie próbował wyjaśnić z Mao.

Choć nie znamy szczegółów, ogólne zarysy są jasne, gdyż po

prostu demonstrowała je praktyka polityczna. Jak można sądzić, kwestią kluczową była jedność i niepodległość Chin. Moskwa starała się zachować jak najwięcej *quasi*-kolonialnych przywilejów, a nawet rozszerzyć je, podczas gdy Mao starał się je eliminować, przede wszystkim te, które naruszały integralność terytorialną. Tak więc, na przykład, Stalin zgodził się ostatecznie zdemontować republikę turkiestańską i oddać całą chińską prowincję Xinjiang Chinom, ale za cenę utworzenia tam mieszanych towarzystw sowiecko-chińskich dla eksploatacji złóż ropy i metali rzadkich, a także uranu. Z kolei Mao uznał niepodległość Mongolii Zewnętrznej (Mongolskiej Republiki Ludowej) oderwanej od Chin w 1912 roku, uznanej przez aliantów na mocy porozumień jałtańskich, ale starał się tam zagwarantować pewną obecność chińską. Najtrudniejszą kwestią były jednak związki Mandżurii z ZSSR. Moskwa chciała tam zachować eksterytorialną bazę morską Port Artur jako swój jedyny niezamarzający port na Pacyfiku i jako symbol mocarstwowego powrotu nad Pacyfik (utracono ją w wyniku przegranej wojny z Japonią w 1905 roku, a wymuszono na Chinach zaledwie kilka lat wcześniej), szczególnie status portu Dalnyj, kolej mandżurską, a także sieć agend odtworzonych lub nowopowstałych w wyniku pokonania Japończyków i okupacji Mandżurii przez Armię Czerwoną.

Ślady sporów i targów widać w kompromisowym rozstrzygnięciu tych kwestii i rozmaitych szczegółowych uregulowaniach. Zapewne dyskutowano także przyszłość podzielonej Korei i Indochin, gdzie toczyła się antykolonialna wojna, być może także Birmy, Malajów i innych krajów Azji południowo-wschodniej, gdzie komunistyczna partyzantka toczyła walki z pewnymi szansami na sukces i gdzie etniczny element chiński odgrywał istotną rolę w walkach politycznych. W sprawie „wyzwolenia Tajwanu” Mao, jak można sądzić, nie uzyskał niczego konkretnego poza obietnicą poparcia dla dyplomatycznego uznania Chin Ludowych przez wszystkie państwa i dla koncepcji „jednych Chin” (akceptowanej także przez reżym guomindangowski na Tajwanie). Nie wielka była także przyobiecana pomoc gospodarza dla industrializacji Chin. Dostawy sprzętu wojskowego były okupione zgodą na wprowadzenie doradców sowieckich do sztabów chińskich, do szczebla dywizji włącznie. Doradcy ci byli później źródłem wielu konfliktów, gdyż próbowali pospieszyć siewietyzować armię chińską i opiniować decyzje personalne. Podobni doradcy pojawili się także w milicji i służbach tajnych. Ogólnie można ocenić, że Stalin osiągnął bardzo dużo, zaś Mao wybronił się jedynie przed najgorszym, albo też nie chcąc akceptować rozwiązań sowieckich pozostawiał liczne kwestie trudne (np. sprawę granic) „do późniejszego uregulowania”. Za cenę uznania „przewodniej roli ZSSR”, podporządkowania politycznego i siewietyzacji, uzyskał

wszakże jedno: Azja (od Japonii do Indii) miała być odtąd chińską strefą wpływów i postępy socjalizmu tam miały być kierowane z Pekinu, jedynie w uzgodnieniu z Moskwą. W ten sposób Chiny stały się niejako „mocarstwem regionalnym” i czynnikiem poniekąd autonomicznym w polityce komunistycznej. Miały być „młodszym bratem”, ale nie satelitą. To one miały posuwać naprzód przemiany komunistyczne w Azji wschodniej i południowo-wschodniej i tworzyć tam nowe reżymy komunistyczne.

Stalin zaakceptował ten szczególny układ, gdyż w ten sposób uzyskiwał trwałe przykucie Chin do rydwanu Moskwy, wystawiał je na ostry konflikt z USA, co było nie bez znaczenia przy dawnych animozjach i sympatiach proamerykańskich. Majstersztukiem jego polityki było zainicjowanie wojny w Korei i zaangażowanie tam wojsk chińskich. W ten sposób między Chinami i USA połała się krew. Wielka ofensywa Stalina z lat 1949-1951 angażująca Chiny w wielu walkach w Azji poniekąd służyła właśnie temu celowi. Z drugiej strony nie zamierzał wspierać w sposób istotny rozwoju gospodarczego Chin; ich słabość i rozliczne konflikty azjatyckie utrzymywały zależność Chin, zapobiegać miały ich uniezależnieniu politycznemu i gospodarczemu. Blokada gospodarcza i polityczna Zachodu, obejmująca Chiny, a nawet wystawiająca je na większe trudności niż kraje europejskie, które znalazły się pod wpływami Moskwy, służyła dobrze jego celom.

Dopiero za czasów Chruszczowa miały wybuchnąć konflikty. Z jednej strony zwiększył on znacznie pomoc gospodarczą i zgodził się na zlikwidowanie wielu dawnych przywilejów, wymuszonych przez Stalina, z drugiej jednak odrzucił istnienie chińskiej strefy wpływów i podjął sam rozliczne inicjatywy w Azji, zwiększające wpływy Moskwy. Był to poniekąd jego rewanż za mieszanie się Chin do polityki Moskwy w Europie, szczególnie w jej strefie wschodniej; Polska była tu nauczka szczególnie bolesną. Do tego dołączały się kwestie destalinizacji (uderzającej pośrednio w Mao i chiński system „kultu jednostki”) i polityki odprężenia. Wprawdzie Mao początkowo poparł obydwie te kierunki, szybko jednak uznał, że są one dla Chin niekorzystne, tym bardziej, że łączyły się z negowaniem w praktyce „ich strefy wpływów”. Ta ostatnia kwestia miała być kluczowa dla dalszego rozwoju konfliktu, niezależnie od zmieniających się z obu stron sloganów.

Dodać też należy, że w Chinach sam Mao wzywał do „uczenia się od Związku Sowieckiego” i popierał siewietyzację we wczesnych latach pięćdziesiątych. Można zakładać, że nie mogąc się polityce takiej sprzeciwić, starał się wyciągnąć z niej wszelkie korzyści, między innymi dla umacniania swej władzy, z drugiej zaś strony liczył się z góry z tym, że w karykaturalnej postaci doprowadzi ona społeczeństwo do zniechęcenia i obrzydli na

zawsze wszystko co sowieckie. Ułatwi mu zatem osobiście w przyszłości likwidację ugrupowań promoskiewskich w partii. I tak się też stało. Jest tylko pozornym paradoksem, iż walcząc przez lata z polityką Stalina, usuwając jego ludzi i wpływy w Chinach, po jego śmierci stał się głównym obrońcą jego mitu na arenie międzynarodowej i na centralnym placu Tiananmen w Pekinie zachował jego portret obok Marksa, Engelsa i Lenina i swojego własnego w centrum.

Od 1957 roku Chiny zaczęły coraz wyraźniej dążyć do przejęcia przywództwa światowego ruchu komunistycznego, dyskredytując w sposób zawołany, a później coraz bardziej otwarty, ZSSR. Wraz z początkiem rewolucji kulturalnej w 1966 roku podjęto wielką ofensywę przeciw Moskwie na arenie międzynarodowej, dążąc do stworzenia nowego maoistowskiego ruchu komunistycznego, odrębnych partii „marksistowsko-leninowskich”, zaś w polityce wewnętrznej rugowano zaciekle wszelkie ślady dawnego uzależnienia od Moskwy i zlikwidowano przejęty w latach pięćdziesiątych system stalinowski. Moskwa odpowiedziała na to zablokowaniem stosunków z Pekinem, polityką narzuconą także krajom od niej uzależnionym (wyłamała się z niej tylko Rumunia). W 1969 roku oba mocarstwa komunistyczne znalazły się na progu wojny. W rezultacie Pekin dokonał zasadniczego zwrotu politycznego i zaczął normalizować swe stosunki z USA. Dopiero dojście do władzy Deng Xiaopinga i reformy zainicjowane w 1978 roku miały doprowadzić do zaniechania poprzedniej polityki konfrontacji z Moskwą i powolnej poprawy wzajemnych stosunków; nowa polityka wewnętrzna i zagraniczna Gorbaczowa ułatwiła i przyspieszyła ten proces, daleki jednak od zakończenia. Na ile reformy sowieckie są odpowiedzią na nowe, gospodarcze wyzwanie chińskie, trudno powiedzieć, choć wpływ wydaje się niewątpliwy. Bez zadziwiających sukcesów Denga Gorbaczow nie mógłby zapewne zainicjować swych reform. Czynniki chiński okazał raz jeszcze swe szczególne znaczenie dla polityki Moskwy.

Krzysztof GAWLIKOWSKI

Reforma

Sprawy porządkowe

Być może na Zachodzie — nie znam się na tym — technika rządzenia jest taka, że deklaracja, zamiar, ustawa i wykonanie nie odbiegają zbyt daleko od siebie. Inaczej trudno jest zrozumieć,

dlatego tak liczni zachodni obserwatorzy tak często biorą za dobrą monetę wszystko, co władza PRL powie i postanowi, jeśli tylko odpowiada to ich oczekiwaniom. Mamy przecież ustawę o tym, że trzeba produkować towary dobrej jakości i tracimy jedną trzecią dochodu narodowego tylko dlatego, że produkuje się buble. W 1972 roku Sejm uchwalił rozwiązanie problemu mieszkaniowego w latach osiemdziesiątych, a ile było przełomowych posiedzeń KC na temat rolnictwa czy zgoła wyżywienia narodu...

Dlatego właśnie, rozpatrując ogłaszany obecnie drugi etap reformy, warto się zastanowić, co w nim jest deklaracją, zamiarem, a co decyzją i jak się ona ma do deklaracji i prawdziwych zamiarów oraz — co najważniejsze — do obiektywnie istniejących potrzeb i możliwości. Zaś na mówienie o wykonaniu przyjdzie dopiero czas, kiedy coś już zacznie działać naprawdę po nowemu — jeżeli zacznie.

Istnieje także iluzja, iż kształt reformy jest wynikiem „pracy myślowej”, stąd może tyłu w opozycji chętnych do udzielenia rządowi dobrych rad. Tymczasem nie chodzi tu o znalezienie optymalnego kształtu zreformowanej gospodarki. To jest walka o interesy. Tradycyjny kształt i sposób funkcjonowania gospodarki był (jest?) taki a nie inny przede wszystkim dlatego, że odpowiada interesom tych, którzy są jej właścicielami: władzy, elity, klasy rządzącej, etc. — nie zajmujemy się w tym miejscu socjologią, a wiadomo, o kogo chodzi. Gospodarka zawsze funkcjonowała źle, kraj miał się źle, ustrój miał się dobrze, gdyż tylko tak mógł istnieć i funkcjonować. Rząd się wyżywił. Ale poniżej pewnego progu zaczyna się rozpadać materia, którą się rządzi: mechanizm społeczno-gospodarczy wchodzi w stan takiej dysfunkcji, że nawet rządzić tym trudno i dochodzi do niebezpiecznych wybuchów społecznych. A nie można już tego ukrywać. Interes władzy wymaga więc zmiany tego stanu rzeczy. Staje wtedy problem reformy.

By nie dokonywać jej pod naciskiem społecznym i nie uwzględnić interesów innych niż własne, wprowadzono stan wojenny, co pozwoliło zredukować reformę do tak ograniczonych rozmiarów, że nie osiągnęła ona progu odczuwalności. Władza wybroniła wszystkie swoje interesy, lecz gospodarka nadal upada. Gdy to się stało oczywiste, wówczas dotychczasową reformę uznano tylko za jej pierwszy etap i cała sprawa stanęła od początku. Teraz jednakże wiadomo już, że jakieś interesy trzeba poświęcić, by uratować podstawowe. Nadal w luksusowych warunkach, nie czując bezpośredniego nacisku społeczeństwa, władza zaczęła więc głównie sama ze sobą, w swoim gronie prowadzić grę o to, co ma być poświęcone. Zeszło na to ponad rok i wynikiem tej daleko nie-

zakończonych walki jest obecny projekt drugiego etapu — niekonsekwentny rezultat chwiejnego kompromisu.

Nie ma żadnych mitycznych przeciwników reformy, których wypadałoby tropić i demaskować. We władzy wszyscy są za reformą — poważnie — bo każdy widzi, że dzieje się źle. Tylko nikt nie chce być tym, którego wyrzucą się za burtę tonącej łodzi. Każdy broni swych interesów. Właśnie suma obronionych pozycji zablokowała wszelkie skuteczne przemiany na tzw. pierwszym etapie. I jeśli nawet drugi etap ma w zamierzeniu jakieś pozycje oddać, to nie będzie oznaczać, że walka się kończy wraz z podjęciem decyzji. Po ustawach, które z reguły są połowiczne w stosunku do deklaracji, albo nie dzieje się nic, albo realizuje się część tego, co zamierzone, a przeważnie po pierwszych nieśmiałych krokach zaczyna się wycofywanie, tyle że mniejszymi krokami.

W dawnych latach kłócono się we władzy po cichu, po czym płód kompromisu ogłaszano jako jedynie słuszną i jedynie możliwą decyzję. Obecnie duża część sporu odbywa się przed oczami publiczności. Jawność ta jest bezsprzecznym postępem, ale jeszcze nie demokracją, gdyż decyzja nadal zapada w obrębie władzy, nawet jeśli wymyśla się referendum. Zaś w warunkach jawności i faktycznie daleko posuniętej liberalizacji cenzury, szczególnie w tematyce gospodarczej, odbywa się publiczne przedstawienie, dające władzy wyraźne korzyści propagandowe.

Wpierw Urban obwieszcza projekt daleko idących przemian gospodarczych i jest sensacja. Ci korespondenci, którzy z tego zrobili *news*, nie zwracają już uwagi na ogłoszone później enigmatyczne tezy lub wybierają z nich to, co odpowiada zapowiedziom, w które wcześniej uwierzyli. Przed V plenum KC przecieka skądś dokument (tezy), zapowiadający daleko idące przeobrażenia w gospodarce i w sferze społeczno-politycznej. Miał go w rękach co drugi chyba zachodni dziennikarz w centrum prasowym Interpressu. Mało wśród nich jest potem zainteresowanych faktem, że faktyczny pakiet zmian przedstawiony w Sejmie jest już o wiele mniej radykalny, a kwestie polityczne zawarte w pierwotnym dokumencie nie zostały poruszone ani na plenum, ani nigdzie indziej. To już nie jest *story*.

Następnie przedstawia się propagandowo uchwalone ustawy jako przynajmniej krok we właściwym kierunku, co jest ulubionym zwrotem retorycznym licznych obserwatorów. Zaś jeszcze później można wykorzystać nawet faktyczny sabotaż wykonywania, dramatyzując go odpowiednio i usprawiedliwiając nim fakt, że reforma nie wychodzi tak, jak powinna...

Dopiero mając to wszystko na uwadze, można spróbować się zastanowić, jakie były mniej więcej prawdziwe zamiary władzy przy podejmowaniu niedawnych decyzji.

Realia i pozory

Najwięcej uwagi przyciąga rzecz stosunkowo mało istotna: reorganizacja struktury zarządzania. Władza traktuje ją jako dowód swojej wiarygodności, wiedząc, że ludzie chcą zobaczyć, jak ONI sami się wreszcie biorą za siebie. W gruncie rzeczy operacja nie jest niczym nowym, choć skala i spektakularność tego akurat przedsięwzięcia jest większa niż kiedykolwiek.

System budował się w Polsce przez kilka zaledwie lat w zgodzie ze swym modelem kanonicznym, zaś od z górą trzydziestu lat głównie się reformuje. Jak dotąd, hasłem wywoławczym reformy była nieodmiennie decentralizacja. A ponieważ wszyscy narzekali na nadmierny centralizm, przeto jego osłabienie zawsze było dobrze przyjmowane. Mało kto się zastanawiał, że jeśli nawet decentralizowano, to poprzez delegowanie uprawnień w dół. Można więc mówić najwyżej o usprawnieniu organizacyjnym w zarządzaniu. Nie obdziela się przy tym niższych jednostek żadnymi niezwykłymi prawami, żadną choćby wąską, ale nienaruszalną autonomią. Nie mogło to zatem wpływać na charakter stosunków ekonomicznych, gdyż nie tworzyło nowych podmiotów. Właściwym podmiotem skupiającym w obrębie gospodarki państwowej własność i władzę nadal pozostawało państwo. Wyłączało to możliwość funkcjonowania rynku, prawa podaży i popytu, przepływu kapitału, kształtowania się cen rynkowych. Jednym słowem: nie mogły zaistnieć prawdziwe relacje ekonomiczne, możliwe tylko między odrębnymi niezależnymi podmiotami. Łączenie i dzielenie urzędów, tworzenie i znoszenie instancji, zmiana nazw i zakresu kompetencji może wpływać na sposób funkcjonowania gospodarki, ale w ograniczonym zakresie. Podobnie ograniczony wpływ mają zmiany sposobu zarządzania i sposobów motywacji. Ruchy w tym zakresie pojawiają się później, kiedy już sama reorganizacja w jawny sposób nie zbliża oczekiwanych rezultatów.

Na tym poziomie reformowania mówi się więc najpierw długo o rynku, rachunku ekonomicznym, twardych realiach, co jest tylko szumem propagandowym i uzasadnieniem polityki podwyższania cen, mających przecież być „realnymi”. Jednocześnie służy to za uzasadnienie utrzymywania płac daleko nie odpowiadających nawet polskiemu standardowi uprzemysłowienia, czy szerzej: poziomowi cywilizacyjnemu. Albowiem płace od momentu odkrycia przez komunistów „ekonomii” mogą już tylko rosnąć w miarę wypracowywanych efektów. Czyli nadal pozostając w skandalicznie niskiej proporcji w stosunku do tworzonego produktu.

W praktyce zaś trwa to, co stanowiło istotę pierwszego etapu

reformy: system nakazowo-rozdzielczy stawał się, stopniowo i niekonsekwentnie, nieco mniej nakazowy i o wiele bardziej rozdzielczy (niektórzy dodają też „przetargowy”). Różne zakłady, w różnym zakresie, uzyskują szersze niż dotąd prawo podejmowania decyzji, lecz pozbawia się je możliwości samodzielnego ich wykonywania. Z publikowanej ostatnio co roku listy wyników ekonomicznych 500 największych zakładów przemysłu przetwórczego wynika, że państwo pod różnymi postaciami zabiera ok. 95 % zysku całej tej grupy, zaś ogromna część tej sumy wraca — przeważnie w postaci dotacji — do tej części zakładów, która jest deficytowa. Centrum zatem działa jak wielka pompa ssąco-tłocząca. Zakład może nie zawsze musi się słuchać, lecz zawsze musi prosić o zostawienie mu lub przydzielenie środków na wszystko, co nie mieści się w ramach bieżących wydatków.

Drugi etap uruchamia na jeszcze większą skalę posunięcia reorganizacyjne i „ekonomizacyjne”. Zapowiada się więc dalszą delegację uprawnień do niższych ogniw i do zakładów, czyli dalsze zmniejszenie nakazowości. Zapowiada się też zmniejszenie rozdzielczości, przerzucenie w większym niż dotąd stopniu odpowiedzialności ekonomicznej na zakłady. Służyć temu mają jednakowe dla wszystkich przepisy, zmniejszenie licznych dotąd wyjątków, powodujących, że każdy prawie zakład działał na podstawie oddzielnej dyspozycji. Jest to bezsprzecznie decyzja pozytywna, tyle tylko, że już ją wielokrotnie podejmowano. Miała stanowić istotę reformy od jej samego początku w 1982 roku. A zatem wiarygodność tych zapowiedzi nie jest zbyt wielka.

Zupełnie też nie zgadzają się z roztaczaną wizją rynku i działaniem prawa podaży i popytu decyzje, zostawiające państwu ustalanie cen. Podcina to u samej podstawy prawdziwy rachunek ekonomiczny, niemożliwy bez cen ustalanych przez rynek. Cały więc „realizm ekonomiczny” ma być w dalszym ciągu oparty na sztucznej podstawie, jaką jest urzędowa cena, która nie może odzwierciedlać realnych nakładów oraz wartości. Ale pozwala to zachować państwu władzę nad gospodarką, tyle że nazywa się to kierowaniem przy pomocy tzw. parametrów ekonomicznych.

Jeszcze większa sztywność niż przy cenach obowiązuje w dziedzinie płac. Sztywność polityki płacowej jest wyraźnie zapowiedziana, co nie pozwoli na traktowanie płac jako czynnika ekonomicznego, najistotniejszego chyba w gospodarce krajów uprzemysłowionych. Zapowiada to nadal niski poziom płac, czy nawet ich obniżenie, w ramach wyrzeczeń podsunętych do akceptacji w referendum. Pozwoli to państwu w dalszym ciągu przeznaczać na konsumpcję nikłą część produktu narodowego. A jednocześnie praca pozostanie w dalszym ciągu praktycznie najtańszym składnikiem kosztów produkcyjnych i najbardziej marnotrawionym

(energochłonność i materiałochłonność gospodarki polskiej jest 2-3 razy większa niż w rozwiniętych krajach Zachodu, a wydajność pracy jest niższa nie mniej niż 4-5 razy).

W sumie trzeba zatem stwierdzić, że dotychczasowy system gospodarczy, lekko zmodyfikowany (jak dalece, trudno z góry przewidzieć) pozostaje zasadniczo bez zmian. Odpowiada to zresztą oficjalnym założeniom reformy. Wszystko co się w niej mieści ma być socjalistyczne i socjalizm umacniać. Najciekawsze są jednak te posunięcia, oczywiście „socjalistyczne”, które stanowią faktyczne odstępstwo od zasad kanonicznych ustroju. Mogą one być niewielkie i nieznaczące. W wielu przypadkach mogą nie wyjść poza sferę deklaracji, lecz to są właśnie te pozycje, które system oddaje faktycznie, lub o których mówi, że je zamierza oddać.

Mogą te odstępstwa mieć miejsce w tzw. sektorze spółdzielczym. Tak zwanym, gdyż na sektor ten składają się przede wszystkim ogromne zdecentralizowane struktury, monopolizujące całą działalność gospodarki. Państwo *de facto* rozporządza ich własnością i całkowicie nimi kieruje. Jedyne margines spółdzielczości stanowi mniej więcej rzeczywistą spółdzielczość. Te niewielkie i w miarę samorządne jednostki walczą cały czas z naciskiem centralnych związków spółdzielczości, czyli struktury, realizującej politykę państwa.

Zapowiedź zniesienia przymusu przynależności do tych związków i zawarowanego niektórym z nich monopolu skupu produktów rolnych może prowadzić do „uspółdzielczenia spółdzielczości”. Formalnie nic by się nie zmieniło, lecz faktycznie jakaś część gospodarki wyszłaby z bezpośredniego władania państwa. Byłoby to zmianą stosunków własnościowych, a więc w jakimś stopniu zmianą ustrojową.

Podobny charakter mogłoby mieć zapowiedziane przekazywanie jakiejś innej części gospodarki państwowej gospodarce komunalnej (pod warunkiem, że oparty na nowych zasadach samorząd terytorialny uzyskałby niezależność od państwa). Faktyczne osiągnięcie takiego stanu, nawet jeśli go się szybko zadekretuje, będzie wymagało długiej i męczącej walki, lecz samo wskazanie tej możliwości już stanowi nowość na tle dotychczasowej teorii i praktyki.

Kwestia własności, podstawowa dla każdego ustroju, nie jest bynajmniej precyzyjnie przedstawiona w programie „drugiego etapu”, ale znaczące jest, że się ją w ogóle stawia. Że przestaje obowiązywać dotychczasowa koncepcja niepodzielnej własności „ogólnospołecznej”, będącej jedynie absolutną własnością państwa. Jakież zmiany w tej dziedzinie może przynieść dopuszczenie kapitału mieszanego, państwowego i prywatnego (w tym zagranicznego), system papierów wartościowych itp.

Daleko idącą zmianą zasad ma być również zastąpienie systemu koncesyjnego rejestracją. O celowości przedsięwzięcia gospodarczego miałby więc decydować ten, kto je podejmuje i ewentualnie klienci, a nie — jak dotąd — instancja państwowa, która może stwierdzić, że w tym miejscu jest dosyć butików, a potrzebny byłby kiosk z warzywami. W praktyce może się zmienić bardzo niewiele. W licznych przypadkach władze bywają liberalne, a i w przyszłości na pewno znajdą sposób, aby utracić niepożądane przedsięwzięcie, lecz w płaszczyźnie systemowej jest to odejście od wyłączności państwa na działalność gospodarczą, która może się odbywać tylko za jego zezwoleniem. (Nie dotyczy to rolnictwa indywidualnego, które też jest dość ściśle kontrolowane przez państwo, ale w inny sposób). Dla przedsiębiorstw państwowych, które może będą mogły swobodnie podejmować różne inicjatywy gospodarcze, zmiana ta jest jedynie usprawiedliwieniem, lecz dla sektora niepaństwowego jest to wejście na znacznie wyższy poziom samodzielności.

By się nikomu nie przewróciło w głowie, drugi etap nie wspomina o zniesieniu rozlicznych ograniczeń (głównie natury podatkowej, ale nie tylko), które niepaństwowemu przedsiębiorstwu (w rolnictwie i poza nim) nie pozwalają na przekroczenie granicy, za którą przestaje być „drobnym”. Wszelako atmosfera reformy, o ile można mówić o czymś takim, umożliwi podejmowanie starań i walki o zmianę regulacji prawnych krępujących ten sektor i pozytywne rozstrzygnięcia — *via facti* — w poszczególnych przypadkach. Tym bardziej, że powstają grupy interesów — *lobbies* — prywatnej przedsiębiorczości. Zostało już zarejestrowane Towarzystwo Przemysłowe w Krakowie. Trwa postępowanie rejestracyjne podobnego Towarzystwa Gospodarczego w Warszawie. Słyszycie się o innych tego rodzaju inicjatywach. Idzie to z oporami, lecz na tym odcinku pluralizm zaczął się przebijać.

Ogólny wniosek, który się nasuwa jest taki, że państwo zdecydowało się na częściowe i ograniczone zmniejszenie swojej własności i kontroli, czyli władzy na tych obszarach, które uważa za peryferie gospodarki. Tu zaczyna jeszcze daleko nie dominować, lecz w większym niż dotąd stopniu przejawiać się pragmatyczne podejście. Władza ma świadomość, że oddając te właśnie pozycje — i kamuflując, co zrozumiałe, ustrojowy charakter niektórych ustępstw — przyczyni się do lepszego funkcjonowania tego sektora i związanej z nim części sektora państwowego (przemysł lekki, usługi etc.). Pozwoliłoby to na jakąś poprawę sytuacji rynkowej, a i państwu dałoby większe niż dotąd środki na jego cele, a przede wszystkim na to, co stanowi dlań jądro gospodarki — jej działy strategiczne.

Przed nimi reforma się zatrzymuje, stanowiąc tylko uspraw-

nienie organizacyjne oraz kamuflaż. Widać to nawet z przebudowy centrum. O ile likwiduje się ministerstwa gałęziowe dla większości gospodarki, to zostawia się faktyczne resorty — pod nazwą wspólnot — dla hutnictwa stali, górnictwa węglowego, energetyki. Zadaniem tych struktur będzie, jak dotychczas, obrona interesów kierowanych przez nie działów, polegająca na zdobywaniu dla nich środków wymuszania i korzystnych regulacji prawnych. Być może jedynym postępem będzie polegał na nieco sprawniejszej organizacji zarządzania nimi, ale i tego nie można z góry przewidzieć.

Dzieje się tak głównie z tego powodu, że państwo nie zamierza w niczym zmniejszać swej władzy nad dziedzinami, które uważa za najważniejsze dla siebie (nawet jeśli ogranicza ich obszar). Zmniejsza się wprawdzie ilość zakładów o specjalnym znaczeniu z ok. 1.400 do 400, lecz waga tego, co pozostaje, jest nieproporcjonalnie większa, niż by to wynikało z ich liczby. A oznacza to pozostanie tej części gospodarki w niemal klasycznym systemie nakazowo-rozdzielczym. Zmniejsza się też znacznie ilość dzielonych centralnie środków, lecz zostawia się w dystrybucji centrum energię i jej nośniki, podstawowe surowce i wszystko, co państwo uzna za strategiczne, a co określa funkcjonowanie całej gospodarki.

Tu już wchodzi w grę czynniki absolutnie pozagospodarcze. Wydawałoby się bowiem, że jeśli zreformowanie gospodarki ma ją usprawnić, to w pierwszym rzędzie należałoby reformą objąć jej część najważniejszą, najdroższą, skupiającą największą część majątku narodowego i najmniej przy tym efektywną, a raczej deficytową. Wszyscy jednak mają świadomość, że poddanie tego „jądra” nawet ograniczonemu i opartemu na urzędowych przesłankach rachunkowi ekonomicznemu wykazałoby absurd istniejącej struktury gospodarki. Zaś próba wyciągnięcia konsekwencji ekonomicznych musiałaby oznaczać samolikwidację wielkiej części najcięższego przemysłu. Byłoby to jednak zapewne zagrożeniem dla polityki zbrojeń i innych zobowiązań wobec krajów RWPG, głównie ZSSR, a już na pewno byłby to cios wymierzony w bardzo kluczową część aparatu władzy: administrację tych resortów, związane z nimi najpotężniejsze komitety partyjne, w sporą część centrum — tak w rządzie, jak i w KC. Byłoby to też jakimś zagrożeniem dla załóg wielkich zakładów pracy, których władza się autentycznie boi. Ta ostatnia kwestia, delikatna również z punktu widzenia „Solidarności”, jest o tyle niejednoznaczna, że i w tych zakładach, mimo licznych przywilejów, obserwuje się stopniowy odpływ ludzi, którzy nie widzą dla siebie przyszłości „na państwowym”. W każdym bądź razie nie zamierza się narażać interesów „baronów węgla i stali” (kursuje już

takie określenie w oficjalnej prasie), w przeciwieństwie do interesów skorumpowanych prezesów od skupu produktów rolnych, którzy też będą się skutecznie bronili.

Perspektywy

PRL przypomina pechową amerykańską firmę, która ma zawsze o dolara za mało i o dzień za późno. Nie wiadomo, czy drugi etap wprowadzony sześć lat temu zamiast pierwszego zapewniłby nam *prosperity* — raczej nie — ale na pewno byłby wprowadzany w lepszych warunkach. Polska cierpi nie tyle na skutek głębokości kryzysu, ile jego trwania. Skutki się kumulują, rozpad majątku narodowego trwa, potęgują się zmęczenie i apatia. Autentycznego poparcia społecznego ekipa nie ma, tak jak nie miała po wprowadzeniu stanu wojennego. Wtedy jednak część społeczeństwa liczyła również na materialne skutki „ładu i porządku” oraz na radykalne posunięcia gospodarcze. Tym może można było kupić jakieś poparcie. Zresztą: było, minęło...

Z przeglądu propozycji na drugi etap nie wynika, aby mógł on gospodarce zaszkodzić. Większość zapowiadanych kroków wygląda na idące w właściwym kierunku. Problem polega na tym, czy znowu nie okażą się one poniżej progu odczuwalności, który tymczasem się podniósł. To, co dla władzy jest wielkim przeobrażeniem, bo oznacza reorganizację jej struktury, nie musi być znaczącą zmianą sposobu gospodarowania. Jeśli zgodzimy się, że kryzys, który w różnej formie przeżywają wszystkie kraje bloku, ma charakter strukturalny, że ten marnotrawny system wyczerpał swoje możliwości wzrostu, a nawet funkcjonowania na dotychczasowym poziomie (w Polsce na pewno), to pozostawienie go takim jaki jest, jedynie z drobnymi poprawkami, może przynieść w najlepszym przypadku drobną poprawę, a raczej nie będzie początkiem zwrotu w kierunku rozwoju, dobrobytu itp.

By nie zostawać w kręgu ogólników, warto pokazać jeden proces, mianowicie dekapitalizację. Otóż stopień zużycia maszyn i urządzeń w przemyśle wynosił w 1985 roku ok. 62 %, w budownictwie — ok. 70 %, a stopień zużycia środków transportu prawie 50 %. Zaczęło się to jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych, w okresie gierkowskiej *prosperity*. Wystarczyło, że wzrost nakładów inwestycyjnych na jednego mieszkańca, wynoszący w latach 1971-1974 średnio 17,5 %, spadł do 1-3 %, a stopień zużycia, który w pierwszej połowie dekady zmniejszył się w granicach 1-3 %, zaczął rosnąć i rośnie do dzisiaj. Nakłady inwestycyjne spadały z roku na rok w okresie 1979-1982 i do dziś nie osiągnęły przedkryzysowego poziomu, mimo, że od czte-

rech lat wzrastają wolniej. Lecz ten wzrost nie powstrzymuje wzrostu stopnia zużycia środków trwałych. Po prostu nakłady nie pozostają w żadnej proporcji do tempa rozkładu. Gospodarka, która stale zużywa na wyprodukowanie czy zbudowanie czegokolwiek 2-3 razy więcej surowców i energii niż prawdziwie rozwinięte kraje (i proporcjonalnie w takim samym stopniu bardziej dewastuje środowisko) może rosnąć dopóki ma skąd brać, dopóki ma darmowy (z punktu widzenia władzy) węgiel i inne surowce, wodę, ziemię, powietrze do zanieczyszczenia. Kiedy się te możliwości wyczerpują, nie jest w stanie dalej rosnąć. Nie jest też w stanie zapracować na reprodukcję prostą (tak długo, dopóki jest marnotrawna w tym samym stopniu). A jest z wielu przyczyn, głównie z powodu przerostu kompleksu surowcowo-energetycznego. W pewnym tylko uproszczeniu wygląda to tak, że kolej wozi węgiel z kopalni do hut i elektrowni, elektrownie przesyłają prąd do kopalń, hut, kolei i fabryk, które to wszystko obsługują. Z hut wozi się stal do kopalń i do tych fabryk. A ponieważ ruda jest zza granicy, więc się ją kupuje za węgiel. W ten sposób przez długi czas rośnie produkcja i coraz więcej się buduje i wozi, rozwija się handel zagraniczny, wzrasta dochód narodowy i wszystkie inne wskaźniki — na co się przez jakiś czas nabiera zachodnich kredytodawców — a ciągle brakuje węgla, prądu, stali, maszyn i możliwości przewozowych. I ten obsługujący głównie siebie agregat wchłania, w ogromnym stopniu nieproduktywnie, pracę, surowce, kredyty, zanieczyszcza środowisko, a kiedy się możliwości zasilania z zewnątrz kończą, wyrывa skutecznie malejące środki innym sektorom. I jeśli drugi etap zostawia ten kompleks w nienaruszonym stanie i nawet go broni, to można wątpić, czy rolnicy, szewcy i krawcy dźwigną do góry gospodarkę z takim kamieniem u szyi, nawet jeśli się im stworzy nieco lepsze warunki. To chyba wystarczy, by co najmniej sceptycznie patrzeć na szanse gospodarki, abstrahując już od masy innych, także ważnych aspektów.

Ponieważ jednak nie możemy przewidzieć, co naprawdę zostanie zrobione, tym bardziej nie możemy przewidywać skutków. Można co najwyżej powiedzieć cokolwiek o zamiarach i oczekiwaniach. Jeśli chodzi o władzę, wydają się dość przejrzyste. W opozycji można zaś z grubsza wyróżnić dwa nurty. Jeden, liberalny, stoi na stanowisku, że skoro nie ma się na to wpływu, to należy zostawić władze z jej gospodarką na głowie, a walczyć o wykorzystanie i poszerzenie wszystkich możliwości dla rozwijającego się — jednak — sektora niepaństwowego. Jego faktyczna rola jest już znacznie większa niżby to wynikało z danych statystycznych, opartych na dowolnych szacunkach. Drugi nurt, określaný przez liberałów jako socjalistyczny czy socjaldemokratyczny, twierdzi, że nie można machnąć ręką na całą prawie gospodarkę,

gdzie zgrupowana jest ogromna większość pracujących i cały prawie zasób środków trwałych w produkcji. Nie bardzo jednak może on powiedzieć, co z tym można uczynić nie mając władzy ani wpływu na władzę. Można jej dawać dobre rady i jest to robione, lecz wiadomo, że nic z tego nie może wyniknąć. Bo jak się rzekło, nie chodzi o koncepcję, ale o siłę, z którą się walczy o interesy. Zaś o bezpośrednie interesy większości społeczeństwa nikt obecnie w tej rozgrywce nie walczy.

Odnosi się wrażenie, że nawet duża część opozycji, w tym też działacze „Solidarności”, zaakceptowała tezę, że reformowanie gospodarki wymaga wyrzeczeń, przejściowego pogorszenia, po którym dopiero ma się zacząć poprawiać. Opozycja tylko nie wierzy, że wyrzeczenia w wykonaniu rządowym będą skuteczne, czy też w to, że je ludność zaakceptuje, jeśli nie wystąpi z tym wiarygodna siła społeczna. Stąd postulat pluralizmu związkowego, co w przełożeniu na proste odczucia robi wrażenie propozycji: przywróćcie nas, a my odegramy rolę karbowego.

Całe to rozumowanie jest oparte na błędzie. Pogorszenie — przejściowe lub trwałe — powoduje gwałtowna rewolucja. Reforma usprawniająca gospodarkę może przynieść przejściowe komplikacje, lecz powinna też od razu zacząć przynosić, niechby i wolno, pozytywne efekty. Chodzi zresztą o bardzo konkretne rzeczy: prawdziwy rachunek ekonomiczny pozwoli przestać tracić ogromne nakłady na jałowy i destrukcyjny agregat wielkoprzemysłowy. System rynkowy nie jest czymś, czego trzeba się długo uczyć. Można w nim działać lepiej lub gorzej, ale zasada, że trzeba taniej kupić i drożej sprzedawać jest dostępna każdemu poza realnym socjalizmem. Trzeba ogromnego wysiłku władzy komunistycznej, w wielu przypadkach (ZSSR, Chiny) ludobójstwa, by zmusić ludzi do rezygnacji z tzw. zachowań rynkowych. Wystarczy przestać przeszkadzać, by wrócić.

Straszenie wyrzeczeniami w PRL jest z jednej strony próbą zmniejszenia nacisku na daleko idące reformy, a z drugiej — pozwala użyć te same reformy jako nowego pretekstu do dalszego szukania przez władzę rezerw w dziedzinie konsumpcji. Ciekawe, że we wspomnianym tu dokumencie, który „przeciekał” przed V plenum, było w ostrych słowach powiedziane, że trzeba skończyć z polityką szukania równowagi przy pomocy podwyżek cen, bo jest ona przede wszystkim nieskuteczna. Ale już projekt drugiego etapu, w kilka dni później, łączył się z kolejną ofertą „wyrzeczeń”, które naród ma sam sobie zaaplikować w formie referendum.

Ta część reformy na pewno będzie konsekwentnie realizowana.

Ernest SKALSKI

„Watergate” po niemiecku

Republiką Federalną Niemiec wstrząsnął niedawno „największy skandal polityczny od powstania Republiki”, jak aferę wokół premiera rządu kraju związkowego Schleswig-Holstein Uwe Barschla, jednego z młodszych polityków CDU, powszechnie nazywała zachodnioniemiecka prasa. Drugim określeniem, jakim ochrzczono skandal w północnej części RFN jest „Watergate”.

W połowie września odbyły się w północnej części RFN wybory do parlamentów krajów związkowych. Rządząca w RFN koalicja CDU/CSU/FDP poniosła w tych wyborach porażkę, zwłaszcza w Bremie, gdzie rządząca CDU utraciła ponad 9 % wyborców (z 33,3 % na 23,4 %). Nie lepiej było też w Schleswig-Holsteinie, gdzie koalicja CDU/FDP utrzymała swoją przewagę tylko jednym miejscem w parlamencie. Rozgłos wokół tych wyborów tylko w niewielkiej części spowodowany był porażką rządzącej koalicji. Dzień przed wyborami ukazał się numer tygodnika *Der Spiegel* z sensacyjnymi doniesieniami na temat machinacji przedwyborczych, jakich miał się dopuścić Uwe Barschel — premier rządu w Kiel. Według doniesień hamburskiego tygodnika Barschel miał polecić swojemu współpracownikowi z centrum prasowego, Pfeiferowi, zorganizowanie kampanii oszczerstw przeciwko kontrkandydatowi w nadchodzących wyborach, Bjornowi Engholmowi z SPD. Kampania ta miała między innymi polegać na przejrzeniu deklaracji podatkowych kandydata SPD i wyszukaniu w nich ewentualnych nieścisłości, jak również śledzeniu Engholma w celu wykrycia jego domniemych seksualnych zbroczeń. Obie akcje były nieskuteczne, ponieważ podatki kandydata socjaldemokratów okazały się w porządku, a detektywów po paru dniach zdjęła policja. Po tych rewelacjach Barschel złożył oficjalne oświadczenie, w którym zdecydowanie odrzucał oskarżenie *Spiegla*, podając przy okazji tygodnik i Pfeifera do sądu. *Der Spiegel* ogłosił tymczasem, iż w swoich doniesieniach opierał się na 20-stronicowym zeznaniu Pfeifera, podpisanym pod przysięgą. Barschel natychmiast także przysięgł, iż cały tekst „z wyjątkiem poprawnej pisowni nazwiska Barschel” wysany jest z palca. Tym sposobem naprzeciw siebie znalazły się dwie przeciwstawne w treści przysięgi, obie zagrożone karą sądową w razie udowodnienia kłamstwa. Barschel zwołał konferencję prasową, na której bronił się przed zarzutami, jednak w paru miejscach zawodziła go pamięć, co mogło być tyleż ludzkie, co polityczne. *Der Spiegel* także nie dał za wygraną i w następnym numerze opublikował kolejne rewelacje (między innymi o liście partii Zielonych, skierowanym do prasy, mającym poróżnić ich z SPD, którego autorem i zręcznym fałszerzem był według *Spiegla* sam Barschel). Sprawa zaczęła wyglądać niezbyt pomyślnie dla

Barschla, jako że zarzuty Pfeifera potwierdziła (oczywiście również po przysięgą) sekretarka premiera rządu w Kiel. W swoich zeznaniach uzupełniła ona obraz „niemieckiej Watergate” o aparat podsłuchowy, który Barschel, po nieudanej akcji z detektywami, chciał wmontować do swojego telefonu, by rzucić podejrzenie na SPD. Niestety zaufany Pfeifer nie zdążył zdobyć odpowiedniego urządzenia. Zdążył natomiast opowiedzieć wszystko redaktorom *Spiegla*.

Rozpoczęła się polityczna karuzela. Kanclerz Kohl wraz z ministrem finansów Stoltenbergiem opowiedział się po stronie partyjnego kolegi. Opozycja zażądała dymisji Barschla. Najciekawiej zachowywał się partner koalicyjny CDU — FDP, czyli liberałowie. Najpierw ogłosili, że o żadnej koalicji nie może być mowy dopóki zarzuty nie zostaną całkowicie wyjaśnione. Potem podali, iż zarzuty wobec Barschla nie będą miały wpływu na rozmowy w sprawie koalicji rządowej w Kiel. Następnie przewodniczący liberałów w Schleswig-Holstein demonstracyjnie odmówił pozowania do wspólnej fotografii z „koalicyjnym partnerem” Barschlem. Te zygzaki liberałów z FDP doprowadzały do wściekłości polityków z prawego skrzydła CDU, a szczególnie członków trzeciej partii koalicji — CSU. Barschel także nie czuł się zbyt dobrze wobec ostracyzmu ze strony FDP. Tymczasem detektyw, który organizował akcję śledzenie kandydata SPD przysłał rachunek do centrali CDU, żądając wypłacenia honorarium. Wokół Barschla zaczęło robić się coraz zimniej i puściej. Nawet koledzy z kancelarii premiera w Kiel zaczęli przypominać sobie różne szczegóły, które mogłyby potwierdzać wersję *Spiegla*. W końcu szef kancelarii rządowej w Kiel przypomniał sobie, iż wiedział o aferze z podsłuchem. Dzień później Barschel złożył rezygnację.

Do tej chwili ulubionym zajęciem dziennikarzy było spekulowanie „kto zełgał?”. Wszystko wyglądało na to, iż Barschel nie miał zbyt czystego sumienia, chociaż rezygnację umotywował poczuciem odpowiedzialności za „przestępcze poczynania” jednego z pracowników jego urzędu. Główny sprawca całego skandalu, Pfeifer, zamieszany był już kilkakrotnie w różne polityczne i prasowe skandale i jego wiarygodność także pozostawia dużo do życzenia. Tym bardziej, iż już raz skazany został za podawanie do publicznej wiadomości oszczerczych informacji. W międzyczasie Barschel pojechał na urlop, a w Kiel zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Przed wszystkim powołano parlamentarną komisję dochodzeniową mającą zbadać całą sprawę. Już po pierwszych przesłuchaniach wyszła na jaw nowa sensacja: regionalne władze SPD w Schleswig-Holsteinie już na kilka tygodni przed wyborami były poinformowane o machinacjach dokonywanych przez Pfeifera w kancelarii CDU przeciwko kandydatowi SPD — Engholmowi. Pomimo solennych zapewnień okazało się, iż już w lipcu nawiązali kontakt z samym Pfeiferem, który dokładnie informował ich co dzieje się w kwaterze CDU. Po ujawnieniu notatek Pfeifera z nazwiskiem rzecznika SPD w Schleswig-Holsteinie socjal-

demokraci przeprosili opinię publiczną za wprowadzenie jej w błąd. Całe szczęście, że wcześniej nie złożyli tak popularnej ostatnio w tamtym rejonie przysięgi notarialnej. Jednak na przeprosinach nie mogło się skończyć. W związku z kontaktami przedwyborczymi SPD z człowiekiem, który później swoimi rewelacjami doprowadził do załamania kariery politycznej przeciwnika socjaldemokratów w tych wyborach — cała sprawa zaczęła wyglądać nieco inaczej. Zaczęto sobie zadawać pytanie: jaka była rzeczywista rola Pfeifera oraz co kryje się za początkowym milczeniem polityków SPD, którzy na długo przed wyborami wiedzieli o całej aferze. SPD swoje parotygodniowe milczenie tłumaczy niewiarygodnością osoby Pfeifera i jego rewelacji. Skoro jednak był taki niewiarygodny, to po co organizowano następne z nim spotkania i to w dodatku z samym przewodniczącym SPD tego regionu — Jansenem? Engholm twierdzi, że aż do wyborów niczego nie wiedział, ale oczywiście nikt w to nie wierzy. Jest mało prawdopodobne, by o rewelacjach Pfeifera dotyczących akcji przeciwko Engholmowi, kandydatowi SPD na urząd premiera Landu, nie poinformowali go jego partyjni koledzy z rzecznikiem i przewodniczącym partii włącznie.

W tym samym czasie partia CDU w Kiel zaczęła odsuwać się od swojego przewodniczącego i nawet zażądała, by zrezygnował z immunitetu poselskiego, co podobno wręcz załamało Barschla. Komisja wezwała go w przyspieszonym terminie na przesłuchania. Dwa dni przed złożeniem wyjaśnień znaleziono Barschla nieżywego w wannie w jednym z genewskich hoteli.

Reakcja prasy zachodniemieckiej na tę wiadomość niewiele różniła się od amerykańskich wzorców: zalew spekulacji, kompletne pomieszenie informacji i dezinformacji, donosy, roztrzaskanie najdrobniejszych szczegółów z życia Barschla i jego rodziny itd. Największy chaos zapanował w prasie na temat powodu śmierci Barschla. Przyczyniła się do tego policja szwajcarska, która udzielała bardzo skąpych informacji, prowokując spekulacje. O paranoi tych spekulacji świadczyć mogą publikacje w dzienniku *Bild*, który zaprosił do redakcji „wywoływacza duchów” i wydrukował relację z bezpośredniej rozmowy z nieboszczykiem w wannie.

Według ostrożnych, ale coraz odważniej formułowanych komunikatów genewskiej policji Barschel popełnił samobójstwo, tykając kilka rodzajów leków.

Cała ta afera wstrząsnęła Republiką Federalną Niemiec. Zaczęto zastanawiać się nad etyką zawodu polityka, nad rolą prasy w tego typu sprawach, nad granicami, poza które nie powinna wychodzić walka polityczna itp. W obliczu śmierci Barschla problemy te ukazały się w zupełnie nowym świetle, szczególnie jeżeli chodzi o rolę prasy. Na temat spekulacji zamieszczanych w tzw. brukowcach nie ma co się rozwodzić — taka jest ich funkcja. Natomiast enuncjacje poważnych tygodników, mających duży wpływ na myślenie polityczne w krajach wolnej Europy, trzeba traktować z mniejszą dozą tolerancji. Na przykład *Der Spiegel*,

w „aferze Barschla” powołujący się na polityczną uczciwość i dziennikarski obowiązek, nie ograniczył się tylko do wypełnienia tego obowiązku. Zrobił znacznie więcej. Barschla oskarżono, ogólnie rzecz biorąc, o manipulowanie nastrojami wyborców. Zarzut ten równie dobrze można odnieść do samego *Spiegla*. Swoje rewelacje ogłosił bowiem nie w poniedziałek — dniu, w którym ukazuje się zwykle nowy numer tego tygodnika — tylko w sobotę. Wybory miały miejsce w niedzielę. Manipulowano więc z trzech stron: Barschel usiłujący zdyskredytować swojego kontrkandydata, SPD usiłująca wykorzystać dla siebie rewelacje Pfeifera, by zdyskredytować swojego kontrkandydata, oraz *Der Spiegel*. Pozostaje jeszcze jedno pytanie: kto jest ofiarą tych manipulacji? Barschel? Wyborcy? Politycy partii, która przegrała wybory? Czy może demokratyczna prasa?

Wiktor GROTOWICZ

Koniec października 1987

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00
natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept
krajowych ● Wszelkie aparaty medyczne ● Okulary ●
Aparaty słuchowe ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.
Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zablocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45.

Kraj

Dziennik zewnętrzny

— Byłem niedawno w Paryżu — powiedział na pewnym przyjęciu mój znajomy. Nie zdziwiłem się, wszyscy co chwila gdzieś stąd wyjeżdżają, wracają, znowu wyjeżdżają, wracają lub nie wracają. To ostatnie zdarza się coraz częściej. Polska była przedmurzem Europy, dzisiaj jest zaledwie poczekalnią dla jej własnych mieszkańców.

— Czytałem w Paryżu twoje teksty tam drukowane, w których piszesz o kraju — rzekł i błysnął mi w oczy winem w kieliszku.

— Czyżby? — bąknąłem, niepewny, do czego zmierza.

— Smęcisz, bracie, że aż strach było mi wracać — powiedział i wypił. Ja też wypilem. Jakbym połykał gorzką pigułkę. Potem, co zdarza się coraz częściej na takich przyjęciach, oglądaliśmy filmy na video. Towarzystwo było elitarne, więc zamiast pornosów puszczono polosy (polskie polityczne prohibity). I znowu sierpniowy strajk, tłumy, tłumy, Wałęsa jeszcze szczupły, atmosfera cudu. Ludzie inaczej ubrani, taśma jakby zakurzona, dawne czasy, niemal rówieśne powstaniu styczniewemu. Patrzyłem na to ruchome święto z łezką w oku, ale pełnię wzruszeń psuła mi egoistyczna myśl, że oto przed chwilą zostałem zganiony za „smętek” mojego widzenia polskiej rzeczywistości.

Wróciłem do domu z twardym postanowieniem, że napiszę coś wesołego, a przynajmniej od dowcipu zacząnę. Siedziałem przy biurku, pochylając się coraz głębiej i głębiej nad coraz bledszą kartką papieru. I nic. Zdecydowałem więc odłożyć wszystko do jutra. Nazajutrz przełożyłem swój zamiar na dzień następny. I nie wiem doprawdy, czym by się to skończyło. Na szczęście w moje nieszczęście wtargnęła żona i opowiedziała dowcip zasłyszany w pracy:

— Co to jest socjalizm?

— Najdłuższa droga od kapitalizmu do kapitalizmu.

Szybko jednak poczułem, że na tym dowcipie kończą się zarty. Zbyt wiele zapłacono i płaci się nadal za nieudany eksperyment socjalizmu. A droga do kapitalizmu wydaje się jeszcze dosyć daleka. I niekoniecznie przyjemna. Póki co kapitalistyczne obszary są u nas karłowate i XIX-wieczne drapieżne. (Osobny rozdział, chociaż pisany tym samym atramentem, stanowią tak zwane firmy polonijne). Współczesny polski biznes jest slumsowy, na chwilę, nie bogaci kraju, a jedynie cwanych właścicieli. Wśród nich przeważają byli funkcjonariusze SB, ich rodziny, rodziny małych i dużych dygnitarzy (to znaczy oni sami schowani za fartuchem rodzinnym). Dzisiaj otwierają się możliwości dla drugiej strony. Oto kilku ludzi do niedawna działających w niezależnej firmie wydawniczej „Nowa” kończy budowę hali maszyn drukarskich. Wszystko legalnie i oficjalnie. W zarejestrowanym dopiero co Towarzystwie Przemysłowym jest podobno wielu działaczy „Solidarności”. Mój dawny kolega X, który tworzył podwaliny pod ruch opozycyjny w Polsce, dał jakiś czas temu spokój „walce z wiatrakami” — jak to określił — i otworzył prywatny interes.

Od lat środki masowego przekazu mającą o „porozumieniu narodowym”. Dotychczas kojarzyło mi się to z pałką, która porozumiewa się z plecami. Czyżby owo porozumienie stawało się teraz ciałem na polu prywatnego biznesu?

Już dzisiaj patrzymy bezradnie, jak ów pokraczny soc-kapitalizm zżera nasze ostatnie, cudem ocalałe z pogromów, zalety narodowe. (Zaliczyłbym do nich... lekki stosunek do pieniędzy i czasu, głębsze niż na Zachodzie kontakty między ludźmi, pewien rodzaj dumy i honoru...).

Te kropki postawiłem długopisem, który otrzymałem w okolicznościach, które aż się proszą o włączenie do tematu. Zaparkowałem oto gwałtownie auto przed sklepem, gdyż na wystawie ujrzałem wiklinowe krzesło, na które polowałem od dwóch lat. Wskoczyłem z wozu, ale na drodze stanął mi osobnik płci męskiej z rozwianą czupryną.

— Błagam, niech mi pan pożyczy pompkę, powietrze mi z koła ucieka. — Wyjąłem pompkę z bagażnika i wręczyłem spoczonemu biedakowi, dołączając informację, że biegnę do sklepu, a kiedy wrócę, odbiorę swą własność. Wyrwał z portfela dowód osobisty i prosił, abym go zabrał jako gwarancję, że odda pompkę. Odmówiłem. Nalegał. Wpadłem w gniew, bo czas uciekał i krzesła wiklinowe mogły zostać wyprzedane (typowy u polskich klientów kompleks Tantala). W końcu z powodu obopólnego uporu doszło do szarpaniny, w której ja byłem górą.

Wróciłem bez krzesła za to rozbity wewnętrznie. Krzesło stanowiło jedynie dekorację wystawy. Przy okazji dowiedziałem się wiele rzeczy o sobie od „uprzejmego” personelu. Koło było już napompowane. Wręczono mi z powrotem pompkę. A na dodatek długopis „w prezencie, za usługę”. Nie chciałem przyjąć, znowu doszło do szarpaniny, którą tym razem — osłabiony niedawnymi przeżyciami — przegrałem. Tak oto stałem się właścicielem długopisu. Ale dopiero gdy wjechałem na plac pod siwą, bo obsraną przez gołębie pokoju głowę Feliksa Dzierżyńskiego, pojąłem, że ów człowiek od pompki i długopisu nie był stuknięty, że stało się już u nas normalne, że „coś” jest zawsze za „coś”.

Nasze sklepy, urzędy, szpitale... wszystko to ze snu Franza Kafki. „Kto wymyślił ten kraj, kto wymyślił!” — drę się w jakimś sklepie. „Wariat, wariat wymyślił” — zanucił ekspedient.

Mój system nerwowy rozpada się wraz z rozpadem gospodarstwa, stąd awantury w sklepach. Ale niedawno zmieniłem metodę. Debiut miał miejsce w sklepie z artykułami chemicznymi, gdzie nie chciano mi sprzedać farby, gdyż ekspedientka poszła na obiad. Ruszyłem do kierowniczkii. Wyglądała na osobę inteligentną i z troskaną. I w taki właśnie sposób poinformowała mnie o trudnościach „zwanych obiektywnymi” (intonacja wzięła te trudności w cudzysłów). Dostosowałem się do poważnego tonu.

— Wielkość tego systemu właśnie na tym polega, że nie ma winnych, nawet Pan Bóg niewinny, bo został unieważniony, a istnieje jedynie nieoficjalnie. Winna jest co najwyżej Rewolucja Październikowa, zwana słusznie Wielką z powodu ogromu nieszczęść.

— Świetnie pan to ujął, drogi panie, ale cóż my możemy na to poradzić — szepnęła kierowniczkii i łąza błysnęła jej w oku. Mało brakowało, bym ją przytulił. Wyszedłem ze sklepu chemicznego w pełnej harmonii z „trudnościami obiektywnymi” i w poczuciu, że chociaż nie zdobyłem farby, spełniłem pożyteczną misję polityczną. Potem przyszły inne sklepy i rozegrały się podobne sceny. Nigdzie nie natrafiłem na opór, zdarzało się jedynie czasami podejrziwe milczenie. „Zapomniał pan o tym szaleńcu Hitlerze, co świat postawił na głowie i pchnął nas w ich łapy” — szepnęła kierowniczkii sklepu spożywczego.

W prasie sowieckiej kolportuje się oficjalnie myśli, za które przedwczoraj szło się na śmierć, zaś wczoraj do ciupy lub łagru. U nas też taka odwilż, że nieustannie coś kapie na głowę. W prasie oficjalnej zdarzają się już nie tylko nawiązania, ale recenzje z książek podziemnych. Minister Oświaty publicznie oświadcza, że chętnie by się spotkał z redaktorami podziemnego pisma *Miś*

i przedyskutował pewne sprawy. Nie słycać nic o rewizjach i konfiskatach niezależnych publikacji.

Jestem na Uniwersytecie Warszawskim. Wiszą plakaty. Na nich pluton egzekucyjny z lufami wymierzonymi w skuloną, nagą postać. „Gorbaczow nie zabijaj!” krzyczą litery. To Niezależne Zrzeszenie Studentów występuje w obronie studenta z Ałma Aty, skazanego na śmierć.

— No, no, wiszą tak sobie i nikt nie zrywa?

Towarzyszający mi pracownik naukowy UW oburzył się: — No wie pan, niechby ktoś u nas próbował zerwać.

No, no, pomyślałem sobie, że te plakaty gwałcą sojusze, kopia Imperium w samo jądro. Co się dzieje u licha?

Jadąc potem do domu autobusem, jak zwykle czytałem pisemko podziemne. — Oho, to już do tego doszło — odezwała się do mnie sąsiadka, która wracała z pracy — i nikt tego panu nie zabierze?

— Niechby spróbował — oburzyłem się — od trzech lat tak czytam.

Zdziwiła się. Ja się z kolei zdziwiłem, że się zdziwiła, podobnie jak kolega z UW dziwił się mojemu zdziwieniu.

A przecież nie jesteśmy naiwni. Te nasze zdziwienia są więc zapewne miarą zagmatwania obecnej sytuacji.

Nazwa Katyń pada coraz częściej w prasie i telewizji, pokazano nawet, jak spadają na ten masowy grób kwiaty rzucone ręką Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Na razie nie mówi się jeszcze, kto dokonał mordu. Wiadomo już tylko, że to nie Niemcy. Mamy więc obok grobu Nieznanego Żołnierza grób ofiar Nieznanego Zbrodniarza.

A co będzie, jak ujawnią w końcu jego imię i nazwisko? Nic. Na tym właśnie polega istota tragedii. Jej nieodwracalność. Wilgotny nos dotknie zdarzenia, rozewrze się paszcza i wszystko zostanie połknięte. Potem zaś, zgodnie z prawami natury, przetrawione i wydalone w postaci kilku zdań w podręcznikach do nauki historii.

Wielopiętrowy gmach bojkotu środków masowego przekazu zbudowany przez naszą elitę kulturalno-naukową nie zawałił się, a jedynie zwietrzał. Piętro po piętrze. Konstrukcja była wykonana z sumienia, gniewu, ambicji... a to wszystko materiały mało odporne na działanie czasu. Do niedawna stał już tylko parter z napisem „Telewizja”. Dzisiaj ocalały jedynie piwnice Dziennika Telewizyjnego, gdzie mało kto chce wchodzić.

Niedawno kątem oka ujrzałem na małym ekranie Igora Ne-

werlego (był to jego ostatni przed śmiercią występ publiczny). Przyjmował jakieś wyróżnienie państwowe. Powiedział, że jest zdziwiony, że otrzymał odznaczenie, bo przecież wydrukował niedawno książkę w wydawnictwie „Kultury paryskiej”. Telewizja przełknęła tę pastylkę paryskiej Kultury nie popijając nawet wodą komentarza.

Rozgorzały potem dyskusje w środowisku, czy Newerly zdradził, czy wprost przeciwnie, „zrobił ich w konia”, czy to głupota, czy mądrość, czy — w końcu — miażdżycza. Zaś pewien mój znajomy, który poszedł pracować do pisma codziennego, usprawiedliwił swój czyn słowami: skoro nawet Newerly...

Nabrzmiały problem rozwiązała śmierć pisarza, godząc wszystkich i wszystko.

Tego samego dnia co Newerlego widziałem również kątem oka w TV film Agnieszki Holland „Kobieta samotna” (kątem oka, bo już uprzednio widziałem na video, niewiele pamiętałem z tamtego pokazu, bo oglądałem wówczas film w towarzystwie zakonnic i okropnie się wstydziałem przy ostrych scenach obyczajowych). Kilka cięć cenzury w wersji telewizyjnej, tam gdzie gwałcono sojusze, nie zmieniło wymowy filmu. A przecież za jego nieistnienie na naszych ekranach ręczyli głowami sternicy naszej kultury. Głowy pozostały na miejscach, ster również.

Telewizja udzieliła nawet głosu ruchowi „Wolność i Pokój” (gorzej, że ten ruch udzielił głosu telewizji). Wymowa programu miała być następująca: oto rozleniwieni inteligentcy gówniarze wymigują się od służby wojskowej, którą my, męska część telewizyjnej widowni, musieliśmy odbyć jak jacyś frajerzy. I obawiam się, że taka argumentacja mogła przemówić do wielu naszych rodaków, którzy w nieszczęściu nie stali się bynajmniej tolerancyjni i szukają kozłów ofiarnych na prawo i lewo.

Wracając do naszych artystów, którzy — trzeba podkreślić — tak dzielnie pościli przez te lata... Rozumiem dobrze, że dzisiaj ciężko oprzeć się pokusie, szczególnie tym, którzy nie zdążyli swą sztuką podbić świata, a czas już grozi grubym, sękatym palcem.

Zapowiedź „trzęsienia ziemi” w naszym życiu ekonomicznym. Zapowiedzieli, a wszyscy siedzą spokojnie w domach, jakby nigdy nic. Wpadam zdyszany do znajomego. Jest informatykiem, człowiekiem wrażliwym na wstrząsy.

— Słyszałeś?

— Byłem ostatnio w naszym osiedlowym sklepie. Czy wiesz, że nawet białego sera już nie ma — rzekł strapiony.

Wieczorem wpada z kolei do mnie zdyszany młody człowiek. Jeszcze w szkole, a już działa w młodzieżowej niezależnej strukturze (coś tam się dzieje pod powierzchnią, mimo wszystko).

Bardzo zdziwiony, że mają być jakieś zmiany. O niczym nie wie i właściwie go to nie interesuje.

Nazajutrz u znajomych. Radykalne małżeństwo. Jestem więc ostrożny. Sugeruję delikatnie, że coś się tu jednak dzieje: cenzura luzuje, ludzie wyjeżdżają za granicę, prawie nie ma rewizji, drugi obieg staje się niemal legalny, no i te plany — wielka decentralizacja, kapitalizacja...

— Popatrz, stary, on w to wszystko uwierzył — mówi ona.

— Wielu teraz da się nabrać — mówi on.

Moi radykalni znajomi wierzą w demona komunizmu. Miliony ludzi w niego wierzą. Ja zresztą czasami też, szczególnie gdy budzę się rano, a tu nowy dzień niesie swoją szarą substancję. Wyznawcy tej wiary uważają, że tu wszystko, złe i dobre, jest dziełem owego szatana. Liberalizacja to jedynie perfidny podstęp, owo rajskie jabłuszeko, które mamy zerwać. A wtedy przegną nas z opozycyjnego raj, gdzie czyste wody sumienia i kwitną moralne kwiaty.

Jak już wspomniałem, ja też czasami widzę tego szatana, ale mam ostatnio wrażenie, że z wyglądu przypominać zaczął krowę rozkraczoną bezradnie na klepisku. A nasz opozycyjny raj? Mam wiele rozkosznych wspomnień i nawet pewne nadzieje na przyszłość. Ale raj jest zbyt mały, nas zbyt wielu i stąd kłopoty, bo w raj — jak wiadomo — nie ma kanalizacji.

Rozmawiam z chłopem na setnym kilometrze od Warszawy. Ciekawe, co myślą ludzie równe sto kilometrów od stolicy.

— Co tam, panie, w polityce? — pytam.

— Ej, co tam ma być, to będzie...

— Zmiany idą, referendum, reforma...

— Ludzie to u nas powiadają, że nie trza trzymać złotych, bo się wszystko straci. A ludzie też u nas powiadają, że te miastowe znów zrobią strajki. A jak tera zrobią, to władza już nie da rady. Bo całego narodu przecie nie wybiją?!

Powiedział swoje chłop i zamyślił się. Twarz miał jak rzeźbioną w drewnie i splukaną przez deszcz, taki świątek przydrożny. Mądrość ludu przez niego przemawia czy drewniana niewiedza? Teraz ja zamyśliłem się, po miastowemu.

Nigdy nie byliśmy równie bezradni co obecnie. Proponowane zmiany są bardzo śmiałe, to niemal program „Solidarności”. Oprawca ubiera się w szaty ofiary i nawet próbuje mówić jej głosem. Tym głosem mówi: Chodźcie z nami, tylko nie wolno wam się oglądać za siebie.

Co robić? Ostatnie wydarzenia tworzą nową sytuację bez

względu na to, czy mamy ochotę pogodzić się z tym faktem, czy nie. Uderzająca jest bezradność wszystkich, a przede wszystkim opozycji. Co robić, czy choćby jaką diagnozę postawić?

Każdy wie, co będzie jutro, nikt nie wie, co stanie się pojutrze. Pamiętam, jak przed laty niepokój zagnał mnie do jednego z głębiej myślących ludzi w tym kraju. Co będzie? — zapytałem.

— Myślę, że teraz można od tej władzy dużo uzyskać — odparł po chwili zadumy.

Kilka dni potem wprowadzono stan wojenny.

Znamy w końcu dwa pytania referendum. Czy opadły mi ręce? Przeciwnie — podniosłem je do góry. Poddają się, głupota znów triumfuje.

— Chcesz być młody, piękny i bogaty — idź na referendum! — wykrzykuje spotkany przypadkiem na ulicy kolega jeszcze ze szkolnej ławki.

Wpadam na słowo do redakcji pewnego oficjalnego pisma. Grupa podekscytowanych dziennikarzy pochyla się nad kartką papieru. Okazuje się, że przyjmują zakłady pieniężne o wyniki referendum.

— Pan rozumie — tłumaczy mi jeden z nich — robimy zakłady nie o to, ilu ludzi naprawdę pójdzie, ale jaki procent podadzą, co zresztą jest już z pewnością ustalone, ale jeszcze tajne.

Zaglądam mu przez ramię. Widzę, że jakiś naiwniak napisał 30 %. Przeważa jednak typowanie na 70 %, ja sam asekurancko wpisuję 73 %.

— Dlaczego nie będzie trzeciego etapu reformy? — pyta mnie szewc, któremu wręczam buty do naprawy. I sam odpowiada, bo to jest dowcip:

— Bo skonsultowali się z posłem Szurkowskim i on powiedział, że po dwóch etapach musi być kryterium uliczne.

— A pan idzie na... — zacząłem pytać, ale mi przerwał.

— Coś pan oszalał!?! Mogą mi zamknąć zakład, ale na referendum nie pójdę. Wariat latał przez 40 lat z brzytwą, a teraz chce ją nam wsadzić w łapę, żebyśmy sobie sami...

Oświadczenie „Solidarności” o bojkocie referendum jest bez wątpienia decyzją słuszną. Chociaż z pewnością nie jest to decyzja dobra. Brak wypowiedzi na ten temat byłby fatalny. Apel o pójście na referendum w ogóle nie wchodził w grę. Cóż więc należało zrobić? Ja bym powiedział: pocałujcie mnie w d.... Ale ja na szczęście nie muszę podejmować publicznych decyzji.

Zwykle piszę w przestrzeni, którą zamyka muzyka płynąca z radia. Nie słyszę więc kłótni sąsiadów piętro wyżej i nocnego szumu zachodnich radiostacji piętro niżej. Ale radio bywa urządzeniem niebezpiecznym i nieraz już padłem jego ofiarą. Zdarza się to w chwilach, gdy kończy się muzyka i zaczyna się gadanie, a ja nie zdążę przełączyć. Jeśli gadanie jest moralnie obojętne, wtedy nie ma problemu. Gorzej, gdy radiowym kanałem płyną jakieś paskudztwa. Wtedy zachowuję się jak ów nieszczęśnik, którego złapał prąd. Trzęsie nim, ale on nie potrafi się uwolnić. Tak mną trzęsie czasami złość.

Tym razem zaskoczyli mnie Matysiakowie (iluz I sekretarzy, ile reform i socjalistycznych etapów przeżył ten serial bez końca). I oto złapał mnie i trzęsie, ale nie ze złości. Ze zdziwienia. Bo o czym u tych Matysiaków nie gadają! Nagadali, że hej, odnowa w pełnej krasie. Właściwie wyjęli mi wszystkie tematy z powyższego tekstu. Zmartwiłem się, ale pocieszyła mnie myśl, że ludzie z towarzystwa nie słuchają Matysiaków, szczególnie w Paryżu. Odzyskałem dobry humor, ale na krótko. Bo oto dopadła mnie inna myśl, spóźniona, więc tym mocniejsza w barach. — Skąd ów znajomy na przyjęciu wiedział, że to właśnie ja, przecież ja własnej żonie... Krew chciała mi zamarznąć w żyłach, ale nie zamarzła, bo przypomniałem sobie, że jest odwilż. Podeszedłem na palcach do drzwi. Ślady po łomach z czasu grudniowej nocy długich łomów starannie zamalowane, a i same drzwi jakby utyły i wydają się całkiem solidne, chociaż jeszcze niedawno były z papieru.

Witold CHARŁAMP

Notatki z Polski

(SIERPIEŃ — WRZESIEŃ — PAŹDZIERNIK 1987)

Po wakacyjnej przerwie znów odezwały się głosy, że miejsce „Solidarności” w życiu społecznym jest nieokreślone i niejasne, że po zwolnieniu więźniów politycznych we wrześniu ub. roku nie ma ona czytelnej choćby dla swoich członków formuły działania. Jeszcze latem wydawało się, iż głównym problemem jest apatia społeczeństwa i bierność rządzących, tymczasem od września obserwujemy wyraźne ożywienie po obu stronach barykady.

Doroczna, piąta już pielgrzymka świata pracy do Częstochowy 30 września była największą z dotychczasowych, liczbę jej uczes-

tników szacuje się na co najmniej 50 tys. Do łask wróciły też manifestacje uliczne, choć nie tak tłumne jak w początkach stanu wojennego. Odbyły się m.in. w paru miastach dla uczczenia rocznicy porozumień sierpniowych; w Nowej Hucie 13 października, w rocznicę śmierci zastrzelonego przez ubeka podczas demonstracji Bogdana Włosika; w Warszawie 15 października na rzecz zwolnienia Krzysztofa Wolfa, aresztowanego z bibułą przed pielgrzymką pod fałszywym zarzutem napaści na milicjanta; w Międzyrzeczu 6 września i 4 października przeciwko planom składowania w miejscowych bunkrach odpadów radioaktywnych. Dodać do tego trzeba kilka ulicznych protestów WiP-u oraz wrocławskie *happening'i* (1 września była to demonstracja antywojenna z rozdawaniem kwiatów oraz zbieraniem podpisów pod petycją o rozwiązanie i zniesienie służby wojskowej na całym świecie).

Akcja w Międzyrzeczu ma szczególny charakter, gdyż jest w nią zaangażowane rzeczywiście całe miasto. Trwa ona już od maja, a po wakacjach została wznowiona. Mieszkańcy organizują tam w każdą pierwszą niedzielę miesiąca marsz przeciwko projektom zamiany ich miasta w radioaktywny śmietnik i na rzecz ratowania jedyne w świecie rezerwatu nietoperzy, które zagnieździły się w pohitlerowskich podziemiach. Dołączają się do nich ludzie z innych miast, a także WiP-owcy zainteresowani ekologią. Protest poparła Tymczasowa Rada „Solidarności”, Polski Klub Ekologiczny i nawet miejscowy PRON oraz Rada Narodowa. Tymczasem władze, które poprzednio nie reagowały, postanowiły ukarać uczestników wrześniowej manifestacji i wystosowały 26 wniosków na kolegi. W odpowiedzi w Międzyrzeczu kilkanaście osób podjęło tygodniową głodówkę, zaś demonstrantom w czasie jej trwania i tak wlepiono 40-tysięczne grzywny. W rezultacie październikowy marsz był bardziej tłumny — przyszło ok. 1/4 całej ludności miasteczka — i bardziej uroczysty niż poprzednie.

Nie słabnie aktywność WiP-u, a zasięg jego oddziaływania zdaje się rozszerzać. W związku z aresztowaniem dwóch młodych ludzi za odmowę służby wojskowej — jeden z nich, Piotr Różycki z Bydgoszczy, został w sierpniu skazany na 2 i pół roku więzienia — latem na ogólnopolskim zjeździe WiP-owcy postanowili rozpocząć akcję w ich obronie, domagając się prawa do służby zastępczej dla tych, którzy nie chcą iść do wojska ze względu na zasady. Akcje petycyjne, plakatowe i ulotkowe, zwłaszcza we Wrocławiu i Gdańsku, uwieńczyła głodówka w rodzinnym mieście Różyckiego. Zaczęły ją 13 września 42 osoby, w trakcie dołączyły się nowe, tak że po tygodniu, w chwili zakończenia protestu, było ich już ok. 80. Mieszkańcy Bydgoszczy licznie odwiedzali głodujących, przynosili kwiaty, na otwarte spotkanie z nimi przyszło blisko 400 osób. Ludzie kupowali wydawnictwa WiP-u, zebrano dwa tysiące podpisów pod petycją do Sejmu o uwolnienie więźniów i prawne uregulowanie możliwości służby zastępczej. Ciekawe, że w bydgoskim kościele jezuitów pojawiła się też polska telewizja i wbrew swoim dotychczasowym zwyczajom pokazała później reportaży z głodówki. Poza tym wciąż

nowi *conscience objectors* (gazetki WiP-owskie, których wychodzi już kilka w różnych miastach, nazywają ich „kaloryferami”, gdy międzynarodowy skrót *c.o.* po polsku rozszyfrowuje się jako „centralne ogrzewanie”) odmawiają służby w wojsku lub zmilitaryzowanych formacjach Obrony Cywilnej, nie chcą składać przysięgi, odsyłają książeczki wojskowe — co miesiąc przybywa kilkanaście nowych nazwisk. Toteż prasa reżymowa nie ustaje w atakach, które nasiliły się zwłaszcza podczas bydgoskiej głodówki, kiedy to posłużono się nieużywaną od dawna metodą przedstawiania „na łamach” oburzonej „reakcji społeczeństwa”, tym razem reprezentowanego przez emerytowanych pułkowników i żołnierzy służby czynnej. Ponadto kilku WiP-owców dostało w październiku karty powołania, zapadły też — co prawda w zawieszeniu — trzy wyroki za „uchylanie się od służby wojskowej”.

Kolejną inicjatywą wzbudzającą żywe emocje w społeczeństwie i zirytowana reakcją władz były próby wyświetlenia sprawy masowego grobu, odkrytego w Puszczy Augustowskiej, w okolicy Gib*. W Suwałkach 2 sierpnia powstał Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 roku. Przez pierwsze dwa miesiące istnienia Komitetu udało się ustalić listę 199 ofiar pacyfikacji sowieckiej z 48 miejscowości. Są to wyłącznie informacje potwierdzone z kilku źródeł, rzeczywiste liczby muszą być kilkakrotnie wyższe. W miarę gromadzenia danych przybývają nowe nazwiska i nowe wsie, teren objęty „obławą” okazuje się znacznie większy niż tylko wokół Puszczy Augustowskiej. Na systematyczne opracowanie materiałów trzeba będzie zapewne czekać jeszcze długo, tym bardziej, że suwalski Komitet Poszukiwań 4 września zaapelował „do wszystkich, którzy przeszli przez obozy, więzienia i miejsca przymusowego osiedlenia w ZSRR” o wszelkie informacje pomocne w wyświetleniu losu zaginionych, „w tym także wykluczające ich pobyt na którymś ze szlaków deportacji, w którymś z obozów i rejonów ZSRR”. Władza na razie nie rusza Komitetu, tyle że 5 września Wydział Społeczno-Administracyjny Urzędu Wojewódzkiego zakazał jego działalności, w uzasadnieniu pisząc: „W sytuacji, gdy praktyką poszukiwań osób zaginionych zajmują się już Polski Czerwony Krzyż i ZBOWiD, mogłoby to spowodować zakłócenie spokoju lub porządku publicznego”. Oczywiście mimo to akcja odkrywania prawdy o sowieckiej obławie z lipca 1945 rozwija się nadal.

Sprawa masowego grobu koło Gib poruszyła lawinę ujawniania niezdokumentowanych dotychczas działań Armii Czerwonej i KGB wobec Polaków. Okazało się, że istnieją wcale obszerne prywatne archiwa, duże zbiory w bibliotekach państwowych, że są ludzie chętni do wyszukiwania, spisywania i opracowywania kolejnych relacji. Zdumiewające, że dotąd nie było żadnego społecznego ciała zajmującego się tą największą bodaj „białą plamą” w historii stosunków polsko-sowieckich. Teraz można się wreszcie spodziewać jej wypełnienia.

* Patrz *Kultura* nr 11/482, 1987.

Coraz to nowe środowiska próbują stworzyć sobie pole dla niezależnego wypowiedzenia się i działania. Władze są wyraźnie skłonne do akceptowania (w jakim stopniu) inicjatyw apolitycznych, czego dowiodło zarejestrowanie we wrześniu krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego i zezwolenie na zebranie założycielskie warszawskiego Towarzystwa Gospodarczego. Ich celem jest rozwijanie przedsiębiorczości i prywatnej aktywności ekonomicznej obywateli poprzez doradztwo prawne i finansowe, kojarzenie ludzi z pomysłami i posiadaczy kapitału, informowanie o możliwościach zaopatrzenia i zbytu, wreszcie stworzenie formalnego *lobby* na rzecz prywatnego sektora gospodarki. Ciekawe, że część założycieli warszawskiego Towarzystwa chciałyby je maksymalnie „odpolitycznić”: na zebraniu założycielskim żądali oni, by osoby znane z aktywności politycznej nie wchodziły w skład zarządu i aby — co zostało przegłosowane — czynne prawo wyborcze mieli tylko członkowie-przedsiębiorcy.

Przy tej okazji trzeba wspomnieć o Fundacji Wodnej, która — chociaż kościelna — też ma być nastawiona na aktywizację gospodarczą. Jest to próba uratowania zagranicznych funduszy wyasygnowanych na Fundację Rolną. Tamta nie doszła do skutku z powodu niechętnego stanowiska władz, z tą jest przeciwie: rząd naciska na jak najszybsze jej powołanie, bojąc się, że przypadnie ponad 10 mln dolarów i najwidoczniej godząc się na niezależność Fundacji Wodnej od państwa.

Natomiast organizacje o innym charakterze mają mniej szans. Wnioski o rejestrację złożyli we wrześniu m.in. dziennikarze, chcąc utworzyć Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich na podstawie statutu dawnego SDP czy chłopci, którzy wystąpili o założenie „Solidarności Rolników Indywidualnych Województwa Siedleckiego”. Jednocześnie próbuje się utemperować co aktywniejsze szamorządy. Przykładem sprawa rady pracowniczej w warszawskim „Cemi”. Wicepremier Szałajda nadał mu w lipcu status przedsiębiorstwa obronnego, według ustawy nadawany tylko takim zakładom, w których większość produkcji przeznaczona jest dla wojska (w „Cemi” tylko kilkanaście procent). Oznacza to poważne ograniczenie uprawnień rady, która wystąpiła do sądu, przegrała sprawę w pierwszej instancji i odwołała się wyżej.

Najważniejszą z niezależnych inicjatyw wydaje się powołanie w zakładach pracy komitetów założycielskich NSZZ „Solidarność”. Komitety takie zostały założone m.in. w Swinoujściu — w Stoczni Remontowej i Porcie; w 9 zakładach Szczecina — w tym w Stoczni im. Warskiego, Porcie, Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym, Politechnice; w Toruniu — w „Elanie”, „Merinotexie” i „Geofizyce”; we wrocławskim „Polarze” i wałbrzyskich Zakładach Koksochemicznych.

Pracownicy ZM „Ursus” — aby podkreślić ciągłość ze związkiem sprzed 13 grudnia — nazwali swoją grupę założycielską Komitetem Organizacyjnym NSZZ „S”. Liczy on tylko kilku członków jednak aby udowodnić, że ma szersze zaplecze społeczne, w fabryce podpisywane jest oświadczenie: „... Deklaruję swoją nie-

złomną wolę działania w w/w związku z chwilą jego rejestracji". Do końca września miało ono już ponad 1.000 sygnatariuszy.

Wszystkie wymienione komitety wystąpiły o oficjalną rejestrację do odpowiednich sądów i wszystkie, które zdążyły mieć rozprawy, otrzymały decyzje odmowne (część po odwołaniach już w Sądzie Najwyższym). Uzasadnienie było kuriozalne: że konwencje MOP i ONZ — na które się powoływali wnioskodawcy — zostały ratyfikowane jedynie przez Radę Państwa, a nie przez Sejm, nie są zatem obowiązujące dla polskich sądów. Co więcej, władze zdają się zapowiadać, jaki będzie los dalszych komitetów: dwaj ich członkowie z wrocławskiego „Polaru” i jeden z „Ursusa” zostali dyscyplinarnie zwolnieni z pracy. O ich przywrócenie występują pracownicy tych zakładów, samorządy, inne komitety założycielskie, kierownictwo „Solidarności” (15 września wspólne oświadczenie wydały TKK i TR „S”, a 2 października Lech Wałęsa). Powstają nowe takie komitety, niektóre po tym, jak ludzie z inicjatywą usłyszeli w radio o już istniejących. W opinii wielu czołowych działaczy Związku ten front działania, jeżeli stanie się masowy, rokuje największe nadzieje na wymuszenie pluralizmu związkowego metodą faktów dokonanych, a w ślad za tym — na prawne jego uregulowanie.

Oprócz ożywienia w sprawach krajowych we wrześniu zaszyły też wydarzenia ważne dla pozycji „Solidarności” na arenie międzynarodowej. Osobiste spotkanie wiceprezydenta Busha podczas wizyty w Polsce z Lechem Wałęsą i spotkanie z kilkunastoosobową reprezentacją przywódców związku usankcjonowało po raz kolejny, tyle że na wyższym szczeblu, zwyczaj traktowania „Solidarności” jako strony w rozmowach i reprezentacji polskiego społeczeństwa. Zaczęła się z tym liczyć nawet SPD, która dotychczas w ramach swojej *Ostpolitik* starannie unikała kontaktów z polską opozycją: Hans Jochen Vogel tym razem goszcząc w Polsce spotkał się z przedstawicielami „Solidarności”.

Od sierpnia zaczęło się mówić o projektowanym przez władze na jesieni referendum i reformie. Zaczął sam Jaruzelski, który o planach przeprowadzenia referendum napomknął w wywiadzie dla *Wall Street Journal* 1 sierpnia. W pierwszej dekadzie października, przed zapowiedzianym na 8 października plenum KC i sesją Sejmu, spekulacje były już daleko śmielsze: że szykują się posunięcia demokratyzacyjne o nieporównywalnym zasięgu. Niejako ich potwierdzeniem był zdumiewający — nie sposób dociec, celowy czy przypadkowy — przeciek z najwyższego szczebla: „Tezy na V Plenum KC PZPR”. Ten obszerny dokument zawierał sformułowania doprawdy szokujące, a mianowicie:

— o zaprzestaniu równoważenia rynku za pomocą ciągłych podwyżek cen m.in. poprzez odejście od dogmatu o szybszym rozwoju przemysłu ciężkiego kosztem produkcji na rynek, dopuszczenie „zdrowej konkurencji”, wyeliminowanie „politycznych interwencji w codzienne funkcjonowanie socjalistycznej ekonomi-

ki”. Ten fragment przypomina miejscami podziemną broszurę, a nie partyjny dokument: „Głównym ogniwem antyinflacyjnej strategii nie może być koncepcja kolejnych podwyżek. Ta praktyka jest nieefektywna ekonomicznie i społecznie skompromitowana”;

— o równouprawnieniu sektora państwowego i prywatnego z zachowaniem prawno-politycznych gwarancji przewagi tego pierwszego wyłącznie w kluczowych dziedzinach gospodarki;

— o ograniczeniu „odgórnej” administracji państwowej do szczebla wojewódzkiego, gdyż „warunki dojrzały ku temu, aby na podstawach całkowicie samorządowych oprzeć system kierowania społecznościami lokalnymi w gminach i miastach” (tu z konkretnych zapowiedzi wprowadzenia własności komunalnej, przyznania zebraniom wyborców prawa wysuwania kandydatów na radnych, bezpośrednie wybory na naczelników gmin i miast). Tezy mówią też o ewentualnej drugiej izbie w sejmie, złożonej z przewodniczących WRN i przedstawicieli samorządu lokalnego;

— o dopuszczeniu wszystkich stowarzyszeń, których cele „nie naruszają ustawowego porządku prawnego”, i wyjęciu ich spod nadzoru MSW;

— o konieczności reformy prawa, w tym ujednoczenia przepisów, wprowadzenia kontroli sądów nad decyzjami administracyjnymi, nowelizacji kodeksu karnego;

— o postępowaniu wobec opozycji: ma ono polegać na „długotrwałej walce z przeciwnikami politycznymi przede wszystkim poprzez (...) społeczną atrakcyjność naszej polityki”.

Ze spraw, w których „Tezy” nie przewidują zasadniczych zmian warto wymienić dwie o podstawowym znaczeniu dla społeczeństwa i funkcjonowania gospodarki — nomenklaturę i pluralizm związkowy.

Wystąpienia partyjno-rządowe góry na plenum oraz w Sejmie ograniczyły się do programu ekonomicznego i musiały rozczarować tych, którzy oczekiwali zmian zapowiedzianych w przecieku. Czy warto mu poświęcać aż tyle uwagi? Otóż — jak można sądzić — „Tezy” były produktem nastawionej najbardziej reformatorsko części aparatu, której nie udało się przeforsować swojego programu. Dostarczyły one jednak pewnych wskazówek co do ewentualnych dalszych kroków władz i co do tego, jakie reformy mieszczą się w zakresie dla nich dopuszczalnym, a jakie są poza realnymi oczekiwaniami. Innymi słowy, „Tezy” mogą być wskazówką, w którą stronę powinien się kierować nacisk społeczny.

Po plenum i posiedzeniu Sejmu okazało się przede wszystkim, że władze szykują podwyżkę cen o skali niewiele mniejszej od tej z 1982 roku, przeprowadzonej pod osłoną stanu wojennego. Z posunięć liberalizacyjnych w gospodarce planuje się szersze możliwości dla prywatnych przedsiębiorstw oraz zniesienie monopolu skupu płodów rolnych. Już likwidacja ministerstw branżowych, o której tyle się pisało w prasie, polega raczej na przemianowaniu tych najważniejszych niż rzeczywistej decentralizacji: oto powołane będą „wspólnoty” „Węgiel Polski” i „Energie-

tyka Polska", a w części innych przemysłów (elektronicznym, farmaceutycznym, petrochemicznym, drzewno-papierniczym i innych) powstaną koncerny. Niepokojący jest fakt, że projektem podwyżek cen i dalszego zróżnicowania płac nie towarzyszy jasny program zabezpieczenia socjalnego dla najuboższych ekonomicznie kategorii ludności: najuboższych, emerytów, rodzin wielodzietnych. Wygląda na to, że państwo ma zamiar pozwolić, by biedni biednieli jeszcze bardziej, schodząc nie tylko poniżej minimum socjalnego ale i poniżej minimum egzystencji.

Trzeba powiedzieć, że owo tak oczekiwane „reformatorskie” plenum oprócz rozczarowania przyniosło też niespodziankę — zapowiedź referendum w sprawach gospodarki już na listopad. Społeczeństwo znowu zostało potraktowane z lekceważeniem: Sejm zatwierdził pomysł w ciemno, nie znając pytań, a na dyskusję i namysł zostawiono obywatelom miesiąc od momentu ich ogłoszenia do chwili przeprowadzenia referendum. Może chodziło o to, by niezależnie środowiska nie miały czasu na wypracowanie i spopularyzowanie swego stanowiska?

Sprawa referendum niesłuchanie ożywiła zainteresowanie kwestią reformy. Najwidoczniej zmniejszyło się społeczne *désinterressement*, najlepszy dowód, że już przed południem nie można dostać gazet, a dzienniki telewizyjne i transmisje sejmowe zyskały olbrzymią publiczność. Rozważania o referendum i spekulacje na temat pytań stały się ulubionym tematem rozmów przynajmniej części społeczeństwa. Dla reszty, co rozumiałe, rzecz sprawdza się wyłącznie do podwyżek cen.

I oto na kolejnym posiedzeniu Sejmu, 23 października, uchwalono pytania. Znowu była to niespodzianka ze strony władz: wszyscy oczekiwali alternatywy „szybka reforma — większe wyrzeczenia” lub „powolne zmiany — mniejszy spadek stopy życiowej”, tymczasem w pierwszym pytaniu władza chce wiedzieć tylko, czy akceptuje się taką konieczność i związane z nią dwu-trzyletnie ograniczenia (swoją drogą, tak krótki okres na uzyskanie niewielkiej choćby poprawy sytuacji ekonomicznej wydaje się być absolutnie nierealny). Jednak największe zdziwienie wzbudziło pytanie drugie, w którym nagle pojawił się wątek demokratyzacji. O tym dwa tygodnie wcześniej ani na plenum, ani w Sejmie nie padło ani słowo. Spora część rozwiązań proponowanych w sensacyjnych „Tezach na V plenum” znalazła się teraz w szczegółowych komentarzach do drugiego pytania, z tym że były one tak enigmatyczne, że trudno było zrozumieć, co się właściwie proponuje. Do dzisiaj — zwłaszcza po unieważnieniu komentarzy przez Urbana i marszałka Sejmu Malinowskiego w Dzienniku Telewizyjnym kilka dni później — sprawa pozostaje otwarta.

W tej sytuacji związek stanął przed niezwykle trudnym dylematem. Oto władza zadaje całemu społeczeństwu pytania, na które nie sposób odpowiedzieć „nie” i które stanowią zapowiedź reform ekonomicznych i politycznych zgodnych właściwie z postulatami „Solidarności”. Trudno więc wezwać do bojkotu czy

wstrzymania się od głosu. Z drugiej strony czytelna jest intencja manipulatorska całego tego pomysłu: chodzi o przerzucenie na społeczeństwo odpowiedzialności za działania rządzących, o próbę pseudo-ludowładztwa, jak trafnie określił to Jan Lityński w *Tygodniku Mazowsze*. Poza tym „Solidarność” nie może zrezygnować z dwóch swoich zasadniczych żądań — pluralizmu związkowego i społecznej kontroli nad realizacją reformy, bez których sens nawet najbardziej słusznych i wiarygodnie brzmiących programów staje pod znakiem zapytania. Dlatego trudno wzywać do głosowania „tak”. Zarazem nie do pomyślenia jest, by związek mógł nie zająć żadnego stanowiska. A czasu na rozstrzygnięcie tego dylematu ma bardzo niewiele.

Wobec takiej sytuacji musi dziwić stanowisko kierowniczych gremiów „Solidarności”. Co prawda cieszy fakt, że przy tej okazji zlikwidowano wreszcie wielość struktur decyzyjnych: z datą 25 października ogłoszone zostało oświadczenie, powołujące Krajową Komisję Wykonawczą z Lechem Wałęsą w miejsce jawnej Tymczasowej Rady „Solidarności” i tajnej Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. Równocześnie jednak nowe ciało uchwaliło „jednoznaczne nie” wobec referendum, stwierdzając, że społeczeństwo nie powinno uczestniczyć w imprezie o wyłącznie propagandowym charakterze. Tym samym „Solidarność” niejako sama zrobiła krok w kierunku zmniejszenia swego wpływu na przekształcenia systemu polityczno-gospodarczego w PRL.

Zwłaszcza że niewątpliwie istnieje pewna możliwość zmiany rządowych propozycji i błędem byłoby z niej nie skorzystać. Związek będzie więc musiał wkrótce przygotować kompetentne kontrprojekty w kwestiach tak istotnych jak ordynacja wyborcza do rad narodowych, nowelizacja ustawy o stowarzyszeniach, kodeksu pracy i kodeksu karnego. Wreszcie — *last but not least* — wypracować stanowisko w sprawie podwyżek i zabezpieczenia najbardziej potrzebujących.

Wobec tak ważkich problemów nieco przybladła sprawa, która była sensacją ostatnich kilku miesięcy — miliona dolarów od Kongresu USA dla „Solidarności”. Urban nie pominął żadnej okazji, żeby przygadać coś na ten temat związkowi, nawet tuż przed wizytą wiceprezydenta Busha mało dyplomatycznie żartował, że jego spotkanie z przywódcami „Solidarności” będzie „pościłkiem we własnym gronie”, skoro żyją oni za amerykańskie pieniądze. W kręgach związkowych zdania był podzielone: część działaczy, zwłaszcza z podziemia, uważała, że trzeba milion przeznaczyć na działalność organizacyjną, skoro i tak propaganda twierdzi, że to dotacje CIA; część natomiast twierdziła, że przyjmowanie pieniędzy od jakiegokolwiek rządu stoi w sprzeczności z zasadą niezależności „Solidarności”. Ogłoszony 10 października komunikat grupy roboczej d/s Funduszu Społecznego „Solidarności” — w jej skład wchodzi m.in. dr Marek Edelman, prof. Zofia Kuratowska, Alina Pieńkowska, Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa — precyzuje przeznaczenie kontrowersyjnej sumy: zo-

stanie ona wydatkowana w całości na ochronę zdrowia (w tym na ośrodki profilaktyczno-diagnostyczne niezależne od państwowej służby zdrowia, karetki reanimacyjne dla szczególnie potrzebujących regionów itp.).

(ja)

Jednostkową decyzję Lecha Wałęsy odrzucenia dotacji Senatowi USA uważamy za błędną i szkodliwą. Nasze stanowisko zostało sprecyzowane w październikowym numerze *Kultury* (nr 10/481, str. 141-143) w „Oświadczeniu *Kultury*”. Chcemy tylko dodać, że w sumie tego miliona, 200.000 dolarów było przeznaczone dla opozycji spoza „Solidarności”. Żadna z tych grup, z największą z nich — „Solidarnością Walczącą” — nie była konsultowana. Nie są to przyzwoite metody. Do sprawy groźnego kryzysu, jaki przeżywa NSZZ „Solidarność”, jeszcze wrócimy.

Redakcja

video
kontakt**WYDAWNICTWO KASET VIDEO**

Wspomaga niezależne wydawnictwa
Kaset video w Polsce ▷ rozpowszechnia ich kasety za granicą ▷ realizuje filmy oparte na materiałach w kraju nie osiągalnych • przeznacza dochód ze sprzedaży kaset na rozwój kultury niezależnej w Polsce • proponuje filmy o związanej z Polską tematyce politycznej, historycznej, kulturalnej i społecznej • osobom zainteresowanym wysyła My ulotki reklamowe z opisem POSZCZEGÓLNYCH TYTUŁÓW

video
kontakt

42, rue Raymond Marcheron, 92170 VANVES, France, tel: 46 45 87 16

Sprawy i troski**Najnowsza Polonia południowo-afrykańska**

Cóż Polak może mieć wspólnego z Afrykanderem (białym mieszkańcem RPA)? Czy może żyć szczęśliwie w Republice Południowej Afryki? Kim są polscy imigranci w RPA? Dlaczego, gdy świat ogarniała historyczna kampania przeciwko RPA, oni tam jechali? Jaki jest ich stosunek do czarnoskórych mieszkańców tego kraju? Czy to prawda, że wystarcza im, iż rząd południowoafrykański jest przeciwny komunizmowi, by akceptowali jego politykę wewnętrzną? Uniknęli stanu wojennego w Polsce, a od prawie dwóch lat znajdują się pod prawem stanu wyjątkowego w Południowej Afryce. Czy to ich nie przygnębia? Jakiej kategorii obywatelami są w tym egzotycznym kraju? Co myślą ze sobą wobec ogłoszenia bojkotu gospodarczego RPA i zapowiadanych akcji terrorystycznych ANC?

Autobus się wlecz. Na rozmyślenia mam sporo czasu. W Johannesburgu mamy być dopiero o 17.30. Jadę do rasistowskiego kraju, a wraz ze mną, tym samym autobusem, owinięci takimi samymi firmowymi pledami, czarni, biali, kolorowi (Mula-ci), Hindusi. Przedstawiciele wszystkich ras wyróżnianych w systemie *apartheidu*.

Według danych z roku 1980 RPA zamieszkuje 17 mln Murzynów, 4,5 mln Europejczyków (białych pochodzących z różnych części świata, niekoniecznie z Europy), 2,5 mln kolorowych (Mulałów) i 1 mln Azjatów (Hindusów i Malajów).

Przystajemy na pół godziny, by spożyć śniadanie. Jemy wszyscy w tej samej sali restauracyjnej, przy tych samych stolikach, obsługiwani przez tych samych kelnerów.

Rozmyśleniom moim towarzyszy zimowy krajobraz Transvaalu (prowincji RPA). Pefalowany teren pokryty żółtą trawą i su-

chymi krzewami pod słonecznym, bezchmurnym niebem. Zimowe dni są tu ciepłe, temperatura 15-20°, noce natomiast nawet mroźne. W Johannesburgu, położonym na wysokości naszego Giewontu, niekiedy spada śnieg. To tutaj w 1880 roku odkryto złoto.

W Johannesburgu czeka na mnie koleżanka. W samochodzie jej córka Izka stara się mówić po polsku, ale widać, że stokrotnie szybciej powiedziałaby mi wszystko po angielsku. Hanka przyjechała tu z Australii prawie trzy lata temu. Mąż podpisał wówczas kontrakt z Izbą Górnictwa. Australię źle wspomina: małomiasteczkowa atmosfera, życie w zamkniętych grupach towarzyskich, izolacja od świata, asymilacja hamowana głównie przez samych Australijczyków. „Uciekłam od nudy i samotności” — mówi.

Z Polski wyjechała w 1980 roku. Dla fantazji, żeby zobaczyć świat. W Polsce byli dobrze urządzeni: mieli mieszkanie, piękne meble, dywany. Pracowali oboje, z pracy byli zadowoleni. Atmosfera i życie towarzyskie Wrocławia też im odpowiadały. „Potrafiliśmy organizować pieniądze, załatwiać rzeczy niemożliwe, słowem umieliśmy w Polsce żyć! — mówi Hanka. — Zapracowaliśmy jednak spróbować życia na Zachodzie”.

Niedawno Hanka rozwiodła się. „Tutaj rozwód jest łatwy, trwa 5 minut, kosztuje 20 randów (około 7 dolarów) jeśli rozwodnicy nie wnoszą pretensji majątkowych ani innych. Rozwiodłam się z mężem, bo mnie nie doceniał”.

Hanka jest absolwentką Studium Budowlanego. Od kilku miesięcy pracuje jako kreślarka w johannesburskiej Radzie Miejskiej. Tęskni za małym miasteczkiem w Sudetach. Izka też wspomina spacerować z dziadkiem nad rzeką i góry za oknem. Wybierają się obie do kraju w przyszłym roku.

Właścicielem dużego, ładnego domu, w którym Hanka zamieszkała po rozwodzie jest jej przyjaciel, kawaler, lat 36, inżynier elektryk z drugiego końca Polski. Pracuje w ESCOM — firmie, do której należą wszystkie elektrownie Południowej Afryki. Dom zakupił dla niego zakład, za co on zakładowi sponosa ok. 400 randów miesięcznie (przez 15 lat). „To jest często praktykowana forma pomocy dużych zakładów pracy dla pracowników” — informuje mnie Anatol. Jak wielu jego kolegów, chciałby mieć żonę Polkę, choć czarne i kolorowe dziewczyny przyciągają go jak magnes. Z Hanką wiąże duże nadzieje, zwłaszcza po rozczarowaniu, jakiego doznał z przybyłą specjalnie dla niego, na „zamówienie”, wprost z kraju Polką.

„W Polsce miałem wszystko, ale nie mogłem znieść marnotrawstwa, braku kompetencji, złego zarządzania. Pracowałem w dużym zakładzie przemysłowym. Wyjechałem do Wiednia w 1981 roku. Reklama RPA była bardzo atrakcyjna: piękny kraj, bogaty,

dobre warunki pracy, mieszkanie, opłacona podróż, nie wymagano żadnych deklaracji politycznych, podpisywano umowę o pracę jeszcze w Austrii. Nie jechało się w niewiadome. Na system wówczas nie zwracałem uwagi, wystarczyło mi, że nie jest komunistyczny. Przyjechałem tu w 1982 roku”. Należy do klubu siatkówki wraz z kilkoma innymi Polakami. Grają dobrze, klub jest coraz bardziej znany w RPA.

Pomimo powodzenia życiowego w Południowej Afryce, oboje nie wykluczają wyjazdu. „Może do USA?”. On jeszcze dodaje Amerykę Południową. „Z powodu coraz gorszej sytuacji ekonomicznej, złej — według nas — polityki wewnętrznej, strachu przed Murzynami” — mówią.

W sobotę jedziemy na spotkanie towarzyskie przy ognisku, tzw. *braai*. Ten zwyczaj spędzania sobotnich popołudni przyjęli Polacy od Afrykanderów. W ogródku innego, również młodego inżyniera elektryka z ESCOM-u, pieczemy na ruszcie kiełbaski, wołowinę, zagryzamy chlebem i sałatką, pijamy coca-colę i whisky.

„Musisz się do nas wprowadzić, jeśli chcesz napisać solidny artykuł” — zdecydował Zbyszek.

Pośród najnowszej Polonii Zbyszek jest postacią znaną. Jego dobra znajomość angielskiego, wyniesiona jeszcze z Polski, sprawiła, iż mógł pomóc wielu osobom przy załatwianiu różnych spraw w początkowym okresie ich życia w RPA.

Wprowadziłam się do Zbyszków w niedzielę, po mszy. Hanka nie chodzi do kościoła. „Początkowo przychodziłam na polskie msze, ale dawno przestałam. Chodziłam, bo wierzę w Boga. Przestałam ze względu na plotkarstwo pod kościołem”.

Kościół wypełniony wiernymi. (Później dowiedziałam się, że nie wiernymi, ale utrzymującymi w ten sposób kontakty towarzyskie). Panie w tzw. średnim wieku mają identycznie umalowane na rudo i ułożone w loki włosy, zaś wiele z młodszych duże dekolty, jaskrawe spodnie. Spore grono młodych Polaków czeka pod kościołem. W kawiarence panie pośpiesznie parzą herbatę i kawę. Prezes Polonii sprzedaje grzyby — cudowne suszone prawdziwki i rydze w stołkach. Uczestniczyłam jeszcze później dwukrotnie w tych mszach johannesburskiej Polonii. Za każdym razem brakowało mi czegoś, co zawsze odnajdywałam na innych polskich mszach na świecie. Tutaj zgromadzeni zdawali mi się być domem zbudowanym bez zaprawy murarskiej, z luźno poukładanych cegieł jedna na drugiej. Być może gdzie indziej ową „zaprawą” była tęsknota i troska o kraj? Tu tej zaprawy brak, a innej jeszcze nie znaleziono.

Wprowadziłam się zatem do Zbyszków. Mieszkałam malutkie, okolica raczej brzydka, ale: „czynsz jest bardzo niski, zaledwie

120 randów na miesiąc, do pracy mam 10 minut na piechotę, co np. teraz, gdy skradziono nam samochód, jest bardzo ważne. Bronka ma blisko do sklepów i parku. Moglibyśmy mieć dom, jak inni inżynierowie elektrycy z ESCOM-u, ale ponieważ myślimy o emigracji, nie ma to sensu” — mówi Zbyszek.

Bronka ma trzydzieści lat. Pochodzi z rodziny robotniczej, z małego miasteczka na Dolnym Śląsku. Z zawodu jest instruktorem higieny.

„Wyjechałam do Austrii w październiku 1981, ze stoma dolarami (pożyczonymi) w kieszeni. Pożegnałam mamę mówiąc, że nie wrócę. Myślałam o Kanadzie. W Polsce nie widziałam dla siebie szans: mała pensja, mieszkanie kątem u dziadka i czekanie na jego śmierć, by móc wyjść za mąż i założyć rodzinę. To nie miało sensu”. W Austrii zamieszkała w pensjonacie pod Wiedniem, czekając wraz z innymi na wyjazd do wymarzonego kraju lepszego życia. Złożyła podanie o emigrację do Kanady i Republiki Południowej Afryki jednocześnie. Na odpowiedź czekała prawie rok. Kanada odezwała się pierwsza: zapewniała przelot, naukę języka, zakwaterowanie. Pracy trzeba było szukać samemu, na miejscu. „Zdawałam sobie sprawę, że o pracę w moim zawodzie będzie bardzo trudno. Zrezygnowałam”.

RPA początkowo nie akceptowała samotnych kobiet. „Pod koniec września 1982 roku otrzymałam nagle wezwanie do ambasady RPA — wspomina Bronka. — Zmieniono zdanie. Mimo że samotna, mogłam się osiedlić w tym kraju. Umowę o pracę na stanowisku laborantki w Instytucie Żywności podpisałam natychmiast”. Trzy tygodnie później odleciała do Pretorii. Od razu skierowano ją na kurs języka. Wybrała afrikaans. W pierwszym dniu pobytu wręczono jej jednorazową zapomogę w wysokości 750 R. „Za to wysłałam paczki do Polski” — śmieje się. Przez pół roku instytut gwarantował jej pokój na terenie szpitala oraz wyżywienie, za co płaćta symboliczną kwotę 24 randów na miesiąc. Zarabiała 340 R. Na kurs afrikaans była oddelegowana z pracy.

„Byłam bardzo zadowolona z pracy. Prowadziłam badania nad chemicznymi środkami konserwującymi żywność. Była to dla mnie całkowita nowość, ale szef był bardzo wyrozumiały człowiekiem, a współpracownicy młodzi i życzliwi. Mimo to w końcu lutego 1983 poprosiłam o przeniesienie do Johannesburga. Tam mieszkała większość moich polskich znajomych, chciałam być bliżej nich. W Johannesburgu pracowałam w Instytucie Wirusologii przy produkcji szczepionek. Pobory były te same, praca ciekawa, lecz atmosfera niemiła. W instytucie tym oświadczone mi, że języka afrikaans u nich się nie używa, że instytut jest anglojęzyczny. To był dla mnie szok. Stałam się znowu niemową. W międzyczasie mój dyplom z Polski oficjalnie za-

kwalifikowano jako odpowiednik dwóch lat studiów na Akademii Medycznej. Szef jednak orzekł, iż w laboratorium są już dwie osoby z wyższym wykształceniem, więc trzeciej im nie trzeba i wobec tego pensji mi nie podwyższy. Zaczęłam zatem uczęszczać wieczorami na kurs kreślarski. Po trzech miesiącach uzyskałam dyplom kreślacza. Zwolniłam się z instytutu, rozpoczęłam pracę jako kreślarz w firmie elektryczno-mechanicznej. Wynagrodzenie wynosiło 600 R. plus możliwość dorobienia godzinami nadliczbowymi, płatnymi 100 %, jak również bezpłatne mieszkanie na terenie zakładu”.

W lipcu 1985 wyszła za mąż, zrezygnowała z pracy, wyprowadziła się do męża. Obecnie pielęgnuje paromiesięczną Kamę, śliczną, niebieskooką córę. Oboje są zadowoleni z decyzji wyjazdu z Polski, ale życie w Południowej Afryce już im nie odpowiada. Chcą wyemigrować do USA. Twierdzą, że sytuacja polityczna jest niepewna, a ekonomiczna się pogarsza. Ona dodaje: „Boję się ewentualnych rozruchów”.

Bronka tęskni za rodziną, nie za Polską. Nie stać jej na urlop w kraju. Mąż wkrótce wyjeżdża do Ameryki. Może przyśle dolary na bilet do Polski?

Po Germiston, po Hillbrow, po centrum Johannesburga włóczyłam się sama. Zwiedzałam przebogate sklepy o eleganckich wnętrzach, pełne pięknych ubrań, butów, bielizny, mebli, stosów warzyw i owoców. Podziwiałam kwiaty sprzedawane na ulicach, kawiarnie, restauracje, dyskoteki, dobrze i ładnie ubranych ludzi, sznury samochodów. „Ameryka na końcu Afryki” — myślałam. Niekiedy byłam jedyną białoskórą osobą na ulicy. „I nie bałaś się?!” — pytali ze zgrozą w oczach Polacy z Johannesburga. Nie bałam się, bo nikt na mnie nawet nie zwracał uwagi. Może tylko w parku parę Murzynek przyglądało mi się przez chwilę z zaciekawieniem, gdy, jak i one, położyłam się na trawie, by dać odpocząć nogom.

W czasie przerw obiadowych trawniki johannesburskich parków pokrywają się śpiącymi Afrykańczykami — pracownikami banków, sklepów, urzędów itp. Ktoś kiedyś zrobił im zdjęcie z góry, które potem obiegiło prasę świata z podpisem: „Zabici i ranni w Johannesburgu”. Nie bałam się, ale czułam się jednak nieswojo. Krępował mnie mój kolor skóry. W Botswanie, gdzie mieszkam, nigdy nie czułam się tym zakłopotana. Tu męczyła mnie myśl, że wystarczy, iż jestem biała, by w oczach czarnoskórych przechodniów uchodzić za tę, która nimi gardzi. Politykę *apartheidu* odczuwałam niespodziewanie na własnej skórze.

Na weekend'y zapraszali mnie Agatka i Radek. Młoda para organizowała spotkania, dając mi możliwość poznania wielu osób. Emigranci o krótkim stażu różnie reagowali na wiadomość, że

przyjechałam z zamiarem napisania o nich artykułu. Zwykle od razu pytali: „Dla kogo ten artykuł miałby być?”. „Dla kraju” — odpowiadam. Natychmiast wbudzało to nieufność do mnie. Jedni nigdy się jej nie wyzbyli, inni porzucali ją po chwili lub przy następnym spotkaniu. „A jednak nie wolni” — myślałam, widząc ich zakłopotanie. „Porzucili polską rzeczywistość, krępującą ich ruchy i zniewalającą ich myśli, a jednak do wolności jeszcze im daleko. Czy wolność to sprawa indywidualna czy zbiorowa?”.

Radek ma dwadzieścia dziewięć lat, Agatka dwadzieścia pięć. Ona wyruszyła w świat zaraz po maturze, on ukończył w Polsce Technikum Mechaniczne i pierwszy rok prawa. Ona zawód zdobyła w RPA — jest kreślarką. Jak wiele Polek. System polityczny RPA nie przeszkadza jej, nie wierzy, by doszło do wojny domowej czy przewrotu, Murzyni ją denerwują swą — jak mówi — głupotą. Jest bardzo zajęta budową domu, której 55 % kosztów pokrywa jej zakład pracy, i myślą o założeniu rodziny.

Radek: „Do Wiednia wyjechałem w sierpniu 1981. Na Zachodzie nigdy przedtem nie byłem, ale marzyłem o nim. Wyjeżdżałem z myślą, że nie wrócę. Nie widziałem w Polsce przyszłości ekonomicznej, bałem się służby wojskowej. Chciałem jechać do Australii, ale akurat Australia chwilowo nie przyjmowała kawalerów. Dokumenty o wyjazd do RPA złożyłem przypadkowo, namówił mnie do tego kolega. Inaczej wyobrażałem sobie życie poza Polską. Jest trudniejsze niż myślałem. Nie byłem psychicznie przygotowany. Nie jestem jednak rozczarowany”. Przy kawie i pysznych ptysiach Agatki toczyły się rozmowy.

„Jak odnoszą się Burowie (potomkowie holenderskich osadników posługujący się językiem afrikaans) do Polaków i odwrotnie?”. „Burowie są ciekawi Polaków. Bur jest dobrze nastawiony do Polaka. Jedynie potomkowie Anglików okazują wyższość. Bur nie traktuje Polaka jako obcego, gdyż Polak jest biały. Nawet okazuje Polakowi szacunek, bowiem przybywa on z Europy. Tu Europy nie dzieli się na wchodnią i zachodnią, co w Europie wyznacza kategorię człowieka — mówili wszyscy razem. — Tutaj Polak wreszcie jest Europejczykiem! Bur jest prostoduszny, żyje dniem dzisiejszym, ważne jest dla niego, by miał whisky, mięso i drzewo na *braai*. Zna dobrze mentalność czarnych”.

Radek: „Bur i Polak mają wiele wspólnego, np. obaj są zadufani w sobie, skorzy do zabaw i wypitki. Na koniec zabawy biją się, jak u nas na wsiach. Obaj lubią plotki i obmawiają się ile wlezie. Obaj są zazdrośni, obaj są nacjonalistami, obaj mają uczucie, że świat ich nie docenia”.

Agatka: „Ale Bur potrafi się zorganizować, a Polak nie. Na

Bura można liczyć, a na Polaku, w poważnych sprawach, nie można polegać”.

Tadek: „Nie można polegać na pierwszym lepszym, ale można na przyjaciółach. Dlatego wśród Polaków tworzą się grupki, w ramach których ludzie bardzo sobie pomagają”.

Grażyna: „Polacy uważają się za bardziej 'świadomych' od Bura. W Secunda, gdzie mieszkam i dokąd przybyło 600 osób (do pracy w SASOL), Burowie się do nas zrazili. Początkowo byli bardzo serdeczni, pomocni. Na lotnisku czekali na nas z kwiatami, w domach czekały nas pełne lodówki i kwiaty na stołach. Ale Polacy zaczęli się upijać. Pili po trzy dni, a na czwarty szli do lekarza po zwolnienie. Zaczęli się wyśmiewać z Burów. Chcieli, by Bur dostosowywał się do ich kultury i obyczajów. Zaczęli zazdrościć sobie nawzajem, mieć pretensje, że inny Polak ma więcej, nie patrząc na różnice w wykształceniu i latach pracy. Zaczęli być niewdzięczni”.

„Jaki jest stosunek Polaków do czarnoskórych mieszkańców RPA?”

„Stara Polonia uważa ich na ogół za naiwnych — pierwszy odzywa się Stanisław — a to dlatego, że mało ma styczności z inteligencją murzyńską. Szacunek ma do dwóch: dr. Savimbi i dr. Buthelezi. Uważa ich za europejskich Murzynów. Czarni drażnią swą dziecinnością. Stara Polonia traktuje Murzynkę pomagającą w domu jak przedwojenną służącą, czyli swego rodzaju członka rodziny. Pomaga jej, zaprasza na telewizję. Murzyni mają świetne wycucie tego, kto naprawdę jest szefem. Dla Murzyna trzeba być sprawiedliwym. Można go zrugać, akceptuje to, ale nie należy do tego wracać. Nowa Polonia do czarnej służby odnosi się z pogardą”.

Radek: „Murzynowi w pracy nie można ufać. Jest nieodpowiedzialny. Przyzwyczajony do tego, że traktuje go się jak głupca, nie myśli — bo *boss* za niego myśli. Niszczy narzędzia najbardziej niezniszczalne, np. potrafi urwać ramię dźwigu-ładowacza”. „Albo nie wyłączy tablicy rozdzielczej, gdy wszystkie światła alarmów się palą, choć jedyną rzeczą, którą ma robić i za którą mu płacą jest naciśnięcie guzika w takich momentach” — dodaje ktoś inny.

Tadek: „Murzyni nadają się tylko do tańca i śpiewu. Szanują szefa, który ich krótko trzyma. Biały zawsze jest dla nich bogaty, a oni biedni. Gdy się im proponuje godziny nadliczbowe, nie chcą. Mówią, że mają dosyć. Są strasznie naiwni. Ich dziecinną duszę i tęsknotę do wygody wykorzystują różne organizacje. Np. w mojej pracy Murzyn po 10-tej klasie, inteligentny, starający się, pyta mnie pewnego razu: czy to prawda, że w ZSSR wsiedam do wolnego samochodu, jadę dokąd chcę, zostawiam tam

auto z kluczykami dla innego, który ma ochotę jechać gdzie indziej?”

Zenek: „Ten mit o ZSSR panuje tylko pośród południowo-afrykańskich czarnych. Pracuję w kopalni, pod ziemią. Mam w brygadzie m.in. Murzynów z Mozambiku. Dla tych ów mit nie istnieje, a o tutejszych czarnoskórych mówią z pogardą: *stupid kaffir* (głupi poganin — bardzo obraźliwe).

Bogna: „Kilka Murzynek jest zatrudnionych w naszym biurze jako sprzątaczk. Całymi dniami robią na drutach robótki na sprzedaż, a ubikacje brudne, kurz z biurek niepościerany, papier toaletowy ze schowka szef musi przynosić. I nie wolno im uwagi zwrócić, bo okrzykną cię rasistką! Jestem oczywiście przeciwno segregacji rasowej, niemniej nie chciałabym mieć Afrykańczyków za sąsiadów: obawiałabym się hałasu, brudu, złodziejstwa, a nie tego, że czarni. Według mnie z pięćdziesięciu lat potrzeba, by wyrównały się poziomy kulturowe. Dlatego jestem za równym traktowaniem, za równą szansą, ale nie za daniem prawa głosu na zasadzie 1 człowiek — 1 głos”.

Halina: „Ja nie mam służącej, choć pracy w domu jest sporo. Oboje z mężem pracujemy, dzieci chodzą do szkoły. Przydałby się ktoś do sprząkania, prasowania, gotowania. Ale musiałam Murzynkę zwolnić, gdyż źle pracowała i nie słuchała mych poleceń. Kolor skóry mi nie przeszkadza, ale drażni mnie głupota”.

Zenek: „Jak Afrykańczyk się stara, to i traktuje się go inaczej. Kiedyś naprawiałem Murzynowi samochód. Była drobna usterka. Nie wzięłam pieniędzy. On mi za to tort przyniósł! Takiego człowieka będę szanował, bo jest dumny”.

„Czy według was *apartheid* istnieje jedynie w Republice Południowej Afryki?”

„Nie tylko w RPA — jako pierwsza podejmuje kwestię Hanka. — Z *apartheidem* czyli segregacją rasową spotkałam się w Australii. Tam aborygeni (tubylcy) żyją w gettach — rezerwach, bez prawa głosu. Australijczycy mówią o nich: pijak, głupiec, nic nie potrafi. Większość została wymordowana, więc kłopotów z *apartheidem* rząd australijski nie ma”.

Edward: „Dyskryminacja istnieje wszędzie. Czy na tle rasowym, czy klasowym, plemiennym, narodowościowym. Dla mnie klasowość w Polsce też jest formą *apartheidu*. Różnica między *apartheidem* w RPA a gdzie indziej jest ta, że w innych krajach *apartheid* polega na prawie zwyczajowym, gdy w RPA stał się prawem formalnym, przyjętym jako oficjalna polityka rządu. Prawnie *apartheid* w Południowej Afryce już nie istnieje, poza prawem głosu (nad którym właśnie toczą się dyskusje). *Apartheid* jednak istnieje w ludziach, z przyzwyczajenia. Czarni i biali są jednakowo opłacani, nie ma prac zastrzeżonych dla białych, mał-

żeństwa mieszane są dozwolone, wybór miejsca zamieszkania nie jest obwarowany kolorem skóry, kina, restauracje, plaże i inne miejsca publiczne dostępne są dla wszystkich jednakowo. Jednak większość Afrykańczyków mało zarabia, gdyż brak im wykształcenia. Często też, jak już mówiliśmy, po prostu źle pracują, by nie powiedzieć, że nic nie robią. By poprawić ich warunki materialne założono liczne szkoły zawodowe, stworzono ogromną ilość fikcyjnych stanowisk”.

Tadeusz: „Jednakże w oczach przeciętnego Afrykańczyka reformy te się nie liczą. Jedyną pożądaną przez niego reformą jest przejęcie władzy, co w jego rozumieniu jest równoznaczne z wyzwoleniem od pracy (symbolem wyzysku) i spod rządów białych, pozwalającym bezkarnie pojąć wszystko to, czego się ci ostatni dorobili”.

„Jaki jest wasz, Polaków, pogląd na system *apartheidu* w RPA?”

Stanisław: „Mój pogląd na ten temat, podzielany przez wielu Polaków, jest następujący: jestem jak najbardziej za zniesieniem *apartheidu*, ale to się musi odbyć w drodze ewolucji, nie rewolucji”.

„Co sądzicie o bojkocie gospodarczym RPA?”

Teofil: Świat jest przewrażliwiony i nieuczciwy. Nie daje czasu na reformy, chce nieodpowiedzialnej władzy nieprzygotowanych do zarządzania na europejskim poziomie (na jakim przecież jest RPA) Afrykańczyków”.

Stanisław: „Świat ignoruje fakt, że w ostatnich latach w Południowej Afryce zaszły ogromne zmiany. Większość ludzi wyobraża sobie, że Murzyni w RPA mieszkają wyłącznie w okropnych warunkach, w najuboższych dzielnicach. Taki obraz wytworzyła telewizja, która nigdy nie pokazuje nowoczesnych osiedli i dzielnic, gdzie mieszkają dobrze sytuowani Afrykańczycy. Demokracja typu zachodniego nie pasuje do Afryki. Na 56 państw 45 posiada system jednopartyjny, 11 wielopartyjny, ale tylko w trzech partie opozycyjne mają jakiegokolwiek szanse wygrania wyborów i zmiany rządu. Nawet najbardziej demokratyczny rząd na świecie nie będzie tolerował działalności organizacji, która otwarcie nawołuje do użycia siły, uprawia sabotaż i popełnia morderstwa polityczne oraz akty terroru, w których giną przypadkowi ludzie. Jednakże krytycy Południowej Afryki żądają zalegalizowania działalności ANC i PAC — dwóch organizacji włączających terror do swoich programów walki o władzę — nawet jeśli nie wyrzekną się one użycia siły. Terrorystyczna kampania prowadzona przez ANC i PAC nie tyle uderza w siły zbrojne RPA, co jest skierowana przeciw czarnym umiarkowanym politykom,

celem zastraszenia ich. Od początku rozruchów we wrześniu 1984 do kwietnia 1986 czarni radykałowie zamordowali 508 afrykańskich umiarkowanych polityków oraz spalili 4.435 domów mieszkalnych, kilkaset szkół i klinik oraz 1.417 sklepów i biur, należących do Afrykańczyków”.

Zbyszek: „Niektórzy zachodni politycy łudzą się, że ekonomiczne sankcje 'położą' Południową Afrykę i zmuszą rząd do kapitulacji na rzecz ekstremistów z ANC. Na pewno nie, bowiem RPA jest wystarczająco bogata i militarnie silna, by móc utrzymać się jeszcze przez wiele lat. Ale kto najwięcej ucierpi? Oczywiście uboga ludność, w większości Afrykańczycy. Południowoafrykańskie biuro analizy rynkowej zakłada, że około miliona osób straci pracę na skutek sankcji, w tym tylko 16 % białych. Sankcje ekonomiczne uderzają także w sąsiadów RPA — Lesotho, Swaziland, Botswanę, Mozambik — którzy zależą ekonomicznie od Południowej Afryki i duża część ich dochodów pochodzi z zarobków obywateli pracujących na kontraktach w RPA”.

Stanisław: „Sankcje z całą pewnością powiększą bezrobocie i obniżą poziom życia. Powszechnie wiadomo, że bieda prowadzi do rewolucji, a do niej właśnie dążą marksiści w Południowej Afryce i wspierający ich Związek Sowiecki, pragnący rozszerzyć swe wpływy na ten ważny strategicznie i bogaty w minerały kraj”.

Przy różnych okazjach zapytywałem niedawno przybyłych do RPA Polaków, co zamierzają ze sobą zrobić w związku z sankcjami ekonomicznymi i zastraszającymi akcjami ANC? Większość mych rozmówców wierzyła w „rozsądne, korzystne dla całej ludności RPA” rozwiązanie, ogólnie oceniała poczynania rządu i kościołów głównych wyznań (np. protestanckich) pozytywnie. Ci budowali sobie domy, upiększali swe mieszkania, starali się o awans w pracy, zakładali interesy, cieszyli się z pięknej przyrody południowoafrykańskiej, narzekali na pomoce domowe i rosnące ceny. Mniejszą grupę stanowili krytycy rządu i poczynania organizacji afrykańskich. Nie przewidywali wprowadzenia rewolucji, wojny domowej itp., ale spodziewali się wzrostu przestępczości, np. włamań do domów, napadów na ulicy, kradzieży samochodów, chuligaństwa. Ci pokupowali pistolety czy rewolwery, otoczyli wysokimi murami swoje posesje lub sprowadzili do domów „złe psy”, ubezpieczyli wysoko samochody. Żyją czujnie, ale nie w strachu. Małą grupkę stanowili ludzie niezadowoleni z rozwoju sytuacji politycznej i ekonomicznej RPA, widzący krwawą rewolucję na horyzoncie południowoafrykańskim. Liczną grupę stanowili „dolarowcy”. Dla nich tylko dolar był „prawdziwym” pieniądzem, tylko Ameryka krajem nieskończonych możliwości i szybko osiągalnego bogactwa (synonimu zadowolenia z emigracji). Ci, w większości, niczego w RPA się nie dorobili, poza niezbę-

nymi codziennymi sprzętami i samochodami (będącymi spełnieniem marzeń z Polski). Sycili się swobodą, egzotyką kraju i jego mieszkańców, posiadaniem „waluty”, nierzadko i możliwością okazywania „wyższości” Afrykańczykom” i „Portugałom” (jak nazywali Portugalczyków — właścicieli warzywniaków). Część z nich przebywała już w USA jako „turyści”, pracując jako ogrodnicy, stróże domów, kucharki, pomoce domowe (tak panowie, jak i panie!). Są jednak i tacy, którzy starają się o oficjalną emigrację do Stanów Zjednoczonych, motywując ją „niepewną, niespokojną sytuacją w Południowej Afryce”. Tacy posiadają dobrą opinię z zakładu pracy w RPA i zakład w Ameryce wyrażający chęć zatrudnienia ich.

Kilka osób powróciło do Polski ze względu na przydział mieszkania, ewentualną utratę domu w kraju, samotność po rozwodzie z mężem i absolutną bezradność w obcym świecie. Dla niektórych Polonusów, którzy powrócili do Polski z RPA jako bogacze, powód był inny. Opowiedziano mi historię grupy młodzieńców, którzy w krótkim czasie pobrali w przeróżnych sklepach „na spłaty” luksusowy sprzęt domowy, fotograficzny, muzyczny itp., po czym zapakowali w kontenery i odesłali statkiem do Polski. Następnie powrócili do kraju!

Poszukiwani byli listami gończymi przez telewizję południowoafrykańską, żyrancami, zazwyczaj ich polscy koledzy, niemało zdrowia stracili, a instytucje udzielające pożyczek i sprzedające na raty odmawiają odtąd wszystkim Polakom z nowej emigracji swoich usług.

Nowa emigracja nie utrzymuje bliskich kontaktów ze starą Polonią. Twierdzą, iż kontakty te są raczej sporadyczne, a winą za to obarczają „starych”, którzy, jak mówią, zazdroszą nam startu. Moim zdaniem te pokolenia Polaków już się nie rozumieją, a różni je „Polska i bycie Polakiem”. W dobrych stosunkach pozostają ze „średnią” Polonią, tą z lat 70-tych. „Ci często służą nam pomocą” — mówią.

Rozmawiam z prezesem Zjednoczenia Polaków w Afryce Południowej. „RPA początkowo chciała imigrantów głównie z Holandii. Chodziło o to, by wzmocnić grupę posługującą się językiem afrikaans. Od roku 1962, kiedy zaczął rozwijać się przemysł, zapotrzebowanie na fachowców zmusiło Południową Afrykę do akceptowania imigrantów innych narodowości. Nabór przeprowadzano w całej Europie. Początkowo przyjeżdżali Polacy z Nigerii i Ghany: inżynierowie, lekarze, którzy po ukończonym kontrakcie z Polserwisem nie wracali do kraju oraz ci, którzy dołączyli do swych rodzin osiadłych w RPA. Nieco Polaków przybyło wówczas z Anglii, Niemiec, Francji. W latach 70-tych spora grupa Polaków przybyła przez Wiedeń, znana niemal wszystkim

droga. Pod koniec lat 70-tych nastąpił ogólny zastój w emigracji do RPA, spowodowany pogorszeniem się sytuacji gospodarczej państwa. Jednakże nie trwał on długo, bo już w 1980-1981 cena złota wzrosła i RPA ponownie mogła ofiarować dobrze płatne prace, wspaniałe wyposażenie sklepów, przystępne dla wielu ceny wszelkich artykułów i domów.

W tym samym czasie w Polsce ogłoszono stan wojenny. Światowe statystyki podawały, iż poza Polską znalazło się pół miliona jej obywateli. Obozy dla uchodźców w Europie Zachodniej wypełniły się Polakami. Polonia południowoafrykańska wystosowała wówczas list do rządu RPA, zwracając jego uwagę na powyższy fakt.

Nabór Polaków rozpoczął się poprzez ambasadę RPA w Wiedniu. Konsul Republiki Południowej Afryki, pan Marais, mógł decydować o naborze każdego zgłaszającego się do ambasady. Jedynie w szczególnych przypadkach rozstrzygała Pretoria (siedziba rządu). Takie postępowanie było przewidziane specjalnym zarządzeniem rządowym. Ambasada RPA zatrudniła wówczas około dwudziestu Polaków — przeważnie uchodźców — jako tłumaczy przy rozmowach wstępnych, wypełnianiu formularzy, podpisywaniu kontraktów itd. Szereg dużych firm południowoafrykańskich wysłało tzw. *recruiting teams* na okres 2-3 miesięcy. W każdym z tych zespołów (3-4-osobowych) znajdował się Polak z RPA jako tłumacz. Firmy te ofiarowywały pracę zgodną z wykształceniem i wysługą lat, dobre pobory, urządzone mieszkanie, kurs języka, uznanie dyplomu, zapomogę na zagospodarowanie się, opiekę lekarską w początkowym okresie, przelot. Były to wielkie koncerny kopalniane jak: GENCOR, Rand Mines, Anglo-Vaal, JCJ, Goldfields oraz inne przedsiębiorstwa, np. Anglo-American, DOBRYL (walcownie stali), ESCOM (elektrownie), SASOL (przetwórstwo węgla na paliwa), ISCOR (metalurgia). Dyrektor firmy TOTAL, do której należą stacje benzynowe, z sympatią dla Polaków ofiarował umowy inżynierom architektom i technikom samochodowym. Wiele małych przedsiębiorstw, jak np. samochodowe Siemens, Sigma-Motors, kierując się tym samym uczuciem dla Polaków, zapewniło dobre warunki emigrantom polskim. Instytut Naukowo-Badawczy CSIR ofiarował pracę sporej grupie mechaników, chemików, elektryków, inżynierów lądowych przybyłych do RPA przez Monachium. Lekarze znaleźli zatrudnienie w szpitalach państwowych i wojskowych. Dyplomy lekarskie zostały uznane, ale bez prawa do prywatnej praktyki. Dyplomy politechnik i uniwersytetów uznawane były według międzynarodowego katalogu uczelni. Niemniej uznano je wszystkie z wyjątkiem dyplomów Politechniki Szczecińskiej. Świadectwa techników nastęrczały nieco kłopotu z zakwalifikowaniem do klas poziomu technicznego, z których T5 reprezentuje najwyższy szcze-

bel. Na ogół kwalifikowano je jako odpowiedniki T2, niekiedy T3. Miało to znaczenie jedynie w przedsiębiorstwach pół-państwowych, jednak nie wpływało na wysokość zarobków w pierwszej pracy. „T” liczyło się dopiero przy zmianie pracy. Zyskiwało się na „T” po ukończeniu miejscowych kursów technicznych.

Początkowo język stanowił wielką przeszkodę w wykonywaniu niektórych zawodów, np. architekt bez znajomości angielskiego czy afrikaans stawał się kreślaczem. Obecnie po 4-5 latach większość tych Polaków nie ma kłopotów językowych. Mają je ich żony. Nie pracowały i nie uczyły się języka. Wpadają w panikę, gdy mężowie je porzucają.

„Nie każdy jednak mógł okazać dyplom czy świadectwo. Przecież w chwili ogłoszenia stanu wojennego w Polsce wiele osób znajdowało się za granicą czasowo, bez myśli o pozostaniu tam na stałe. Tacy nie brali ze sobą dyplomów ani świadectw. Niektórym odebrano te dokumenty na granicy polskiej. Jakie było postępowanie RPA w takich przypadkach? Aby uznano ich kwalifikacje, dane osoby musiały przysięgać na piśmie i odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących zawodu. Np. kopalnie akceptowały emigrantów z PRL na podstawie tego, co sami o sobie mówili, jednakże związki zawodowe domagały się czekania na uznanie kwalifikacji. Zdarzyło się zresztą parę przypadków oszustwa przy naborze w Austrii, np. kuśnierz podawał się za mechanika. Na miejscu okazało się, że nie ma o tej pracy pojęcia. Jednak kopalnia nie zwolniła go, lecz przyuczyła do zawodu elektryka”.

„Czy przy emigracji do RPA była wymagana deklaracja polityczna?”

„Rząd południowoafrykański uznawał wszystkich Polaków za uchodźców politycznych i dlatego udzielał im prawa pobytu i od nikogo nie wymagał wystąpienia o azyl polityczny. Zdarzył się tylko jeden wypadek deportacji do Austrii. Dotyczył osoby chorej psychicznie. Austria wydalila młodzieńca do Polski”.

„Zauważyłam, iż najnowszą emigrację polską w RPA stanowią głównie młodzi mężczyźni. Czy to przypadek?”

„Nie, to nie przypadek. Nabór dotyczył przede wszystkim mężczyzn. Kilka kobiet — inżynierów chemików (w tym pannę z niemowlęciem) przyjął SASOL. Garstkę pań — pielęgniarek, lekarek, higienistek — przyjęły szpitale i instytuty żywienia. Kilka kobiet z dobrą znajomością angielskiego zatrudnił TOTAL do pracy w biurze i zarazem do kontaktów ze świeżo zatrudnionymi Polakami. Mężczyźni stanowią 90 % najnowszej Polonii RPA. Do najnowszej emigracji polskiej w RPA należy też grupa byłych marynarzy. Ogłoszenie stanu wojennego w kraju zastało

ich w pobliżu brzegów Południowej Ameryki. Jest ich około czterdziestu, przeważnie niezonatych wilków morskich, którzy zeszli wówczas ze statku. Rząd RPA wyjątkowo zaakceptował ten desperacki krok”.

„Żony marynarzy po ok. 2 latach otrzymały paszporty. Z wizami RPA nie miały kłopotu”.

„Ile osób przybyło do RPA i jak się to odbywało?”

„W okresie wrzesień 1981 — styczeń 1983 Polacy przybywali do Południowej Afryki dwa razy w tygodniu, we czwartki i w niedziele, w grupach 20-100 osobowych, liniami SAA. Zapełniali po prostu wolne miejsca w samolocie. Później przyleciało jeszcze parę osób indywidualnie. Podróż w 30 % pokrywała zatrudniająca ich firma, zaś w 70 % rząd RPA. W sumie przybyło 3.500 osób.

Na lotnisku oczekiwali ich przedstawiciele firm z tłumaczem, najczęściej przedstawicielem miejscowej Polonii. Zależnie od przedsiębiorstwa, zabierano przybyszów wprost na obiad, po czym do przeznaczonych dla nich mieszkań czy domków, względnie pozostawiano ich na kilka dni w hotelu, dając gotówkę do ręki. Np. koncern GENCOR dawał samotnym 1.000 randów, a 2.000 randów małżeństwom; samotnych zawoził do umeblowanych mieszkań na terenie kopalni, za które wraz z utrzymaniem płacili 60 randów miesięcznie. Małżeństwa otrzymywały domek z podstawowym wyposażeniem. Inna firma, ESCOM, wręczała 1.000 randów mężowi i 5.000 randów żonie na zagospodarowanie się, a osobie samotnej 1.000 randów. Drobne firmy nie dawały zapomóg”.

„Panie prezesie, dlaczego ci ludzie lecieli do Południowej Afryki?”

„Uważam, że głównym powodem, dla którego decydowali się na emigrację do RPA były bardzo dobre warunki pracy i życia oferowane przez firmy tego kraju. Bardzo ważny był też fakt, że nie lecieli w niepewność, bowiem umowy o pracę podpisywali w Wiedniu. Umowy te zobowiązywały do pracy w danej firmie przez 2-3 lata. Po czym pracę tę, miejsce zamieszkania, czy nawet kraj można było zmienić. Również deklaracja polityczna nie była wymagana, co stanowiło niejako furtkę do ewentualnego powrotu do Polski. Przybywający z Wiednia posiadali ważny na dwa lata tzw. dokument podróży. W okresie ważności tego dokumentu mieli prawo powrotu do Austrii, co także eliminowało lęk przed Afryką. Oczywiście, w razie niedotrzymania umowy wszelkie wydatki poniesione przez firmę dana osoba musiałaby zwrócić”.

„Jaka jest opinia o nowych emigrantach w Południowej Afryce?”

„Są uważani za dobrych pracowników”.

„Jaki jest status polskich emigrantów?”

„Po czterech latach, jeżeli znają oba języki urzędowe, angielski i afrikaans, otrzymują automatycznie obywatelstwo. Gdy władają jednym z nich — po pięciu. Jednakże w pewnych przypadkach, np. wyjazdu na kontrakt do innego kraju, otrzymują obywatelstwo wcześniej. Do czasu otrzymania obywatelstwa posiadają tzw. *permanent residence*, czyli pozwolenie na stały pobyt. Od momentu wyładowania na lotnisku w Johannesburgu przysługują im wszystkie prawa z wyjątkiem prawa głosu oraz pracy w wojsku i instytucjach z nim związanych, jak np. kopalnie uranu. W ogóle osoby mające rodziny w Polsce, a posiadające obywatelstwo południowoafrykańskie, z reguły nie są zatrudniane w zakładach związanych z wojskiem dopóty, dopóki nie przejdą tzw. *security clearance*, czyli sprawdzianu bezpieczeństwa”.

„Na skutek sankcji ekonomicznych pracę będą tracić i Polacy. Pewna ich liczba stanie się bezrobotnymi”.

„Bezrobotnym przysługuje zasiłek, o ile w utraconej pracy nie zarabiali więcej niż 1.300 randów. Przy wyższych zarobkach prawo wymaga ubezpieczenia się od ewentualnej utraty pracy. Proszę sobie jednak nie wyobrażać, że każdy nowo przybyły Polak boi się zostać bezrobotnym. W Johannesburgu mamy taką grupę kawalerów, którym bardziej się opłaca pobierać zasiłki i dorywczo pracować, niż być regularnie zatrudnionym”.

„Jak wygląda sprawa opieki lekarskiej?”

„Opieka lekarska zależy od zakładu pracy, tj. dotyczy średnich i dużych przedsiębiorstw. Składka ubezpieczeniowa ściągana jest z pensji, przy czym zakład w 50-80 % pokrywa koszty leczenia wszystkich bez wyjątku pracowników”.

„Wprawdzie nowa emigracja polska w RPA to ludzie młodzi (najstarsza osoba liczy 51 lat), w wieku około 45 lat, niemniej o emeryturze muszą myśleć”.

„Od każdomiesięcznych poborów wpłaca się ok. 5 % pensji na tzw. fundusz emerytalny. Emerytura równa się przeciętnej z wynagrodzeń ostatnich trzech lat lub z trzech najlepszych poborów. W instytucjach państwowych mężczyźni przechodzą na emeryturę w wieku 65-ciu lat, a kobiety w 60-tym roku życia”.

„Podobno wielu nowoprzybyłych Polaków zginęło w wypadkach samochodowych. Dlaczego?”

„Bardzo wiele wypadków samochodowych zdarzyło się zwłaszcza

cza na początku ich pobytu. Mogę wyliczyć co najmniej 20 osób, które znałem, a które zginęły na drodze. Powodów jest kilka: piją, źle prowadzą, kupują samochody nie mając prawa jazdy, no i ruch lewostronny”.

Halina zaprosiła mnie na dwa dni do siebie. Syn uprawia lekkoatletykę, wyjechał akurat na obóz sportowy. Zająłem jego pokój. Domek parterowy, z dużym ogrodem, garażem, ładnie usytuowany. Wewnątrz trzy sypialnie, salon, obszerna kuchnia, spiżarnia, łazienka, wszystko urządzone z gustem.

„Wszystko nowe, braliśmy na raty od widelca po golf. Dostaliśmy też 3.400 randów bezzwrotnej zapomogi. Dom należy do firmy, w której pracuje mąż jako tokarz-słusarz. Płacimy zań 35 randów na miesiąc. Możemy go nabyć na własność, ale miesięczne spłaty wynosiłyby wówczas około 400 randów i w dodatku trwałyby 25 lat. Od niedawna i ja pracuję. Jestem kierowniczką dużego sklepu obuwniczego. Zarabiam brutto 889 randów, a mąż 1.870. Po odliczeniu składek ubezpieczeniowych, funduszu emerytalnego, mieszkania itp. zostaje mu na rękę 1.250 randów. Bogaczami nie jesteśmy, ale też w ciągu czterech lat od czasu wylądowania w RPA żyjemy na takim poziomie, tak ciekawie, tak dostatnio, jak zawsze chcieliśmy, a nie byliśmy w stanie osiągnąć w kraju przez wiele lat”.

„Dlaczego przylecieliście do RPA?” — pytam.

„W Afryce Południowej jesteśmy wyłącznie dlatego, że jest tu ciepło. Zaakceptowała nas Kanada jeszcze w styczniu 1982, ale ja pragnęłam pod palmę i upały tropiku”.

Pewnego wieczoru wybraliśmy się gromadą do polskiej knajpki prosperującej w samym centrum ruchliwego Hillbrow pod oficjalnym szyldem *Take away food* (Jedzenie na wynos). Już od progu słychać było soczyste polskie słownictwo. Zajęliśmy stolik pod ścianą, na której wisiął gobelin kowarski z białym orłem obok portretu papieża. Sąsiedni stolik gęsto obsiedli młodzi mężczyźni. W jadłospisie: pierogi, flaki, bigos. Przy zamawianiu postawny właściciel, eks-marynarz, spytał z wyczuciem: „Ile wódeczek?”. Ma widać dobre stosunki z policją. Pierogi były świetne, choć według pań ciasto trochę za twarde. „Widać ta kolorówka (Mulatka w języku młodej Polonii) zza bufetu robiła”.

„Bar ten funkcjonuje na zasadzie klubu — mówi Zbyszek — wszyscy samotni przychodzą tutaj na flaki i pierogi. Często sprzedawane są na kredyt. Wódka jest spod lady. Ci samotni pracują dorywczo, tj. wynajmują się do remontów hal fabrycznych i różnych urządzeń. Prace te trzeba wykonać szybko. Pra-

cują wówczas non-stop, np. trzy miesiące. Zarabiają dobrze. Przepuszczają wszystko, oczekując następnej oferty”.

Tadeusz: „Polacy próbowali różnych interesów, np. takich *Take away* czy *Fish and Chips* było więcej. Albo robili jedzenie dla Murzynów i rozwozili po zakładach pracy w czasie przerwy obiadowej. Jednak wszystko wzięło w łeb ze względu na spadek wartości pieniądza”.

Zenek: „Inni zajmowali się wyklepywaniem samochodów, składaniem ich ze starych wraków. Sam się tym trudniłem. Ale też w końcu się nie opłacało”.

Bronka: „Niektórzy bawili się w handel obrazami. Chodzili po domach udając malarzy i przedstawiali obrazy z Hong-Kongu malowane tam taśmowo przez ulicznych artystów, jako własne dzieła sztuki. Naiwni ludzie kupowali”.

Radek: „Ostatnio 'interesem' polskim są mikrobusy-taksówki wypożyczane na *weekend'y*. Pożycza się Murzynowi autobusik w piątek po południu do wieczora w niedzielę, a ten rozwozi czarnych po ich miastach czy wioskach. Murzyn-kierowca płaci od ilości przejechanych kilometrów. Ale Polacy nie dorabiają się na tym. Może 200-300 randów na miesiąc im wpada. Dorabiają się na tym Portugalczycy. Sądzę, że Polacy nie znają mentalności czarnych. Murzyn zawsze wymyśli trudności, na skutek których albo nie wrócił na czas, albo nic nie zarobił, względnie bardzo mało, bo np. policja go złapała, rzeka wylała itp.”.

Rozmowy toczyły się wartko, słuchałam ich z ciekawością, starałam się jak najwięcej zapamiętać.

„Czy można żyć bez Polski?” — zapytałam.

Pierwsza odezwała się Ewa: „Można. Jestem z tzw. średniej Polonii. Już szesnaście lat w RPA. Nie tęsknię za Polską. Nie byłam w ciągu tych lat. Nie mam tam nikogo. Oczywiście lubię polską muzykę, książki, język. Ale to mam wszędzie”.

„Ja tęsknię za górami. Nawet bardziej niż za rodziną — powiedziała Barbara. — Pochodzę z Zakopanego. Wyjechałam do Wiednia we wrześniu 1981 z myślą, że popracuję nieco, zobaczę Alpy i wrócę. Zastał mnie tam stan wojenny. Psychoza, jaka panowała wśród Polaków w Wiedniu sprawiła, iż zdecydowałam się na emigrację. W Wiedniu też poznałam męża. Do RPA przylecieliśmy ostatnim transportem, w styczniu 1983. Domek o powierzchni 100 m² był całkowicie urządzone. Brakowało tylko telewizora. Dostaliśmy też 4.000 randów na urządzenie się. Za to kupiliśmy BMW. Ja zaszłam w ciążę zaraz następnego dnia, pewnie z tej radości, że nas tak po ludzku, serdecznie potraktowano. Mąż jest tokarzem. Pracuje w petrochemii SASOL. Ja jestem laborantką medyczną. Zadowolona jestem z wyjazdu z Polski, gdyż nauczyłam się wiele, zobaczyłam dużo, pożyłam do-

statniej i swobodniej. Chciałabym jednak wrócić do Europy, do Polski w odwiedziny się udać, zwiedzić świat. Gdzieś na kontrakt jeszcze pojechać”.

Radek: „Z Polski mam miłe wspomnienia. Chciałabym odwiedzić Polskę, spotkać się z moim towarzystwem, którego mi tutaj brak”.

Halina: „Ja miałam dość życia w Polsce: sześć lat mieszkania kątem u teściowej, potem dwa lata w pokoiku hotelu robotniczego, w końcu swoje M4, którym cieszyliśmy się niespełna dwa lata. Wstąpiliśmy do 'Solidarności'. Od lipca 1981 zaczęli nam składać wizyty domowe panowie ze Służby Bezpieczeństwa. Przerażało mnie to. Chciałam wyjechać na stałe lub na wiele lat. Mąż raczej na krótko, nie na zawsze. Pojechał do Wiednia wpierw sam, ale wrócił po dwunastu godzinach. Przestraszył się. Tysiące ludzi w kolejkach. Nabraliśmy jednak odwagi i pojechaliśmy do Wiednia wszyscy czworo. W kieszeni mieliśmy 250 dolarów. Syn dziś liczy siedemnaście lat, a córka kończy dwanaście. Mała tęskni za babcią. Ja jednak wolę, by siostra i rodzice tutaj przyjechali, niż miałabym jechać tam. Bez Polski mogę się obejść. Wyjadę stąd tylko wówczas, gdy będę do tego zmuszona”.

Grażyna: „Ja chcę wrócić do Polski, do mego środowiska. Południowa Afryka niech pozostanie mym dobrym wspomnieniem. Odłożyliśmy z mężem pieniądze na kupno domu. Gdzieś blisko moich rodziców. Myślmy o powrocie spokojnie i poważnie”.

„Tym, którzy opuścili Polskę, a nie poprosili o azyl, Polservice zaproponował zgłaszanie kontraktów w zamian za powrót do kraju w tzw. bezkonfliktowy sposób, a nawet z możliwością ponownego wyjazdu” — powiedziałam.

Zbyszek: „Taka propozycja świadczy o niewiedzy lub cynizmie dyrekcji Polservice-u, ponieważ: 1. mieszkańcy, a więc my, mogą wyjechać z RPA za granicę 400 randów na rok; 2. Polservice nie opłaca kosztów podróży, nie daje ubezpieczeń przelotów do Polski; 3. płacimy podatki od swych poborów, a oprócz tego mieszkanie, fundusz emerytalny, liczne ubezpieczenia, np. od wypadku, pożaru, kradzieży, lekarskie, na życie, co wynosi w sumie ok. 40-60 % pensji, a w dużych miastach nawet 50-60 %. Przebiegająca pensja wynosi ok. 2.200 randów. Milionerami nie jesteśmy, jak widać. Gdybyśmy myśleli o powrocie do Polski *via* Polservice, to albo nie moglibyśmy żyć normalnie, oszczędzając mocno, albo żylibyśmy normalnie, przekazując do kraju drobne oszczędności przez wiele lat i wiedząc, że za każdym razem Polservice zabiera aż 33 %.

„A ty — spytano mnie — możesz żyć bez Polski?”
 „Bez niej czułabym się bezdomną sierotą”.

Po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce Polonia południowoafrykańska otrzymała największy procentowy przyrost emigracji: z 5.000 osób wzrosła nagle do 8.500.

Najstarszą grupą emigracyjną jest tzw. grupa cypryjska, przybyła do RPA w 1939 roku, po ucieczce z Polski przez Rumunię. W 1943 przybyła statkiem grupa kilkudziesięciu nauczycieli i wychowawców oraz 500 dzieci ocalałych ze Związku Radzieckiego. Reszta Polonii jest powojenna. Stanowią ją w większości ludzie wyrosli w Polsce Ludowej czy po prostu już w niej urodzeni. Na ogół wszyscy są po wyższych studiach, w najgorszym wypadku po szkole średniej. Uważa się, że Polonia południowoafrykańska reprezentuje najwyższy poziom finansowy i kulturalny ze wszystkich Polonii świata. Ci młodzi różnią się od Polonusów znanych mi z Europy Zachodniej. W zasadzie nie mają politycznych zainteresowań, czują niechęć do zrzeszania się, do organizacji, do tytułowania się, nie rozczulają się nad swoją emigracją. Chcą być silni indywidualną wartością, budowaną na rzetelności w pracy, pogłębianiu swej wiedzy, doskonaleniu umiejętności. I za to być cenionymi. Są zaradni, szybcy, dobrze zaadaptowani w obcym społeczeństwie. Wielu zajmuje kierownicze stanowiska, prowadzili własne dobrze prosperujące firmy. Bez Polski mogą się obyć. Sprawy polskie interesują ich o tyle, o ile dotyczą rodziny czy możliwości handlowych i czasami sportu. Wyjątki są nieliczne. Myśli ich zajęte są przede wszystkim dorabianiem się i troską o siebie. Być może jest to ciągle zachłystywanie się dostępem do możliwości, szans, do dobrobytu, który jest realny. Być może przyjdzie chwila, gdy nie będą się śmiać z patriotyzmu „starej” Polonii, gdy odrodzi się w nich uczucie troski o „ziemię skąd ich ród”, gdy polskość stanie się dla nich ważna. Być może... Na razie zdają się być jakby „uschniętą odnogą narodu”.

W Europie Zachodniej Polonia z tego samego pokolenia jest najczęściej sfrustrowana w świecie, którego reguł nie jest w stanie przyjąć. Dla nich polskość jest tą wartością, za którą chcą być cenieni. Polskość niezrozumiała dla wielu ludzi o odmiennej tradycji.

Mimo psioczenia, irytacji, różnych awersji i podejrzliwości wyniesionych z kraju, istnieje jednak Klub Polski a w nim potańcówki, spotkania, wieczornice, koncerty, akademie, sobotnia szkoła polska z językiem polskim, geografiami i historią Polski, Stowarzyszenie Techników Polskich i jego listopadowe bale, harcerstwo i wyjazdy na obozy, biwaki, kolonie; kluby sportowe, np. tenisowy, siatkówki, rozgrywające mecz na terenie całej republiki; zespół tańca, ba, nawet tradycyjne polskie puszczanie wianków w noc świętojańską. Uroczystością, która jednoczy wszystkie grupy emigracyjne są obchody lotów na Warszawę. W 1944 roku

na pomoc walczącej Warszawie lecieli też lotnicy południowo-afrykańscy. Stu z nich oddało życie za nieznaną im Polskę. B. H. Austin, oficer Lotnictwa Południowej Afryki, tak napisał później w swej książce „Warsaw Concerto”: „Lecieli natchnieni przez ogólnoludzkie motywy humanitarne, by spełnić jedną z najbardziej ryzykownych misji bojowych drugiej wojny światowej”.

W dowód wielkiej wdzięczności Polonia RPA organizuje rokrocznie obchody z udziałem burmistrza miasta Johannesburga, ministra obrony, szefa lotnictwa, szefa armii, *attachés* wojskowych Wielkiej Brytanii, Francji i USA oraz szeregu innych wybitnych osobistości.

Jest jeszcze jedna rzecz, która jednoczy dwie Polonie — średnią i najnowszą: sen emigranta. Sen emigranta nie jest snem szczęśliwym. Ma też to do siebie, że się powtarza. Przez rok, przez kilka lat. Niezmiennie ten sam. Początkowo niemal każdej nocy, potem coraz rzadziej. Polega na tym, że śniący jedzie do kraju, w odwiedzin. Po kilku dniach ginie mu auto, pieniądze, wstrzymują loty, pociąg pędzi w przeciwną stronę, jest aresztowany, śledzony, zabierają mu paszport, zatrzymują na lotnisku, zamykają granice itp. — w każdym razie nie może się już z Polski wydostać!

Budzi się przerażony.

Małgorzata DZIEWIĘCKA

Maun, 1987

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

W sowieckiej prasie

Za kilka dni świat wzbogaci się o nową Biblię. Redakcje wielkich gazet i czasopism otrzymały już egzemplarze okazowe i publikują recenzje, zanim książka znalazła się w sprzedaży. Zbyteczne dodawać, że Księga nosi tytuł „*Pieriestrojka i nowe myślenie dla naszej ojczyzny i świata*”, zaś autor nazywa się Michał Siergiejewicz Gorbaczow. Każde zdanie „*Pieriestrojki*” pobudza do rozmyślań. Przede wszystkim tytuł. Autor z góry, już na obwołucie wyjaśnia, że zwraca się *urbi et orbi*. Nie ma dziś na świecie drugiego polityka, który uważałby się za powołanego do dialogu z całą ludzkością. Nawet encykliki papieskie adresowane są przede wszystkim do katolików. Gorbaczow już od pierwszych stron odkrywa karty: „Napisałem tę książkę z myślą o narodach ZSSR, USA, każdego państwa... Celem tej książki jest bezpośrednie podzielenie się myślami z obywatelami całego świata w kwestiach, dotyczących wszystkich bez wyjątku”. Zwróćmy uwagę, że M. S. Gorbaczow pragnie rozmawiać ze wszystkimi, bez pośredników oraz o wszystkim, co wszystkich interesuje. Przeczytałem pierwsze zdania „*Pieriestrojki*” i przypomniła mi się inna książka, „*Stalin*” Henri Barbusse’a, w której widniały takie słowa: „Wy go nie znacie, ale on was zna i troszczy się o was. Kimkolwiek jesteście, potrzebujecie tego dobroczyńcy”. Miło wiedzieć, że ludzkość znowu ma dobroczyńcę.

„*Pieriestrojka*” jest zlepkiem fragmentów licznych przemówień Gorbaczowa, jego rozmów z obywatelami ZSSR podczas podróży po kraju albo z cudzoziemcami, którzy zawitali na Kreml. Przed nami leży krótki kurs sowieckiej historii i politologii. Autor tłumaczy, że wszystko, co zostało zrobione przez ostatnich siedemdziesiąt lat, było potrzebne i przydatne, choć zdarzały się i błędy — na przykład podczas kolektywizacji. Zdarzały się nawet, oznajmia autor, „dziesiątki tysięcy ofiar”. Tym niemniej potrzebne były i intensywne uprzedysławienie, i pakt Ribbentrop-Mołotow (pod tą nazwą występuje u Gorbaczowa pakt

Sąsiedzi

Stalin-Hitler). Gorbaczow ocenia wkład Stalina jako „globalnie pozytywny”, Chruszczowowi zarzuca woluntaryzm, Breżniewowi „zastój” (po niezłych początkach). W przemówieniu z 2 listopada Gorbaczow znacznie surowiej osądził sowiecką historię. „Pieriestrojka” przeznaczona jest głównie na eksport, dlatego też utrzymana jest w dobronadziejnym, ojcowskim tonie. Przemówienie skierowane jest do obywateli sowieckich, którzy ostatnio bardzo dużo rozprawiają o przeszłości. Dla nich sternik przyszłości i przeszłości ma kilka wskazówek. Pochwały pod adresem Stalina są tu silniej wypunktowane, podobnie jak odwieczne obelgi pod adresem Trockiego i trockistów. Runęły nadzieje zachodnich zwolenników Gorbaczowa, oczekujących rehabilitacji Bucharina. Gorbaczow wystawia mu dobrą ocenę za działalność we wczesnych latach dwudziestych, kiedy popierał Stalina, ale bardzo złą za krytykę kolektywizacji w drugiej połowie lat dwudziestych.

W przemówieniu Gorbaczow stosuje wypróbowaną metodę przygotowywania gruntu pod przyszłą rozprawę z „wrogami ludu”. Cytuje krytyczne słowa Lenina (w „Oświadczeniu”) pod adresem Trockiego i Bucharina. Przy tym kłamie, przypisując Leninowi słowa o Trockim („lizusowski i wykrętny polityk”), których w „Oświadczeniu” nie ma. Nie cytuje natomiast słów, które Lenin napisał o Stalinie.

Myśli w „Pieriestrojce” niewiele: koniec końców generalny sekretarz wielu nie potrzebuje. Wszystkie zawierają się w trzech słowach: *pieriestrojka*, demokratyzacja, odgórna rewolucja. Definicje słowa *pieriestrojka* ciągną się całymi stronami. Idąc wypróbowanym śladem Stalina, który dziesiątki razy powtarzał te same zdania, Gorbaczow też bezustannie powtarza: *pieriestrojka* — to..., *pieriestrojka* — to.... Ten bezcenny wzorec pozwala obejść się bez argumentów — zastępuje je siła powtórzeń.

Sens słowa „demokratyzacja” znacznie łatwiej wyjaśnić. Wystarczy do rzeczownika dodać przymiotnik „socjalistyczna”. Natomiast sporo miejsca poświęca Gorbaczow wyjaśnieniu pojęcia „odgórnej rewolucji”. Jest nią mianowicie to, czym on sam kieruje w ZSSR, tzn. *pieriestrojka* obmyślona i zainicjowana odgórnie, ale masowo poparta przez „doły”. Gorbaczow nazywa ją „najbardziej pokojową i najdemokratyczniejszą rewolucją w dziejach”.

Celem gorbaczowskiej rewolucji jest — „więcej socjalizmu”. Gorbaczow z naciskiem podkreśla, że właśnie niedostatek socjalizmu spowodował trudności, z którymi boryka się ZSSR. Wystarczy dodać trochę socjalizmu, a wszystko będzie lepiej.

Opisując sytuację w Związku Sowieckim, Gorbaczow wciąż sobie przeczy. Raz zapewnia czytelników, że nie można twierdzić, jakoby *pieriestrojka* była konieczna z uwagi na kryzys w Związku Sowieckim, innym razem twierdzi, że sytuacja jest bardzo trudna, nie do wytrzymania. Nie chcąc mówić o rzeczywistych przyczynach trudności, generalny sekretarz wprowadza do analizy „tajemnicze siły”. W połowie lat siedemdziesiątych, powiada, pozytywny rozwój socjalizmu zakłóciło jakieś „niezrozumiałe zja-

wisko”. Generalny sekretarz przypomina, że Lenin uprzedzał, iż może się pojawić „tajemnicza siła” i „niezrozumiałe zjawisko”. Gorbaczow nie cytuje konkretnych słów (nie robi tego w całej książce) ani nie daje odsyłaczy, co pozwala mu dowolnie przedstawiać cudze myśli. Jeśli jednak zajrzemy do tekstu Lenina, okaże się, że Lenin nie uprzedza, lecz wyraża zdziwienie. Na XI Zjeździe partii (1922), dokładnie rok po uchwaleniu NEP-u, Lenin powiedział: „Samochód odmawia posłuszeństwa ręce, która nim kieruje. Tak jakby jechał nie w tym kierunku, w którym chce go skierować człowiek, lecz w kierunku wskazanym przez kogoś innego, jakby nim kierowała jakaś tajemnicza, nieuprawniona ręka. Bóg wie jaka...”. Lenin jest wyraźnie przestraszony i każe przede wszystkim umocnić rękę, uprawnioną do kierowania samochodem, czyli swoją własną. W tym celu tworzy po XI Zjeździe, w kwietniu 1922 roku, nowe stanowisko w KC, mianowicie stanowisko generalnego sekretarza. Obejmuje je Stalin, o którego talentach szoferskich Lenin był przekonany.

Lenin wyciągnął też inny wniosek. Uznał, że należy koniecznie przedłużyć *pieriedyszkę*, z której partia korzystała od chwili wprowadzenia NEP-u oraz uzyskać taką samą *pieriedyszkę* w polityce zagranicznej. Począwszy od 1921 roku republika sowiecka dostawała pomoc od „kapitalistycznego świata”, ratunek dla milionów głodujących. Lenin wyciągnął z tego wniosek, że kapitaliści pomagają też w innych dziedzinach.

„*Pieriestrojka*” zawiera dwa postanienia. Pierwsze jest jawne, ubrane w wielką ilość słów, pełne umiłowania pokoju. Drugie jest zaszyfrowane, krótkie i — to samo co zawsze. Rozszyfrować je można na podstawie politycznych aktów kierownictwa sowieckiego, na których Gorbaczow każe się wzorować. W siedemdziesięcioletniej historii Związku Sowieckiego Gorbaczow uważa za szczególnie udane trzy posunięcia. Pierwsze dwa są dziełem Lenina, trzecie — Stalina. Są to: pokój brzeski (marzec 1918), NEP (marzec 1921) i pakt Hitler-Stalin (sierpień 1939). Każda z tych decyzji, trudnych, gdyż łamiących przyjęte dogmaty i budzących sprzeciw najbliższych współpracowników wodza, była słuszną, bo pozwalała państwu sowieckiemu odsapnąć. Decyzje te, podjęte w chwili kryzysu, zagrażającego władzy partii i wodza, były chwilowym odstępstwem, pozwalającym odetchnąć, nabrać sił i przygotować się do kolejnej ofensywy.

Zarówno w książce jak w przemówieniu Gorbaczow przyznaje, że niektóre obecne posunięcia mogą się wydawać nie dość „socjalistyczne”, przypomina jednak, że przy pomocy „dialektyki” można wszystko wyjaśnić. Dorzuca też, że Lenin był wielkim „dialektykiem”.

To prawda. W 1921 roku Lenin zwięźle wyłożył swoje poglądy o przyszłości sowieckiej polityki zagranicznej w notatce, zaadresowanej do ludowego komisarza spraw zagranicznych, Cziczierina. „W wyniku moich bezpośrednich obserwacji w latach emigracji — pisał Lenin — muszę przyznać, że tak zwane warstwy oświecone Zachodniej Europy i Ameryki nie są w stanie zrozumieć obecnego stanu rzeczy ani realnego stosunku sił; warstwy te należą

uznać za głuchonieme i postępowanie wobec nich uzależnić od tego założenia". Lenin kontynuuje: „W pogoni za zdobyciem sowieckiego rynku kapitaliści całego świata i ich rządy zamkną oczy na rzeczywistość i zmieniają się w głuchoniemych ślepców. Otworzą kredyty, które pozwolą nam wesprzeć komunistyczne partie w ich krajach i, zaopatrując nas w brakujące nam materiały i technikę, odbudują nasz przemysł wojenny, niezbędny nam dla naszych przyszłych zwycięskich ataków na naszych dostawców. Innymi słowy, zajmą się przygotowaniem własnego samobójstwa". Myśl przewodnią swej koncepcji wódz rewolucji wyklada następująco: „Rewolucja nigdy nie rozwija się po linii prostej, jak nieustające powstanie, lecz stanowi łańcuch wybuchów i ustępstw, ataków i zawiesznień broni, podczas których siły rewolucyjne krzepną i przygotowują kolejny atak". Gorbaczow wielokrotnie wraca do tej myśli, nie cytując oczywiście notatki Lenina. Przyznaje natomiast, że „otwartą i uczciwą politykę zagraniczną odziedziczyliśmy po Leninie”.

Politykę zagranicznej ZSSR poświęcone jest pół książki. Specjalny rozdział traktuje o byłych, obecnych i przyszłych stosunkach między ZSSR i krajami obozu socjalistycznego. Gorbaczow uważa, że na pierwszym etapie budownictwa socjalistycznego kraje te musiały wzorować się na modelu sowieckim. „Poważne kryzysy” — Węgry 1956, Czechosłowacja 1968, Polska 1956 i 1980 — były jego zdaniem spowodowane nie socjalizmem, a błędami kierownictwa. Z naciskiem podkreśla całkowitą niezależność wszystkich państw socjalistycznych, ale uprzedza, że podstawa stosunków między nimi jest współpraca między partiami.

Słowa Gorbaczowa o pełnym równouprawnieniu krajów socjalistycznych i ich „całkowitej niezależności” nabierają sensu dopiero w świetle przemówienia z 2 listopada. Przemówienie to zawiera paragraf, nasuwający dziwne skojarzenia. Gorbaczow stwierdza, że „kwestia narodowa została u nas rozwiązana”, po czym dodaje: „Oddając dziś sprawiedliwość wybitnym osiągnięciom leninowskiej polityki narodowościowej, narody naszego kraju wyrażają należny szacunek i wdzięczność wielkiemu narodowi rosyjskiemu za jego bezinteresowny, prawdziwy internacjonalizm, za jego nieoceniony wkład w stworzenie, rozwój i umocnienie socjalistycznego związku wolnych i równoprawnych republik...”.

Natychmiastowe i zadziwiające skojarzenie wynika z faktu, że Gorbaczow powtórzył niemal dosłownie słynny toast Stalina. Na przyjęciu na cześć głównodowodzących armii czerwonej, zorganizowanym na Kremlu 24 maja 1945 roku, generalissimus wznosił wiele toastów, w tym ostatni „za zdrowie narodu rosyjskiego”: „Wznoszę kielich przede wszystkim za zdrowie narodu rosyjskiego, bo jest on najwybitniejszym narodem ze wszystkich narodów, wchodzących w skład Związku Sowieckiego... Zdobył sobie w tej wojnie powszechny szacunek jako przewodnia siła Związku Sowieckiego, wśród wszystkich narodów naszego kraju. Wznoszę toast za zdrowie narodu rosyjskiego nie tylko dlatego, że jest

narodem przewodnim, ale i dlatego, że ma on jasny umysł, twardy charakter i cierpliwość”. Stalin dziękował narodowi rosyjskiemu za zaufanie i za to, że nie przegnał rządu sowieckiego po porażkach pierwszych lat wojny.

Toast Stalina tłumaczy być może niespodziewaną wdzięczność Gorbaczowa. Mianowanie narodu rosyjskiego „przewodnim” i „najwybitniejszym” było sygnałem do walki z „kosmopolityzmem” i „cudoziemszczyzną”. Od niego rozpoczął się najmroczniejszy okres, schyłek epoki stalinowskiej. Wyodrębnienie spośród najcenniejszych cech „przewodniego narodu” cierpliwości zapowiadało kolejny okres trudności materialnych. Należy sądzić, że Gorbaczow także liczy na cierpliwość i z góry za nią dziękuje. Zarazem wyniesienie jednego z narodów na stolec „pierwszego wśród równych” nieuchronnie stawia pozostałe o jeden, dwa lub trzy stopnie niżej. Nieprzyjazne jednostki gotowe wyciągnąć z tego wniosek, że ten typ stosunków — wszyscy są równi, ale niektórzy są równiejsi — trwa nadal nawet w obozie socjalizmu.

Jeszcze nie zdążyli rozjechać się przybyli na rocznicę rewolucji październikowej goście, jeszcze nie zdążyły pojawić się w księgarniach pierwsze egzemplarze „Pieriestrojki”, a już w Moskwie wybuchnął skandal: usunięto ze stanowiska pierwszego sekretarza moskiewskiego *gorkomu*, zastępcę członka Biura Politycznego Borysa Jelcyna. Wszystko zaczęło się 21 października, kiedy Jelcyn wystąpił na plenum KC z krytyką tempa *pieriestrojki* i tych, którzy się jej sprzeciwiają. Wiadomość o przemówieniu sekretarza *gorkomu* dziwnym trafem rozeszła się błyskawicznie po Moskwie i trafiła (nieprzypadkowo?) do zagranicznych korespondentów. Następnie sekretarze KC Jakowlew i Łukianow udzielili wyjaśnień. Sprawie nadano szeroki rozgłos. Na okres obchodów zarządono przerwę, a zaraz po nich — 11 listopada — na plenum moskiewskiej organizacji partyjnej Jelcyn został usunięty ze stanowiska pierwszego sekretarza, a na jego miejsce wybrano sekretarza KC i członka Biura Politycznego Lwa Zajkowa. 13 listopada w *Prawdzie* ukazało się dwustronicowe sprawozdanie z obrad plenum oraz tekst przemówienia Gorbaczowa, krytykującego Jelcyna. Wydrukowano też samokrytykę Jelcyna, który przyznał się do strasznego grzechu — przerostu ambicji.

Najciekawszy w całej „Jelcyniadzie” jest szum, jaki moskiewscy specjaliści zrobili wokół tej sprawy. Sama nielaska Jelcyna zaczęła się już dawno. We wrześniowym przeglądzie prasy sowieckiej odnotowałem notatkę z *Prawdy* z 11 sierpnia, która zwróciła moją uwagę. Notatka zatytułowana była „Żywiej, żywiej” i relacjonowała plenum moskiewskiego *gorkomu*. Zwrócił moją uwagę fakt, który uznałem za unikat w historii ZSSR: uczestnicy plenum przerwali przemówienie Jelcyna, po czym poddali swojego pierwszego sekretarza ostrej krytyce. Zarzucali mu „samowolę”, „wojskowy styl pracy”, „metal w głosie” itd., itp. Napisałem wówczas: „Nie wiadomo jeszcze, jakie skutki będzie miało plenum dla pozycji Jelcyna”.

Jelcyn został „przerzucony” do Moskwy na stanowisko sekretarza *gorkomu* w grudniu 1985 roku. Moskiewskim komunistom

przedstawił go sam Gorbaczow. Jelcyn okazał się zwolennikiem szybkiej i radykalnej *periestrojki*, i występował jako „lokomotywa” Gorbaczowa. Należy sądzić, że do „przyspieszenia” skłaniały moskiewskiego sekretarza rozmaite względy, w tym oczywiście także ambicje. Związaawszy się z *periestrojka*, z jej postęпами wiązał i swoje postępy po drabinie kariery. W Moskwie nie lubią jednak zbyt ambitnych i zbyt niecierpliwych. Los Jelcyna nie jest sam w sobie specjalnie ciekawy. Interesujące są powody szumu, jaki wokół niego zrobiono.

Le Monde zatytułował artykuł o wydarzeniach w Moskwie „Gorbaczow wyszedł ze sprawy Jelcyna osłabiony”. Myśl przewodnia artykułu jest następująca: atak konserwatystów na Gorbaczowa zakończył się ich zwycięstwem, Gorbaczow musiał wykonać taktyczny odwrót i złożyć w ofierze swojego zwolennika. Wniosek: należy wesprzeć Gorbaczowa, a przynajmniej mu współczuć. Nasuwa się pytanie, czy nie to właśnie było celem szumu propagandowego. Czy nie chodziło o pozyskanie jeszcze większej sympatii dla osaczonego genseka?

Co zaś tyczy „osłabienia” Gorbaczowa, to przypomina mi się epizod, opisany przez Waltera Krywickiego w „Byłem agentem Stalina”. Kiedy doszła do Moskwy wiadomość o nocy długich noży i rozprawie Hitlera ze swoimi najbliższymi towarzyszami, Stalin zwołał zebranie Biura Politycznego. Jak myślicie — spytał Stalin zebranych — czy wymordowanie najbliższych ludzi wzmacnia, czy osłabia pozycję Führera? Wszyscy jak jeden mąż odpowiedzieli: osłabia. Stalin zaoponował: wzmacnia. Można nie bez podstaw sądzić, że wtedy właśnie Stalin zaplanował morderstwo Kirowa.

Nie podejrzewam obecnego generalnego sekretarza o krwawe zamiary, ale myślę, że wyrzucenie Jelcyna wzmacnia pozycję Gorbaczowa. Po pierwsze pokazał, że nikt nie może mu dyktować tempa marszu. Po drugie pokazał, że jest zdecydowany i bezlitosny.

Londyński *Times* twierdzi, że usunięcie Jelcyna „potwierdza najbardziej pesymistyczne prognozy co do Gorbaczowa jako przywódcy... Wbrew nadziejom wielu ludzi, okazał się nie rewolucjonistą, a menadżerem przemian”. Dlaczego konserwatywny *Times* jest tak rozczarowany, że nie znalazł w Moskwie rewolucjonisty, jest ciekawym tematem do rozmyślań.

W wielu zachodnich gazetach można przeczytać, że publikacja w *Prawdzie* materiałów ze „sprawy Jelcyna” jest przekonującym dowodem, że *glasnost* zwyciężyła. Można by na to odpowiedzieć, że w okresach walki o władzę sowieckie gazety zawsze opisywały upadki przeciwników „generalnej linii”. Wystarczy przypomnieć, co się działo w roku 1957, kiedy Chruszczow pokonał „antypartyjną grupę”. Wypada jednak przyznać, że *glasnost* działa. Najlepszym jej dowodem jest fakt, że do dnia kiedy zamykam niniejszy przegląd gazety sowieckie nie ogłosiły jeszcze, że tegoroczną literacką nagrodę Nobla dostał Josif Brodski. Przyznaję jednak, że od chwili ogłoszenia werdyktu komitetu noblowskiego upłynęły zaledwie trzy tygodnie.

Współczesna literatura rosyjska ma trzech laureatów nagrody Nobla. Powieść pierwszego władze obiecują wydać (zrehabilitować) w przyszłym roku. Dzieła drugiego są najsurowiej zakazane. Nazwisko trzeciego nie zostało jeszcze podane do wiadomości jego rodaków.

Adam KRUCZEK

15 listopada 1987

Kronika niemiecka

Do 15 października br. do RFN przybyło 35 tys. Niemców z Polski. W większości wypadków osoby samotne korzystające z wiz turystycznych. W tym samym okresie czasu ze Związku Sowieckiego wyemigrowało oficjalnie do Niemiec 10 tys. osób (w 1986 roku zaledwie 483). Wschodnie Niemcy wypuściły do RFN 18 tys. swoich obywateli (w 1986 roku — 26 tys.). ■ Hamburski tygodnik *Der Spiegel* zamieścił obszerny esej Adama Michnika pt. *Polacy i Gorbaczow*. Na pytanie, czy obecny przywódca sowiecki jest reformatorem z prawdziwego zdarzenia, Michnik odpowiada raczej negatywnie, twierdzi jednak, że zmiany, które Gorbaczow wprowadza w Sowietach idą dalej niż życzyłyby sobie siły konserwatywne i że otwierają drogę dla przemian w całym bloku. Jeśli chodzi o polskie możliwości, to Adam Michnik dochodzi do wniosku, że gen. Jaruzelski nie chce skorzystać z okazji i że zastępując reformy deklaracjami, gra po prostu na zwłokę w nadziei, że uda mu się przetrzymać zarówno polską opozycję, jak i samego Gorbaczowa. ■ Niedawno nastąpiło oficjalne otwarcie *Klubu Inteligencji Katolickiej* w Berlinie Zachodnim. Siedziba KIK-u znajduje się w kościele *Misji Polskiej*, prowadzonej przez ojców salezjanów (Götterstrasse 65, 1/42). *Klub* liczy obecnie 40 członków założycieli. Skład zarządu: Lucyna Jachymiak — sekretarz, Stefan Kozłowski — wiceprezes, Andrzej Niewiadomski — skarbnik, Witold Szalonek — II wiceprezes, Maria Szewcow-Szewczyk — członek zarządu, Andrzej Szulczyński — prezes. Proboszcz *Misji Polskiej*, ojciec Henryk Paszek, SDB, udziela wielkiej pomocy *Klubowi*. Zachodniobierliński KIK zdążył już zorganizować spotkanie z wrocławskimi poetą i pisarzem Lotharem Herbstem, poświęcone pamięci Poznania 1956; wieczór z redaktorem Grzegorzem Polakiem (warszawska *Więź*) na temat głośnej książki *Dziesięciu sprawiedliwych* (nakł. *Więzi*, Warszawa 1985) oraz wernisaż grafik wybitnej malarki i plastyczki Heleny Bohle-Szakkiej (Berlin Zachodni). ■ Po rezygnacji z funkcji dyrektora *Polskiego Teatru Tańca*, Conrad Drzewiecki przyjął zaproszenie wschodniobierlińskiej *Staatsoper*, gdzie przygotowuje obecnie premierę autorskiego wieczoru baletowego. Przenosi tam dwie wcześniejsze swoje prace choreograficzne, *Ognisty ptak* Igora Strawińskiego i *Les Biches* Francisca Poulença oraz realizuje specjalnie dla tamtejszego zespołu *Noc rozjaśnioną* (*Verklärte Nacht*) Arnolda Schönberga. Scenografem całego wieczoru jest Krzysztof Pankiewicz. ■ Ks. Grzegorz Okroy, prowincjał *Societas Christi w Essen*, urządził tamże dwa ciekawe wieczory z dr. Andrzejem Sulikowskim (*Uniwersytet Jagielloński*). Tematem pierwszego była *Więzienna odyseja Aleksandra Wata*. *Dzieje naurócenia*, drugiego — *Powołanie pisarskie w rozumieniu Jana Józefa Szczepań-*

skiego (prelekcja o całym dorobku pisarza). Andrzej Sulikowski jest sty-pendystą *Fundacji im. Alexandra von Humboldta*; spędza pracowicie i z po-żytkiem drugi rok pobytu w RFN. ■ Informacje z konsulatu PRL w Ko-lonii: coraz więcej osób zabiega o paszport konsularny. Zniesiono dotych-czasowy wymóg uzyskiwania przed wyjazdem do Polski klauzuli wielokrot-nego przekraczania granic. Handel w obie strony kwitnie pomimo zastrzo-nych przez NRD przepisów tranzytowych. Władze RFN coraz bardziej ogra-niczają ważność wizy turystycznej Polakom (klauzula zabraniająca podjęcia jakiegokolwiek pracy); są bardzo nisko szanse uzyskania azylu z powodu su-rowszych kryteriów obowiązujących od 1986 roku. Rząd RFN odrzucił ostatnio kategorycznie roszczenia władz PRL wypłacenia odszkodowań ofiarom hitlerowskiego terroru oraz osobom zesłanym w czasie wojny na przymu-sowe roboty. Odmowa zawarta jest w krótkiej nocie *Auswärtiges Amt* prze-kazanej ambasadzie PRL w Kolonii. Kwestia odszkodowań uregulowana została w porozumieniu londyńskim z 1953 roku; władze PRL oświadczyły w tymże roku, że rezygnują z roszczeń reparacyjnych. Monachijska *Süd-deutsche Zeitung* podkreśla, że rząd boński zawarł w 1975 roku z władzami PRL porozumienie o wypłacie odszkodowań emerytalnych. Warszawie wy-płacono 1,3 mld marek i udzielono niskoprocentowanej pożyczki w wyso-kości 1 mld marek. Eskalacja roszczeń odszkodowawczych doprowadziła do odwołania przez ministra spraw zagranicznych Genschera zapowiedzianej na ten rok wizyty w Polsce. ■ Pierwszy program zachodniemieckiej TV (*ARD*) wyświetlił 45-minutowy film w reżyserii Helgi Reidemeister zatytu-łowany *Ewa Maria, 38, z Polski*. Film poświęcony jest mieszkającej w Ber-linie Zachodnim polskiej pisarce i dziennikarce — Ewie Marii Śląskiej, autorce książki *Dochodzenie* (*Instytut Literacki*, Paryż 1985). ■ W ra-mach obchodów 750-lecia Berlina odbyła się w zachodniej części miasta mię-dzynarodowa konferencja na temat politycznej, gospodarczej i kulturalnej przyszłości Europy w perspektywie XXI wieku. W konferencji wzięło udział 280 polityków i naukowców z 15 krajów. Obrady otworzył nadburmistrz Berlina Zachodniego Eberhard Diepgen; uczestniczyli w nich m.in. prezy-dent RFN Richard von Weizsäcker, b. kanclerz RFN Helmut Schmidt, b. amerykański sekretarz stanu Henry Kissinger. Wykład wygłosił również Władysław Bartoszewski, który przypomniał, że również mieszkańcy Buda-pesztu, Pragi, Warszawy, Drezna i Lipska czują się spadkobiercami ogólno-europejskiej tradycji: „Tymczasem przez sam środek Europy przebiega przy-padkowa i sztuczna linia podziału dzielęca europejskie narody żyjące w różnych systemach”. ■ W RFN powstało konsorcjum d/s rozwoju rolnic-twa w Polsce. Chodzi o wzrost produkcji rolnej, poprawę przetwórstwa owocowo-warzywnego, obniżkę kosztów, zmniejszenie energochłonności i znacz-ne zwiększenie polskiego eksportu. Do konsorcjum przystąpiły cztery firmy z RFN. ■ 60-lecie urodzin prof. Leszka Kołakowskiego: uroczyste przy-jęcie Jubilatą w Berlinie Zachodnim i m.in. całonocne wywiady w bońskiej *Die Welt* i *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. ■ Mieczysław Ra-kowski, wicemarszałek Sejmu PRL, wygłosił w Bonn odczyt — *Aktualne problemy polityczne Polski*. Był zaproszony przez *SPD-owską Fundację im. Friedricha Eberta*. ■ Artystycznym wydarzeniem jesieni 1987 była w *Teatrze Wielkim im. S. Moniuszki* w Poznaniu prapremiera polska *Czarnej maski* Gerharta Hauptmanna. Czarna maska wystawiona została, zgodnie z życzeniem reżysera (Krzysztof Penderecki) w wersji oryginalnej, tzn. w języku niemieckim. ■ Henryk Borkowski kieruje w Kassel (Hesja) *Klubem Polskim*, który współpracuje ściśle z ambasadą PRL w Kolonii. *Klub* liczy 100 członków; skupia Polaków i Niemców (10 % członków mieszka na stałe w Polsce!). ■ Ks. Klaudiusz Perendyk, proboszcz *Pol-skiej Parafii Prawosławnej (Obrządku Zachodniego)* w Hamburgu odzna-czył Alfreda Diestela, przewodniczącego kościoła *St. Michaelis-Kirche*, tamże, orderem *Marii Magdaleny* w imieniu metropolity Bazylego (urzęduje w War-

szawie). ■ Młody kolonijny historyk Hans Henning Hahn wydał w Polsce książkę pt. *Dyplomacja bez listów wierzycielnych. Polityka zagraniczna Adama Jerzego Czartoryskiego 1830-1840*. Interesującą rozprawę przełożyła z niemieckiego Maryla Borkowicz (*PWN*, Warszawa 1987). ■ W polskim duszpasterstwie katolickim w Niemczech (*Catholica Missio Polona in Ger-mania*) pracuje obecnie 50 księży. 12 duchownych znajduje się na emery-turze. Liczba polskich księży (z obywatelstwem polskim lub nabytym nie-mieckim) pracujących wśród katolików niemieckich nie jest znana. Mówi się o ok. 500 duchownych. ■ Od 1956 roku przybyło do RFN ok. 740 tys. Niemców z Polski; przedwojenna i powojenna Polonia ok. 150 tys.; naj-nowsi uchodzący po 1980 roku około 120 tys. W sumie 1 mln osób z Polski zamieszkuje w RFN i włada lepiej lub gorzej językiem polskim. ■ W tego-rocznym *Festiwalu Teatru Otwartego* we Wrocławiu uczestniczył najgłośniej-szy bodaj z teatrów zachodniemieckich — *Teatr Tańca* Piny Bausch z Wuppertalu. Zaprezentował wybitne przedstawienia Piny Bausch: *Café Müller* i *Święto wiosny* z muzyką Igora Strawińskiego. ■ *Niezależna Polska TV Berlin* (Lausitzer Platz 16, D-1000 Berlin 36) oferuje nadane audycje w formie video-kaset (ok. 15 DM za jedną kasetę z programem 50-60 min. w systemie VHS — PAL). ■ Reiner Lang, właściciel fabryki maszyna *Heinemann Maschinen* w St. Georgen (Badenia-Wirtembergia) pod-pisał umowę z *fabryką obrabiarek im. Ordżonikidze* w Moskwie. Umowa zawarta została w celu utworzenia mieszanego niemiecko-sowieckiego kon-cernu pod nazwą *Homatec*. Przedsiębiorstwo w 55 % sowieckie i 45 % zachodniemieckie ma od początku 1988 roku produkować obrabiarki na potrzeby rynku w Sowietach. Reiner Lang pracował nad utworzeniem wy-mienionej spółki przez 7 lat i zainwestował w to przedsięwzięcie ponad 7 mln marek. ■ W Krakowie na *Uniwersytecie Jagiellońskim* odbyła się pięciodniowa konferencja uczonych z Polski i Niemiec Zachodnich na temat: *Barok w polskiej kulturze, literaturze i języku*. List z pozdrowieniami przesłał uczestnikom minister spraw zagranicznych — Marian Orzechowski. Specjaliści od baroku z NRD nie przyjechali. ■ Na terenie b. ewangelic-kiego cmentarza w Kozuchowie w woj. zielonogórskim powstaje lapidarium rzeźby nagrobnej. W centrum miasta, tuż za resztkami średniowiecznych mur-ów obronnych, znajduje się masa nagrobków i płyt przedstawiających posta-cie rycerzy, sięgających nawet XVI wieku. ■ W kolonijnej *Molkerei-Werk-statt* urządzono starannie wystawę prac łódzkiego artysty Edwarda Łazikow-skiego, którego przychylni recenzenci z *Köln*er *Stadt-Anzeiger* określają jako oryginalnego konstruktivistę; rzeźby z drzewa, tkanin i kamieni „niosą w sobie poezję polskiego folkloru”. ■ Radykalne organizacje ziomkostw coraz bardziej oddalają się od patronującej im chadecji (*CDU*), czemu dają wyraz w granicznych z histerią atakach na wszystko co polskie [w czolówce *Deutscher Ostdienst*, organ *Związku Wypędzonych (BdV)*]. Utrata wpływów dotknęła ich boleśnie. Granice są złe, kanclerz Kohl „chce się dogadać z Po-lakami”, wyrzucili Hupkę z *Bundestagu*, rząd boński skąpi z pieniędzmi dla wysiedleńców i torpeduje ich manifestacje. *BdV* zaczyna już grozić założe-niem skrajnie prawicowej partii w „obronie interesów ogólnoniemieckich”. ■ Tematem referatu dr. Karla Dedeciusa, dyrektora *Deutsches Polen-Insti-tut* w Darmstadtzie była *Polska współczesność w polskiej literaturze*. Odczyt wygłoszony został w *Abendakademie* w Mannheim. W tejże akademii Euge-niusz Guz (korespondent *PAP* w Bonn) mówił o gospodarczym i politycznym położeniu Polski. ■ W *Urzędzie d/s Wyznań* minister Władysław Loranec podejmował bpa dr. Johannes Hanselmanna, prezydenta *Światowej Fede-racji Luteranckiej*, znanego działacza protestanckiego z Bawarii. ■ W Pol-sce zawiązało się *Stowarzyszenie Polaków Eksploatowanych przez III Rzeszę* (otrzymało zaraz osobowość prawną). Na czele Komitetu Założycielskiego stoją m.in. Michał Gawałkiewicz (przewodniczący) i Jacek Wilczur (sekre-tarz). Rzecznikiem przedsięwzięcia jest prof. Kazimierz Kąkol, dyrektor

Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Organizacja ma mieć charakter „masowy” i blisko współpracować z PRON-em. ■ Ostatnio wydano z Berlina Zachodniego 40-stu obywateli PRL. Policja stwierdziła, że pracowali na „czarno” (ok. 70 godzin tygodniowo). ■ W 1987 roku za pośrednictwem krajowej Agencji Autorskiej zawarto m.in. 58 umów na wydanie za granicą utworów autorów polskich: z NRD — 43, z RFN — 15. ■ Kolońska rozgłośnia *Westdeutscher Rundfunk* nadała audycję Jadwigi Żelezskiewicz z Wacława Stawnego pt. *Ewakuacja polskiej armii z Sowieców pod dowództwem gen. Andersa w sierpniu 1942 roku*. Audycja wywołała szerokie i żywe echo. Autorów zaskoczył fakt, że listy które przysły do radiostacji były wyłącznie pozytywne. Natomiast *Sender Freies Berlin (3)* nadał niezwykle ciekawą audycję tych samych autorów (godzinną) o polskich artystach, którzy żyli (od Mickiewicza) i żyją na emigracji. Dobra reżyseria (Wacław Stawny) i odpowiednia oprawa muzyczna. ■ Urzędy celne *Wspólnoty Europejskiej* wykryły prowadzony na wielką skalę przemyt stali z NRD. Oblicza się, że kraje zachodnie nielegalnie sprowadzały z tego kraju ok. 200 tys. ton stali rocznie. ■ Zachodniobrzeński *Pogląd* wydaje coraz więcej książek, głównie dwujęzycznych tomików poetyckich. Właśnie ukazał się tomik Lothara Herbsta *Listy z podróży/Briefe von einer Reise* w tłumaczeniu Marii Kureckiej. Teraz trwa praca nad tomikiem Leszka Szarugi. W planie są wiersze Stanisława Barańczaka, Jarosława Brody, Wiktora Woroszyńskiego i Ryszarda Krynickiego. Ponadto nakładem *Poglądu* ukazał się zbiór esejów politycznych i literackich Leszka Szarugi (Krzysztofa Zawrata) pt. *W Polsce czyli Nigdzie*. ■ Lothar Herbst wygłosił odczyt w bremeńskim Instytucie Badań nad Europą Wschodnią (Uniwersytet w Bremie) na temat drugiego obiegu kultury w Polsce. ■ 9-osobowa grupa zachodniemieckich bibliotekarzy pod kierownictwem Horsta von Chmielewskiego (*Instytut im. Herdera w Marburgu*) zwiedzała i interesowała się pracą polskich bibliotek we Wrocławiu, Warszawie, Toruniu i Elblągu. Polscy bibliotekarze przyjęli bardzo życzliwie swoich kolegów z Niemiec Zachodnich. Grupie niemieckiej towarzyszyło ponadto dwóch wykładowców wyższych uczelni z RFN, bibliotekarz amerykański i profesor pedagogiki z Japonii. ■ W Düsseldorfie wznowiła działalność warszawska galeria *Ars Polona* pod kierownictwem znanej polskiej rzeźbiarki Zofii Wolskiej. ■ We frankfurckim *Fischer-Verlag* ukazała się książka pt. *Europa braucht Polen (Europa potrzebuje Polski)*. Autor książki, lewicujący b. redaktor liberalnej gazety *Kölner Stadt-Anzeiger*, Hans Gerlach, referuje „głębokie reformy gospodarki i zmiany w rządowym centrum, jako zapowiedź wielostronnych przeobrażeń gospodarczo-politycznych w Polsce”...

Andrzej J. CHILECKI

Kronika ukraińska

Radjańska Oświta zaczęła publikować zbiorowe listy nauczycieli, którzy potępiają rodziców-Ukraińców za obojętny lub wręcz wrogi stosunek do języka ojczystego i wskazują na opłakany stan jego nauczania. Choć nadal w prasie piętkuje się głównie społeczeństwo ukraińskie, zaczęły też pojawiać się krytyczne oceny ukraińskiej nomenklatury partyjnej. Najbardziej kry-

tyczne stanowisko zajął Jurij Stadnyczenko. Na łamach wrześniowej *Literaturnoj Ukrainy* stwierdził on, że „aparat, w którym przeważają Ukraińcy, wychowany został w obojętnym stosunku do języka ojczystego i w obawie, że jego używanie może być poczytane za nacjonalizm. Urzędnicy nie odpowiadają po ukraińsku, gdyż nie chcą lub nie potrafią”. Stadnyczenko oskarżył o narzucanie języka rosyjskiego metodami administracyjnymi „od pierwszych lat powojennych aż do ostatniego czasu” i domagał się otwarcia w każdej dzielnicy rodzinnego Charkowa szkoły podstawowej z ukraińskim językiem wykładowym, wprowadzenia tego języka do przedszkoli, teatrów, instytucji państwowych i do ulicznych napisów i szyldów. Na łamach *Literaturnoj Ukrainy* w wywiadzie z pisarzem Mykołą Olijnykiem przyznano, że „proces odnowy literatury na Ukrainie po 1956 roku zablokowano zaraz na jego początku”. W wielu wystąpieniach pisarze dają za wzór godny naśladowania sytuację panującą w latach 20-tych, kiedy to Lenin zgodził się na ukrainizację, by w ten sposób zakorzenić system sowiecki na Ukrainie. Obecnie jednak oficjalne aspiracje są nawet mniejsze niż przed 60-ciu laty. Pisarze podkreślają, że zgadzają się na dwujęzyczność ukraińsko-rosyjską byle by nie przekształcać jej w rosyjskojęzyczność. Ołeksander Pidsucha upominał się też o prawa do szkoły narodowej dla Ukraińców żyjących poza Ukrainą: „... radzieccy Niemcy — mówił Pidsucha — którzy żyją na Ałtaju posiadają własne szkoły, prasę, audycje radiowe, a tymczasem miliony Ukraińców, którzy mieszkają na tym samym Ałtaju, a także w Zielonym Klinie, na Kubaniu niczego takiego nie mają. W latach dwudziestych i na początku trzydziestych istniały jeszcze ukraińskie szkoły na Kubaniu i w innych miejscowościach Federacji Rosyjskiej. W Krasnodarze funkcjonował nawet ukraiński instytut pedagogiczny”. Wołodmyr Drozd przekazał żądania Ukraińców z Polski, którzy domagają się przesyłania książek ukraińskich, w tym tłumaczeń polskich autorów, oraz radzieckich filmów w wersji ukraińskiej. We wrześniu na łamach *Literaturnoj Ukrainy* Witalij Kułakowski domagał się wydania utworów autorów dotychczas zakazanych: Wołodmyra Wynnyczena, Hryhorija Czupryni, Bohdana Łepkiego, którzy byli przeciwnikami komunizmu oraz narodowego bolszewika Mykoły Chwyłowego.

20 września br. w rosyjskojęzycznej *Prawdzie Ukrainy* historyk Jurij Szapował w artykule „Czego mamy się bać” poruszył sprawę głodu na Ukrainie w latach 1932-1933 i późniejszych represji. Oba tematy były dotychczas objęte całkowitym zakazem, a jeszcze dwa lata temu oficjalnie negowano istnienie głodu. W tej samej gazecie 11 września sprawę kolektywizacji i wywiezienia z Ukrainy rodzin *kurkuliw* (kułaków) omawiał, choć jeszcze bardzo nieśmiało, historyk Kulczyckij.

Na Zachód przedostał się list Iwana Sokulskiego, skazanego w 1980 roku na 10 lat obozu i 5 zsyłki. Sokulski w 1983 roku dał wywiad *dnipro-prietrowskiej* gazecie, ale gdy dowiedział się, że jego wypowiedzi sfałszowano, zaprotestował i w rezultacie otrzymał dodatkowe 3 lata. Na propozycję ułaskawienia w zamian za potwierdzenie sfałszowanej wersji wywiadu Sokulski odpowiedział odmownie i nadal przebywa w łagrze W liście do Gorbaczowa napisanym w roku 1986 Sokulski porównuje stosunek władzy sowieckiej do opozycji z traktowaniem przez hitlerowców oponentów w Niemczech. Następnie jako przykład podaje, że w obozie 389/36 KGB zamordowało w ciągu półtora roku 20 % więźniów przebywających tu na zaostrożnym rygorze. Cały regulamin tego obozu ma na celu wyłącznie jak najszybsze doprowadzenie do śmierci więźnia. Przykładowo, za niewykonanie normy chorego Sokulskiego wtrącono do karceru, gdzie był mrozony głodem i systematycznie torturowany. Naczelnik więzienia Wasylenko otwarcie proponował Sokulskiemu współpracę z KGB albo śmierć. Na zakończenie swego listu Sokulski pisze: „Jeśli uważalibyśmy za główny cel rewolucji wolność jednostki i ogólnie wolność narodu, to komuniści-leninowcy byłiby prędzej kontrrewolucjonistami niż rewolucjonistami”.

22 września 1987 roku odbyła się we Lwowie demonstracja zorganizowana przez nieoficjalną grupę pokojową. O godzinie 12-tej w południe 30 osób wyruszyło z ulicy Ormiańskiej i przemarszerowało kilkoma głównymi ulicami śródmieścia niosąc plakaty z hasłami: „Jawność”, „Zmienić życie w ZSRR”, „Pokój i Wolność”, „Rozbrojenie atomowe w ZSRR i w Ameryce”. Po dwu godzinach milicja zatrzymała pochód i odebrała demonstrantom plakaty. Po pewnym czasie demonstranci zebrałi się jeszcze raz w śródmieściu i rozeszli się dopiero o godzinie 17-tej. Organizatorami demonstracji mieli być Ołeksander Ałysewycz i Dmytro Tyszczenko.

Kibice kijowskiego klubu „Dynamo” po przegranym meczu z moskiewską drużyną „Spartak” wznieśli rozruchy w Kijowie.

18 września 1987 roku Josyf Terelia, przewodniczący Komitetu Centralnego Ukraińskich Katolików i długoletni więzień Gułagu, przybył wraz z żoną i trojgiem dzieci do Holandii. W czasie konferencji prasowej Terelia wyraził nadzieję, iż Ukraiński Kościół Katolicki zostanie w ZSRR zalegalizowany i podkreślił, że Ukraina stanowi bastion chrześcijaństwa w Sowietach; według oficjalnych danych 80 % wiernych Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej mieszka na Ukrainie, spośród 15 mln katolików na Ukrainie żyje jedna trzecia, a dalszy 1,9 mln Ukraińców-katolików rozproszonych jest po Syberii, Kazachstanie i Azji Środkowej.

3 października 1987 roku powstała Inicjatywna Grupa na rzecz zwolnienia ukraińskich więźniów sumienia. W jej skład weszli byli więźniowie Gułagu: Wasyl Barlandianu, Iwan Hel, Zorian Popadiuk, Mychajło Horyń (przewodniczący) i Wiaczesław Czornowił. Grupa żąda od rządu ZSRR: wyłączenia z kodeksów karnych ZSRR artykułów, na podstawie których skazano osoby walczące o demokratyzację, rehabilitacji i wynagrodzenia szkód więźniom sumienia, przywiezienia na Ukrainę ciał więźniów, którzy zginęli w łagrach.

W Kamińcu Kaszyskim na Wołyniu skazano na śmierć Iwana Honczaruka za przynależność do UPA w 1944 roku. Latem 1944 roku Honczaruk został złapany podczas jednej z obław i skazany wówczas na 15 lat łagru, które odsiedział. Proces Honczaruka jest jednym z serii rozpraw przeciw byłym żołnierzom UPA, jakie toczą się już od kilku lat na Wołyniu.

W dniach od 23 do 27 września odbywał się w Rzymie VI Kongres Świeckich Ukraińskiego Kościoła Katolickiego. Z tej okazji w dniu 29 września papież Jan Paweł II przyjął na audiencji około 100 biskupów, duchownych i wiernych UKK.

W dniach 21-30 września miał miejsce w Rzymie Synod biskupów Ukraińskiego Kościoła Katolickiego.

W dniach 26-27 września 1987 roku w Nowym Jorku odbył się Światowy Zjazd byłych żołnierzy UPA.

W dniach 10-11 października 1987 roku odbyła się w Nowym Jorku konferencja ośrodków Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej — UHWR. Na konferencji postanowiono przekształcić dotychczasową Reprezentację Zagraniczną UHWR w Radę Środowiska UHWR, wybieraną przez delegatów krajowych środowisk UHWR. Przewodniczącym Prezydium został wybrany Myrośław Prokop, a jego zastępcami: Mykoła Łebed i Anatol Kamińskij.

Rozpoczęły się prace nad przygotowaniem do V Światowego Kongresu Wolnych Ukraińców, który odbędzie się w przyszłym roku w Kanadzie.

W czerwcu br. skończyły się pieniądze Komitetu Budowy internatu przy szkole ukraińskiej w Białym Borze koło Koszalin. Jest to jedyna szkoła podstawowa z ukraińskim językiem wykładowym w Polsce.

W nakładzie 300 egzemplarzy wydano w PRL grekokatolicki kalendarz na rok 1987. Z kalendarza dowiadujemy się m.in., iż w Polsce jest 85 placówek duszpasterskich dla unitów i 52 czynnych księży tego obrządku.

We wrześniu i październiku na występach w Kanadzie i USA przebywał ukraiński zespół artystyczny z Polski „Łemkowyna”. Ponad 40-osobowym zespołem kierował Jarosław Trochanowski. Władze PRL nie zezwoliły natomiast na wyjazd dyrygentowi i kompozytorowi Jarosławowi Poliańskiemu.

Na Podlasiu pojawiło się w kwietniu 1987 roku pierwsze niezależne pismo ukraińskie pt. *Podlasze*. Nosi ono podtytuł: „Społeczno-kulturalno-polityczny biuletyn Rusinów-Ukraińców całego Podlasia”. W artykule wstępnym „Nasze prawo” redaktorzy stwierdzają m.in.: „Wszyscy wkoło starają się nam wmówić..., że powinniśmy być dobrymi Polakami lub dobrymi Białorusinami... (ale) ... zostaniemy jakimi byliśmy i jesteśmy — Rusinami-Ukraińcami”.

Wrześniowy *Homin Ukrainy* z Kanady, związany ze środowiskiem byłych członków sekcji bojowej OUN i Ukraińską Powstańczą Armią oraz wyrażający poglądy OUN(b), w swojej angielskiej mutacji przypominał wyprawę D. Warszawskiego w sprawie akcji „Wisła” zamieszczonej w *Tu, Teraz*, oraz podobny artykuł opublikowany w krakowskiej *Zomorzędności*, a także obszernie zacytował oświadczenie Ruchu „Wolność i Pokój” wydane w tej sprawie. Redakcja przyznaje, że „zwłaszcza w czasie ostatniej dekady polskie kręgi opozycyjne domagały się lepszego traktowania ukraińskiej mniejszości w Polsce”.

Stepan Hałamaj obszernie omówił w 40 numerze *Hominu Ukrainy* (ukraińska edycja) wystąpienie Jana Józefa Lipskiego na zjeździe Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

W czerwcowym numerze *Patriarchatu* ukazał się przekład recenzji Aleksandra Neubertha omawiającej paszkwil Edwarda Prusa znieślawiającej Metropolite Andrzeja Szeptyckiego i zamieszczonej w 11 numerze krakowskiego *Bez Dekretu*.

Mykoła Baraboliak na łamach wydawanego w USA ukraińskiego dziennika *Swoboda* omówił odpowiedzi na ankietę dotyczącą „pieriestrojki” z lipcowo-sierpniowego numeru *Kultury*. *Swoboda* z 5 sierpnia 1987 poświęciła obszerny artykuł omówieniu stanu opieki zdrowotnej w Polsce.

Staraniem Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego w Rzymie ukazała się rozprawa Mykoły Demkowycza-Dobrianskiego pt. „W sprawie stosunków polsko-ukraińskich 1903-1913”, w której autor omawia okres sprawowania władzy w Galicji przez namiestników: Andrzeja Potockiego i Michała Bobrzyńskiego.

Nowa Koalicja wydała broszurę pt.: „O prawie mniejszościowym w Polsce”. Paweł Zachwiej, autor tego opracowania, po krytycznym przedstawieniu ustawodawstwa PRL dotyczącego mniejszości narodowych i porównaniu go z prawodawstwem w okresie międzywojennym, stwierdza: „... reforma prawa mniejszościowego w naszym kraju jest pożądana, niezależnie od tego, jak będzie się w przyszłości przedstawiał urząd społeczno-polityczny Polski. Podstawowym warunkiem, który należałoby spełnić, jest w miarę szczegółowe określenie statusu mniejszości narodowych w aktach prawnych najwyższego rzędu”.

Drugą broszurą *Nowej Koalicji* jest artykuł Piotra Chmury pt.: „Europa Środkowa i Rosja”. Autor krytykuje linię polityczną Stefana Kisielewskiego i *Polityki Polskiej* oraz przedstawia poglądy rosyjskich opozycjonistów na kwestię narodową, a następnie wyjaśnia program WSN-u w powyższej kwestii.

Grupa pisma *Robotnik* rozpoczęła wydawanie nowego czasopisma poświęconego sprawom narodów Europy Środkowo-Wschodniej pt.: *Międzymorze*. We wstępie redakcja zaznacza: „Coraz powszechniejsza staje się świadomość faktu, że zmiany w sytuacji politycznej „bloku” możliwe są jedynie w przypadku współdziałania wszystkich zainteresowanych”, po czym przypomina, iż „często zapominamy o tych Litwinach, Białorusinach i Ukraiń-

cach, którzy mieszkają na terenie PRL, ... dla nich problemem jest walka z polonizacją, tą świadomą, prowadzoną z rozmysłem przez władze, i tą często nieświadomą a prowadzoną przez nas samych”.

W *Dziejach Najnowszych* nr 1/1987 Ryszard Torzecki omawia dwa „dziełka” E. Prusa: „Z dziejów współpracy nacjonalistów ukraińskich z Niemcami w okresie drugiej wojny światowej” i „Herosi spod znaku tryzubna”. Autor recenzji ograniczył się jedynie do wyciszenia błędnych tez i zafałszowań, często wynikających z nieuctwa profesora Prusa, co i tak zajęło 6 stron druku *petitem*.

Kwartalnik Historyczny w nr. 4/1986 zamieścił obszerną i druzgocącą recenzję pióra Andrzeja Ziembę z paszkwilu Edwarda Prusa pt. „Władcyka Świętojurski”. Drugą, również krytyczną recenzję opublikował Władysław Serczyk w *Dziejach Najnowszych* nr 1/1986. Jak na ironię jedyna pochlebna recenzja ukazała się w londyńskim *Biuletynie Koła Lwowian!*

W dniach 23-25 października 1987 roku duszpasterstwo środowisk twórczych przy Kościele OO. Jezuitów w Łodzi zorganizowało sesję na temat: „Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Polacy — Przesłanki pojednania. Na tematy ukraińskie wygłoszono następujące referaty: Ryszard Torzecki — Metropolita Andrzej Szeptycki wobec wybranych zagadnień współczesności; Tadeusz Olszański — Wokół akcji „Wisła”; Bohdan Skaradziński — Fenomen Ukraińskiej Armii Powstańczej — różnice i analogie z Armią Krajową; Wołodimir Mokry — Problem ojczyzny dla ukraińskiej mniejszości narodowej w PRL wysiedlonej w 1947 roku; Władysław Serczyk — Ukraińcy i sprawa ukraińska w Polsce. Kilka polskich propozycji; Jarosław Moklak — Orientacje polityczne (moskalofilska i narodowa tj. proukraińska) na Łemkowszczyźnie; Wojtowicz — Kształtowanie się świadomości wśród Łemków; Krystyna Śreniowska — Współpraca narodów Lwowa na terenie Osolineum w latach 1939-1941. Otwarto także wystawę „Łemkowie i Łemkowszczyzna” oraz wysłuchano koncertu ukraińskiego chóru kameralnego przy Kościele OO. Bazyliańców w Warszawie. W niedzielę, 25 października odprawiono Mszę św. w obrzędzie wschodnim. Sesję zakończyła „dyskusja pojednania”.

8 października 1987 roku w Papieskim Kolegium Polskim w Rzymie doszło do spotkania duchownych polskich i ukraińskich, w czasie którego prymas kardynał Józef Glemp powiedział m.in.: „... Nie wolno nam podejmować liicytacji, kto komu więcej krzywd wyrządził. Do niczego to nie doprowadzi. Szczególnie my, duchowni, winniśmy wiedzieć, że gojących się ran nie wolno rozdrapywać. Pomyślmy, że mógł być ktoś trzeci, co nas wzajemnie podburzał, by wygrać własne interesy... (w Polsce) potrzebny jest (Ukraińcom) katechizm. Wiadomo, że wydawnictwa te mogą służyć wiernym ukraińskim nie tylko w Polsce”. W odpowiedzi kardynał Myroslaw Lubacziwskyj, arcybiskup mniejszy Lwowa stwierdził: „... Obie nasze Ojczyzny są całkowicie albo w połowie okupowane przez ateistyczno-komunistyczny reżym...”, a następnie scharakteryzował różnicę położenia katolików polskich i ukraińskich.

Drugie spotkanie odbyło się 17 października w Papieskim Kolegium Ukraińskim św. Jozafata. Na przywitanie kardynał M. Lubacziwskyj wygłosił przemówienie, w którym przypomniał historyczny list biskupów polskich do biskupów niemieckich, a następnie podkreślił: „... również i my — Hierarchia Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej — wyciągamy braterską dłoń do braci Polaków na znak pojednania, przebaczenia i miłości”. Następnie kardynał M. Lubacziwskyj podziękował Prymasowi za zaproszenie Hierarchii Ukraińskiej do Częstochowy i zaprosił Hierarchię Kościoła Polskiego na obchody Millenium Chrztu Rusi-Ukrainy do Soboru Świętej Sofii w Rzymie.

W swojej odpowiedzi kardynał J. Glemp stwierdził: „... Jesteśmy winowajcami wobec Was, Bracia Ukraińcy, bo nie umieliśmy nauki wynikającej

z Chrztu świętego wprowadzić w życie. Zacytuje z pamięci wiersz, bodajże poety Bohdana Zalewskiego, który w usta Ukraińca, być może Mazepy, wkłada takie słowa żalu:

„Myśmy Lachom byli wierni
Przeciw hordom każdej chwili,
Nim husarze, nim pancerni
Nadjechali — to my zbili.
I cóż za to mamy w zysku
oprócz więzów, łez, ucisku?”

(...) Opowiadanie poetyckie odnosi się do przeszłości, ale przypomina rzeczywistość, którą na płaszczyźnie etycznej określamy: mamy winy jedni wobec drugich. A gdzie są winy, tam trzeba mówić: Opuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy”.

Józef DARSKI

Kronika litewska

W niedzielę 28 czerwca 1987 roku obchodzono w Wilnie 600-lecie wprowadzenia chrześcijaństwa na Litwie. W sześciu wileńskich kościołach katolickich biskupi odprawiali uroczyste msze, w tym w dwóch kościołach w języku polskim: w kościele poddominikańskim pod wezwaniem św. Ducha biskup L. Michalkevicius i w kościele św. Rafała przy Zielonym moście biskup Sładkevicius. Natomiast w kościele św. Piotra i Pawła na Antokolu przewodniczył mszy koncelebrowanej abp Liudas Povilionis, administrator apostolski Kowna i Wyłkowyszek. Jedynym biskupem z zagranicy, który wziął udział w uroczystościach był bp Roman Andrzejewski z Włocławka, przebywający prywatnie na Litwie (koncelebrował mszę w kościele św. Ducha). We wszystkich kościołach na Litwie zostały poświęcone tablice, na których wyryto siedem krzyży. Sześć z nich reprezentuje minionie wieki, a siódmy — wiek obecnie się rozpoczynający. Tablicę taką w kościele na Antokolu poświęcił abp Povilionis w obecności Konstantina M. Charczewa, przewodniczącego komitetu do spraw religii przy Radzie Najwyższej ZSSR i Petrasa Anilionisa, pełnomocnika tejże komisji przy Radzie Państwa republiki litewskiej. To nabożeństwo z biskupem i komisarzem, Charczewem, było nadawane w programie telewizji wileńskiej (pierwszy taki wypadek w dziejach telewizji sowieckiej). W nabożeństwie uczestniczyli prócz wymienionych bp Cakuls z Łotwy, prawosławny metropolita Mińska i Białorusi Filaret, wileński archimandryta Nikita, pastor literański z Estonii, prałat z Berlina i, jak widać, korespondenci zagraniczni, ale nie Litwini z emigracji, bo im wiz nie dawano. ■ W odróżnieniu od poprzednich lat — gdy wiadomości o Kościele na Litwie trzeba było czerpać ze źródeł litewskich — prasa polska pisze obecnie o uroczystościach 600-lecia, zamieściła też list pasterski episkopatu polskiego na beatyfikację abpa Jerzego Matulewicza, w którym m.in. czytamy: „... błagamy o pełną wolność religijną i ludzką dla Litwy i Polski”. To mogło się nie podobać Moskwie, a cytata: „... przy końcu życia pisał (Matulewicz) w liście: 'Naprawdę dziś mogę powiedzieć, że Kościół katolicki jest jedyną moją ojczyzną, a ja jedynie jego patriotą'” może się nie podobać w pewnych kołach nacjonalistycznych. ■ Litewska prasa emigracyjna cytowała szereg artykułów z krakowskiego *Tygodnika Powszechnego*.

Artykuły te wykazały, że papież czuje i rozumie drażliwości litewskie i dlatego uroczystości rzymskie z założenia posiadały charakter litewski. Papież w swym przemówieniu wspominał Polskę jeden raz, kiedy wyliczał kraje, w których pracował błogosławiony Jerzy Matulewicz. Bp wileński, rozumiejący konflikt polsko-litewski w innym liście pisał: „Boję się, że Kozacy kiedyś mogą przyjść, by nas pogodzić”. Po dwudziestu latach przyszli. Ale czy pogodzili? Polacy myślą, że wyniesienie na ołtarze człowieka bolejącego nad tym konfliktem może wpłynąć na złagodzenie sporu. Z litewskich relacji wnosząc, można mieć pewne wątpliwości, gdyż nieufność Litwinów do Polaków jest głęboko zakorzeniona. Najzawzięci żądali oficjalnego włączenia Wilna do litewskiej prowincji kościelnej i kardynała Litwina — co nie zostało spełnione. Natomiast trzecie żądanie w sprawie języka nabożeństw w Sejnach i Puńsku zostało częściowo spełnione. Sami Litwini podają, że w czasie uroczystości rzymskich papieżowi służyli do mszy dwaj młodzi ministranci — Litwini z Polski, od których papież dowiedział się, że nowy biskup łomżyński, Paetz, jest bardzo przez Litwinów poważany. — Z polskich relacji: kiedy papież wypowiedział formułę beatyfikacji ogłaszając, że Jerzy Matulewicz może być wzywany jako błogosławiony, przybyły z kraju biskup Vaicius, administrator apostolski Telsz, rzucił się do stóp papieża, czego nie przewidywał żaden rytuał. Ten gest wdzięczności oraz serdeczny gest wyciągniętych rąk papieża, pomagającego podnieść się biskupowi, najlepiej oddaje klimat tamtych niezwykłych dni. Jedenastu świadków, przybyłych z Litwy, siedziało w pobliżu; przejeżdż, cisi, uważni — świadkowie, którzy ze wszystkiego będą musieli zdać sprawozdanie w kraju. Ponadto przybyły tysiące Litwinów z całego świata w pięknych strojach narodowych. Prasa litewska na emigracji w licznych reportażach omawia uroczystości rzymskie i konferencję historyków, pisząc m.in.: „Michał Giedroyc, syn spolszczonych litewskich wielmożów, w wygłoszonym odczyty wykaż, że jest rzeczywiście zainteresowany losem narodu swoich przodków i obecnie służy jego interesom, pisując w angielskiej prasie o mądrości i potęgę pogańskich władców Księstwa Litewskiego”. ■ O uroczystościach rzymskich pisała prasa światowa, a o Litwinach opublikował artykuł *L'Observatore Romano*. Na świecie jest ponad milion Litwinów, mniej więcej jedna trzecia mieszkańców Litwy. Starą emigrację z ub. wieku uzupełnili uchodźcy wojenni rozsiadani w 16 krajach. Obsługuje ich 628 litewskich kapłanów, z czego 458 diecezjalnych i 170 zakonników. Większość ich pracuje w 110 parafiach i 38 misjach, pozostali podlegają biskupom, przeważnie amerykańskim, wspomagając organizacje i instytucje uchodźców. W Stanach Zjednoczonych jest Litwinów około 800 tysięcy. Mają 90 parafii, jeden dziennik, tygodniki i inne periodyki. Około 40 tysięcy mieszka w Kanadzie — są to przeważnie uchodźcy powojenni. Mają 12 parafii. W Południowej Ameryce Litwinów żyje: 50 tys. w Brazylii, 40 tys. w Argentynie, 5 tys. w Urugwaju. Jest to przeważnie emigracja po pierwszej wojnie światowej. Z emigracji po drugiej wojnie światowej osiadło w Australii 10 tys., w Anglii 6 tys., w Szkocji 5 tys., w Niemczech Zachodnich 4 tys., w Belgii 2,5 tys. i we Francji 1,2 tys. We Włoszech, głównie w Rzymie, jest około setki Litwinów, grupujących się wokół instytucji religijnych, jak kościół św. Kazimierza. A więc emigracja ma 628 księży, na całej Litwie jest też niespełna 700. ■ W Watykanie odbył się zjazd około stu litewskich księży. W tym biskup Vaicius, przybyły z Litwy, trzech biskupów z duszpasterstwa emigracji, pastor ewangelicki z Kanady oraz z Watykanu arcybiskup Marcinkus (Litwin z Chicago, mówiący również po polsku). W czasie beatyfikacji arcybiskupa Matulewicza był też kardynał Bernardin z Chicago, który odprawiał nabożeństwo dla Litwinów w języku angielskim. Uwaga Litwinów: jeżeli z urzędu musiał to być kardynał, to odpowiedniejszy byłby kardynał Gulbinowicz z Wrocławia, władający językiem litewskim. Biskupa emigracyjnego Baltakisa zaproszono do odwiedzenia skupisk litewskich w

Polce, z czego chętnie skorzystał już 15 sierpnia 1987, koncelebrując mszę z biskupem łomżyńskim Paetzem w Puńsku i odwiedzając później Sejny, Gdańsk, Szczecin, Wrocław, Kraków i Jasną Górę. W Puńsku gość z Nowego Jorku przemawiał do wiernych w języku litewskim, biskup łomżyński po polsku, a proboszcz Dźermejko w pewnych wypadkach służył za tłumacza. W czasie wizyty papieskiej w Polsce ks. Dźermejko przewodniczył delegacji litewskiej do Warszawy, gdzie była ona bardzo serdecznie witana. ■ Bałtowie w Stanach Zjednoczonych — w odróżnieniu od Polaków — popierają na ogół republikanów. Łącznikiem prezydenta w stosunkach z grupami etnicznymi w ogóle jest Litwin amerykański Linas Kojelis. W święta niepodległości czy rocznice deportacji Kongres amerykański lub prezydent wydają oświadczenia z wyrazami sympatii i przypomnieniem, że rząd Stanów Zjednoczonych nie uznaje inkorporacji tych państw do Związku Sowieckiego. Amerykański PEN-Club wciąż domaga się uwolnienia uwiecznionych pisarzy litewskich, a Konferencja episkopatu amerykańskiego zwrotu kościoła katolickiego w Kłajpedzie, skonfiskowanego przed 25-tu laty. Te same żądania wysuwa Senat australijski. Parlament europejski co roku uchwała deklarację w sprawie przynależności państw bałtyckich do Europy. Obecnie zarząd miasta Kłajpedy niespodziewanie obiecał kościół ten zwrócić za dwa lata, przekazując go prałaturze na okręg kłajpedzki, podporządkowanej biskupowi Telsz (czyli diecezji żmudzkiej). ■ Wśród uwolnionych tej zimy dysydentów, przeważnie rosyjskich i żydowskich, jest też kilku Litwinów. Są to ludzie znani, którzy otrzymywali w łagrach syberyjskich setki listów z całego świata. Tylko takich zwalniano i pozwalano im na wyjazd na Zachód. ■ Dnia 23 marca 1987, w samo południe, w rocznicę zawarcia paktu Ribbentrop-Mołotow, rozpoczęły się demonstracje w Tallinie, Rydze i Wilnie. Pakt ten przewidywał nie tylko rozbiór Polski, ale i pochłonięcie państw bałtyckich. Demonstracje były zapowiedziane przez rozgłosnie zachodnie i omawiane przez TASS jako intryga zorganizowana przez emigrantów na Zachodzie i obce rządy. W Wilnie zaczęło się od przemówienia Nijole Sadunaite u stóp pomnika Mickiewicza, przed kościołem św. Anny. Wśród okrzyków „Wolność dla Litwy” itp. odśpiewano litewską pieśń patriotyczną, potem religijną i wreszcie litewski (przedwojenny) hymn państwowy. Źródła sowieckie powiadają, że zebrało się parę dziesiątków „ekstremistów”, do których dołączyło paręset przechodniów — raczej widzów niż uczestników. Zdaniem korespondentów zagranicznych uczestników było kilka tysięcy. Zdaniem źródeł litewskich liczba taka zebrała się dopiero po kilku godzinach. Sadunaite oświadczyła, że demonstrację zorganizowały cztery osoby, w tym ona sama. Byli to przeważnie byli więźniowie. W Wilnie reakcja policji była niezwykle łagodna i nie było aresztów, natomiast w Rydze manifestacja miała charakter bardziej burzliwy i masowy. Tam były aresztowania. W Tallinie zebrało się kilka tysięcy osób. Tego dnia centrale telefoniczne trzech stolic nie dawały połączeń z zagranicą. Łotysze ze Sztokholmu nie mogli dostać połączenia nawet z Leningradem. Ale już pierwszego września nadeszły alarmujące wiadomości. Jeden z przemawiających (ale nie z organizatorów), R. Grigas, który uprzednio był nękany i więziony za odmowę złożenia przysięgi wojskowej, teraz został porwany, wywieziony do lasu, gdzie wybito mu kilka zębów, słuczono okulary, postawiono przed wykopanym dołem i zezwolono się pomodlić, bo będzie za chwilę rozstrzelany... Groźby nie wykonano, ale ją powtarzano wożąc po lasach Białorusi, by znów wrócić na Litwę, gdzie udało mu się zbiec i schronić na plebanii. ■ Znana już na szerokim świecie Sadunaite (w Niemczech są koła dziewcząt katolickich jej imienia) została zatrzymana w drodze z Wilna do Kowna przez samochód bez numerów, w którym siedział oficer KGB, który ją niedługo przesłuchiwał. Wożono ją po lasach Białorusi, grożono śmiercią i przesłuchiwaną przez 30 godzin w lesie lub w aucie. — Proboszcz R. Puzonas został porwany, wywieziony do lasów Białorusi i tam na odludziu wy-

puszczony. Błądząc pieszo, powrócił szczęśliwie (zabójstwo księdza Popiełuszki wykorzystywane jest do straszenia ludzi). — Oskarżeni rozmawiali telefonicznie z Szydłowem (Siluva), gdzie miały niebawem rozpocząć się doroczne uroczystości religijne. Przypuszcza się, że władze, zaniepokojone możliwością nowych manifestacji, usiłowały temu zapobiec. Drogi do Szydłowa zostały zablokowane kordonem wojska. ■ Litewski Naczelny Komitet Wyzwolenia Litwy wysłał do Jana Pawła II pismo dziękczynne, zawierające prośbę o wyznaczenie Litwina kardynała. ■ Liczba mieszkańców sowieckiej Litwy na dzień 1 stycznia 1987 wynosiła 3.641 tys., w tym 52,7% kobiet. Liczba rodzin — 990 tys., kobiet samotnych 9%. Studentów na wyższych uczelniach 6.900, w tym kobiet 63%. Wśród osób z wyższym wykształceniem kobiety stanowią 57%. Wśród zatrudnionych w handlu, wyżywieniu, służbie zdrowia i opiece — 80-86%. Wśród deputowanych do najwyższego Sowiegu na Litwie — 36% (ale w Politbiurze, tak ogólnosowieckim, jak też litewskim, nie ma ani jednej kobiety). ■ W Wilnie miała miejsce rozmowa przy okrągłym stole między kilku Litwinami z emigracji, ponoć głównie z grupy wokół pisma *Akiraciai* oraz działaczami krajowymi, pisarzami i profesorami. Strona sowiecka postawiła warunek, że nikt nie może kwestionować włączenia Litwy do Związku Sowieckiego. ■ Litewska literatura emigracyjna jest obecnie dostępna tylko dla Litwinów zamieszkałych w Polsce. Wydawnictwa legalne z PRL — prócz religijnych i politycznych — są dostępne Polakom na Litwie. Litewskie, przedwojenne wydawnictwa historyczne są na Litwie zakazane i w czasie rewizji konfiskowane. Litwini zamieszkali na Białorusi nie mają prawa prenumerowania legalnych, wydawanych w Wilnie, komunistycznych wydawnictw o ile są one w litewskim języku. ■ W Seminarium duchownym w Kownie wymagana jest znajomość języka litewskiego, natomiast w Rydze wystarcza znajomość języka rosyjskiego. Większość wyświęconych w tym roku kapłanów w seminarium ryskim jest z republik: białoruskiej, ukraińskiej i prawdopodobnie polskiego pochodzenia. Są też dwaj Niemcy z Kazachstanu. ■ W dniach 14-19 lipca 1987 w Wilnie odbył się międzynarodowy festiwal folkloru *Baltica 87*, z udziałem 3.000 uczestników, głównie Bałtów, ale też gości z Polski, Ameryki i Europy Zachodniej. Ma się odbywać co roku, kolejno w trzech stolicach republik bałtyckich. ■ Szwedzi podają, że na skutek katastrofy w Czarnobylu został zaniechany projekt budowy czwartego reaktora w podwileńskiej siłowni jądrowej w Ignalinie.

E. ŻAGIELL

19 września 1987

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Kronika kulturalna

Fundacja Humboldta - udział Polaków

Pierwotną fundację naukową, dziś w Polsce zwaną krótko „Humboldtem”, powołano w 1859 roku, wkrótce po śmierci wybitnego uczonego. Zainteresowania Alexandra von Humboldta obejmowały przede wszystkim obszar przyrodznawstwa. Przy ówczesnym stanie wiedzy badacz mógł być odkrywać istotne zjawiska równocześnie w dziedzinie botaniki, oceanografii, także etnologii. W swym ostatnim dziele, zatytułowanym „Kosmos”, Humboldt próbuje stworzyć całościową wizję świata, na co nie porywał się — może poza Teilhardem de Chardin — żaden późniejszy przyrodznawca, wyspecjalizowany w swej dziedzinie i uciekający przed śmielszymi, „nienaukowymi” syntezami. W swoim długim życiu Humboldt odbył mnóstwo podróży i jak mało kto z jego współczesnych znał cały glob. Nie przypadkiem więc fundacja upamiętniająca jego imię stawiała sobie początkowo za cel popieranie „badań przyrodniczych i podróży”.

Siedzibą Alexander von Humboldt-Stiftung był Berlin, a majątek fundacji — w 1861 roku oceniany na 40 tys. talarów — zasyliły datki londyńskiej Royal Society, Petersburskiej Akademii Nauk oraz króla Prus. Na skutek depresji ekonomicznej po pierwszej wojnie światowej fundacja utraciła całkowicie zasoby pieniężne.

Ponownie powołana została do działalności w roku 1925, gdy tylko gospodarka niemiecka jako tako się ustabilizowała. Co istotne, już w tamtych latach określa się międzynarodowe cele Fundacji Humboldta, nakierowanej zrazu poza granice Niemiec, więc ku najbliższym sąsiadom i całej Europie. W statucie mówi się o „popieraniu studiów zagranicznych obywateli, którzy otrzymali wykształcenie na niemieckich szkołach wyższych i w innych placówkach naukowych”. Poparcie miało polegać przede wszyst-

kim na przyznawaniu stypendiów i zasiłków. Można się domyślać, że tego rodzaju uniwersalistyczny program nie znajdował uznania polityków nacjonalistycznych, którzy coraz mocniej oddziaływali na życie publiczne Niemiec w latach kryzysu ekonomicznego, potem w latach 30-tych. Mentalność pruska, szczególnie owa osławiona „koszarowa”, stała się dobrym fundamentem hitleryzmu. Drugi wielki kryzys Fundacja Humboldta przeżywa w Trzeciej Rzeszy, mimo iż formalnie jest instytucją państwową z siedzibą w mieście stołecznym. W czasie bombardowań Berlina traci w roku 1943 całość dokumentacji.

Jednakowoż idea Humboldta — umysłu wolnego od wszelkich zaściankowych uprzedzeń — musiała być ważna dla niemieckiego świata nauki, skoro tuż po drugiej wojnie pomyślano o wznowieniu działalności Fundacji.

Kiedy przewyciężono kolejną depresję gospodarczą, po raz drugi — 10 grudnia 1952 roku w stołecznym Bonn — wznowiono instytucję „Alexander von Humboldt-Stiftung”, przy żywym współudziale kanclerza dr. Konrada Adenauera, na prezydenta powołując prof. Wernera Heisenberga, fizyka światowej sławy, laureata Nagrody Nobla. Zachowało się zdjęcie upamiętniające tę chwilę: ani wysoki, skupiony w sobie Adenauer, ani uśmiechnięty i skory do żartów Heisenberg nie podejrzewają, ściskając sobie ręce nad wypolerowanym, wielkim i pustym stołem, że dzieło — tak uporczywie wskrzeszane przez niemiecki świat nauki — tym razem osiągnie bezprecedensowy w historii Europy rozmiar i popularność na całym globie, niegdyś tak pracowicie przemierzany przez patrona Fundacji.

Cele Fundacji w akcie erekcyjnym określono następująco: „poprzez udzielanie stypendiów młodym uczonym zagranicznym — nie czyniąc różnicy wedle płci, rasy, religii, przekonań — umożliwić pobyt badawczy na terenie Niemiec, służący pogłębieniu wiedzy naukowej”. Ta w pełni demokratyczna i tolerancyjna formuła pozostała w statucie Fundacji do dnia dzisiejszego. W roku 1965 cytowaną klauzulę w pewnym stopniu poszerzono, określając młodych uczonych jako pracowników akademickich o „najwyższych kwalifikacjach naukowych”, którzy dzięki stypendiom badawczym (*Forschungsstipendien*) mogą na obszarze Republiki Federalnej Niemiec przeprowadzać zaplanowane badania.

W roku 1956 stanowisko Sekretarza Generalnego AvH objął dr Heinrich Pfeiffer, do dziś sprawujący tę funkcję i niezmiernie zasłużony dla okrzepnięcia instytucji. Siedzibą tej największej niemieckiej fundacji naukowej jest Bonn.

Oczywiście rozkwit Fundacji Humboldta — placówki państwowej — stał się możliwy dzięki ogólnej, niezwykle korzystnej koniunkturze gospodarczej, pozwalającej na poszerzenie zasobów finansowych i fundowanie coraz większej liczby stypendiów.

Warto przytoczyć trochę liczb z minionego trzydziestolecia Fundacji Humboldta¹. Stypendia przyznawano na dłuższy termin: początkowo 10-12 miesięcy, obecnie minimum wynosi pół roku, najczęściej można wystąpić o paromiesięczne przedłużenie, natomiast maksymalny czas trwania stypendium nie może przekroczyć dwu lat. Przeciętny „humboldtczyk” z Polski przebywa na stypendium 16 miesięcy. Wysokość miesięcznej wypłaty — gdy się śledzi tablice statystyczne — odzwierciedla pewną inflację marki zachodniemieckiej oraz rosnącą zamożność Fundacji. I tak w roku 1954 stypendium wynosiło miesięcznie 350 DM; w 1957 — 400 DM; w 1959 — 800-1.100 DM (w zależności od stopnia doktora lub docenta); w 1966 — 1.000-1.400 DM; w 1973 — 1.600-1.900 DM; w 1977 — 1.900, 2.200 lub nawet 2.600 DM; w 1980 — 2.100, 2.400 lub 2.900 DM; w 1983 — 2.400, 2.700 lub 3.200; w 1987 — 2.700, 3.000 lub 3.500 DM. Pojawiające się od 1977 roku trzy rodzaje wypłat są związane ze stopniem: dra, dra hab. (docenta) lub profesora. Wedle założenia fundatorów, stypendium nie powinno odbiegać od przeciętnej płacy statystycznego, podobnie wykwalifikowanego pracownika naukowego w RFN i umożliwić życie codzienne na takim samym poziomie.

W roku 1954 o stypendium ubiegało się 257 osób z całego świata, przyznano zaś 78. Kwalifikacja odbywa się co najmniej trzy razy w roku na zasadzie międzynarodowego, otwartego dla wszystkich specjalności naukowych — także humanistycznych i inżynierskich — konkursu naukowego, w którym należy przedstawić szczegółowy program badań, opracowany w porozumieniu z jakimś ośrodkiem naukowym niemieckim i zaopiniowany przez dwu tamtejszych profesorów, decydujących się tym samym na przyjęcie kandydata jako gościa w swej placówce naukowej. Oprócz tych dwu rekomendacji niemieckich należy załączyć opinie dwu profesorów ze swego ojczystego kraju, przedstawić swój dotychczasowy dorobek naukowy (lista publikacji oraz obszernie streszczenie 3-4 najważniejszych i najnowszych prac wraz z nadbitkami w języku oryginalnym). W zasadzie kandydat winien przygotować dokumentację po niemiecku lub angielsku (szczególnie dopuszcza się ten język w naukach matematyczno-przyrodniczych i medycynie).

1. W artykule wykorzystano informacje zawarte w księdze zbiorowej pod redakcją H. Pfeiffera *Alexander von Humboldt Stiftung 1953-1983*, Bonn 1984, str. 266, a także w: *AvH — Merkblatt 1984* oraz B. Goth, *Ratschläge für den Deutschlandaufenthalt. Practical Hints for your Stay in Germany. Alexander von Humboldt-Stiftung*, Bonn 1980, str. 35; T. Berberich, I. Göbbel, *Richtlinien und Hinweise für Forschungsstipendiaten. Guidelines and Information for Research Fellows. Alexander von Humboldt-Stiftung*, Bonn 1983, str. 35. Adres: Alexander von Humboldt-Stiftung, Jean-Paul-Str. 12, D-5300 Bonn 2. Tel.: (02 28) 833-0.

Trzecim językiem roboczym jest francuski. O specjalny formularz na wniosek oraz o przesłanie wyczerpującej informacji o warunkach konkursu (tzw. *Merkblatt*) należy zwrócić się bezpośrednio do Fundacji.

Jak widać, warunkiem pozyskania stypendium jest wcześniejszy, bezpośredni kontakt z jakąś instytucją naukową w RFN (uniwersytet, Max-Planck Institut etc.), która do wniosku o stypendium dołącza swe zaproszenie. Z rozmów przeprowadzonych z wieloma stypendystami wiadomo, że wyczerpująco winien być opracowany program badań możliwych tylko na terenie RFN — z podaniem celów, etapów, siatki czasowej. Innym warunkiem koniecznym jest posiadanie co najmniej tytułu doktorskiego (lub równorzędnego) oraz nieprzekroczenie 40-go roku życia. Fundacja tylko w wyjątkowych wypadkach odstępuje od tej zasady. Z biegiem lat granica wieku również się podniosła, ponieważ rośnie lawinowo ilość informacji naukowej, wydłuża się czas pisania rozpraw doktorskich czy habilitacyjnych. Za czasów Humboldta młodym pracownikiem nauki było się przed trzydziestką, w okresie międzywojennym przed ukończeniem 35 roku życia, teraz właściwie ciągle jeszcze w biologicznym wieku średnim.

Osobnym problemem dla wielu starających się jest znajomość języka, który w nauce światowej — mimo wysokiego poziomu publikacji niemieckich — po drugiej wojnie ustępuje miejsca angielszczyźnie. Trudno wykluczyć, że jest to skutek utraty zaufania do kultury niemieckiej, odpowiedzialnej w jakiś sposób za hitleryzm i zniszczenie Europy powersalskiej. Regulamin Fundacji Humboldta przewiduje, że humaniści powinni wykazać się już przy staraniach dobrą znajomością niemieckiego, podczas gdy inni uczeni mogą w podobny sposób władać angielskim, a dopiero po przyznaniu stypendium dopełniać wykształcenie lingwistyczne. Fundacja ponosi bowiem koszty 2-4 miesięcznego, intensywnego kursu językowego, prowadzonego w Goethe-Institut w kilkudziesięciu ośrodkach na terenie RFN (dotychczas w obozie komunistycznym Goethe-Institut nie ma ani jednego przedstawicielstwa, podczas gdy w wolnym świecie już prawie w każdym kraju). Kandydat wypełnia test kontrolny załączony do wniosku o stypendium, a po przybyciu do wskazanego Goethe-Institut przechodzi jeszcze jeden egzamin pisemny. W zależności od wyniku otrzymuje przydział do jednej z siedmiu hierarchicznie ustawionych grup (3 dla początkujących, 3 dla średnio zaawansowanych, 1 dla zaawansowanych). Kilka miesięcy intensywnej nauki w wymiarze 25-30 godzin tygodniowo daje stypendyście rzetelne podstawy gramatyczne i możliwość porozumiewania się, a osobnikom zdolniejszym nawet możliwość lektury tekstów naukowych czy literackich. Wedle opinii stypendystów, nie tylko Polaków, kurs językowy stanowi dobre wprowadzenie w codzienność dzisiejszej

Bundesrepublik, ośmiela cudzoziemca do rozmowy, zmusza też do śledzenia prasy. Dla przybysza z PRL różnice w standardzie życia codziennego są już tak wielkie, że przystosowanie do tutejszej cywilizacji wymaga co najmniej tygodni. Toteż okres studiów w Goethe-Institut zbiega się korzystnie właśnie z trudnym wrastaniem w nowoczesną tkankę społeczną.

Wróćmy jednak do liczb i do historii Fundacji. W roku 1963 o stypendium Humboldta ubiegało się 733 naukowców z czego wybrano 308 kandydatów. W tym czasie, łącznie z wnioskami o przedłużenie, goszczono 401 stypendystów z 51 krajów, przy czym najczęściej pojawiali się na liście Japończycy, Jugosłowianie, Hindusi. Od początku, tzn. od lat 50-tych, wśród stypendystów przeważali mieszkańcy krajów nieeuropejskich, a z Europy — krajów uboższych (Grecja, Hiszpania, Turcja). Obecnie przyznaje się rocznie ponad 400 stypendiów oraz dodatkowo 530-550 przedłużeń.

Początkowo rytm kalendarzowy Fundacji Humboldta był ściśle związany z rytmem roku akademickiego. Oznaczało to, że stypendium można było rozpocząć na początku semestru. Od tej zasady odstąpiono dopiero w połowie lat 60-tych i dzisiaj pracę badawczą stypendysta może zacząć, ukończywszy kurs językowy w Goethe-Institut, w dowolnym momencie, jak również ma prawo — po uzgodnieniu ze swym opiekunem naukowym — przerwać stypendium czy rozłożyć je na kilka odcinków. Fundacji chodzi o to, by w stosunku do uczonych nie wywierać żadnego biurokratycznego nacisku, zostawiając wszystkim wolną rękę i czas do badań. Jednak uprasza się zarazem o przesyłanie dla „Bibliographia Humboldtiana” publikacji, które powstały w czasie lub dzięki stypendium². Nie ma natomiast obowiązku pisania sprawozdań, będących zmorem naukowców uczestniczących w tzw. „badaniach węzłowych” czy na Wschodzie, czy na Zachodzie.

Pomysłodawcom Fundacji zależy też na tworzeniu wspólnoty uczonych, na towarzyskiej wymianie zdań. Wiadomo, że wobec rosnącej specjalizacji i wobec nadmiaru informacji, nawet dobry fachowiec bardzo mało wie o kolegach, którzy pracują w tym samym instytucie naukowym czy uniwersytecie. Zespoły badawcze liczą dziś zazwyczaj kilka osób; w rzeczy samej naukowiec pozostaje samotnikiem. Fundacja Humboldta zorganizowała już

2. W najnowszym numerze *Alexander von Humboldt-Stiftung — Bibliographia Humboldtiana 1986*, Bonn 1987, str. 256, za jeden tylko rok odnotowano 1.754 publikacje stypendystów Humboldta; 294 ogłoszone przez profesorów, laureatów naukowej nagrody Fundacji oraz 150 publikacji przez uczestników programów specjalnych. Warto podkreślić, że teksty ukazują się z reguły w najlepszych, światowych czasopiśmie fachowych i że współautorami są często uczeni niemieccy.

w 1955 roku pierwsze doroczne spotkanie dla wszystkich stypendystów aktualnie pracujących w RFN. Zwyczaj ten przyjął się i rozwinął, skutkiem czego są dwa kilkunniowe zjazdy stypendystów: pierwszy gromadzi tych, którzy rozpoczynają właśnie badania, drugi — rodzinny — przypada zawsze w miesiącach letnich i połączony jest z poznawaniem ośrodka uniwersyteckiego w Bonn. Stypendyści, podejmowani przez Fundację, zasiadają kolejno w grupach: narodowych, specjalistycznych, wreszcie związanych z jednym miejscem pracy w RFN. Dzięki takiemu przemysłnemu przemierzaniu pojawia się dość okazji, by nawiązać znajomości, czasem trwałe przyjaźnie, a także uświadomić sobie, kto i nad czym pracuje w najbliższym otoczeniu. Urozmaiceniem owych zjazdów (*Tagungen*) jest wykład prowadzony przez wybitnego specjalistę oraz spotkanie w stolicy z władzami Bundesrepublik.

Również w latach 50-tych zrodził się pomysł, aby stypendyście po ukończeniu pracy ufundować dodatkową — trwającą obecnie trzy tygodnie — podróż po całej Republice Federalnej oraz Berlinie Zachodnim. Impreza cieszy się uznaniem obcokrajowców, tym bardziej, że przewiduje się nieodpłatny udział współmałżonka. „Podróż Humboldta”, jak ją niektórzy nazywają, przynosi mnóstwo wrażeń i daje ogólne pojęcie o stanie gospodarki niemieckiej, wybitniejszych ośrodkach kulturalnych, perspektywach społecznych i — co niebagatelne — także ekologicznych tego stosunkowo niewielkiego państwa (2/3 obszaru dzisiejszej Polski przy ok. 60 mln ludności). Stypendyście z PRL uświadamia przepaść cywilizacyjną, jaka otwiera się pomiędzy gospodarką zrównoważoną, dostatnią, harmonijnie się rozwijającą a komunistycznym systemem wiecznej improwizacji, ciągłego kryzysu wytwórczego, biorącego się z bezsensownego uideologicznienia sfery produkcyjnej. Ponadto każdy trzeźwy Polak, szczególnie zaś biolog czy medyk, przez porównanie dostrzega natychmiast ogromne zniszczenia w polskiej przyrodzie, wynikłe z rabunkowej gospodarki (immanentna cecha kolektywizmu), nikłej świadomości społecznej i typowej dla naszej nacji lekkomyślności.

Spotykani w czasie podróży rodacy — zatrudnieni w miejscowych firmach — potrafią doskonale pracować, ujawniają ogromne talenty organizatorskie, okazują się nie mniej przedsiębiorczy od Niemców. Z tego wypływa dość oczywisty i właściwie optymistyczny wniosek: gdyby nam zostawiono w kraju wolną rękę, rynek zostałby dźwignięty — dzięki zwalczanej przez kolektywistów prywatnej inicjatywie — w ciągu kilku, najwyżej kilkunastu lat. Największym, nienaruszonym socjologicznie kapitałem Polski — o czym pisał w 1918 roku Stefan Żeromski — jest właśnie młode i najmłodsze pokolenie Polaków, mające dość energii intelektualnych i fizycznych, by przebudować stosunki produkcyjne w swym kraju. Sytuacja się powtarza. Nie trzeba się

tak obezwładniać pisaniem w kółko o kryzysach i katastrofach, w czym gustuje dziś prasa krajowa, ale raczej stworzyć społeczeństwu istotne swobody, umożliwiające twórczość ekonomiczną. Kto ogląda Zachodnie Niemcy i niespieszną rzetelność tamtejszej ekonomii, ten zaczyna sobie uświadamiać, że „propaganda klęski” uprawiana dziś przez prasę jest również rodzajem zniewolenia, jak niegdyś gierkowska propaganda sukcesu. Tymczasem Polsce trzeba wolności, działań rzeczywistych, a mniej czczej pisaniny i bezowocnych dyskusji.

Wróćmy do inicjatyw Fundacji Humboldta. Kontakty naukowe ze Wschodnią Europą nawiązano dopiero przy końcu lat 50-tych, tylko z Jugosławią już od 1954 roku. Stypendyści z Polski — z uwagi na sytuację polityczną — po raz pierwszy pojawili się nielicznie w 1959; do początku lat 70-tych polsko-niemiecka wymiana naukowa rozwijała się opornie. W roku 1973 Polska zajmowała 13-te miejsce pod względem ilości stypendystów, ale właśnie w tymże roku zaczęły się tak gwałtownie sypać wnioski o przyznanie stypendium, że nasz kraj rychło dźwignął się na jedno z czołowych miejsc, ustępując dziś jedynie USA, Japonii, a uczestnicząc w Fundacji Humboldta statystycznie na równi z ogromnymi Indiami³. Wespół z Chińską Republiką Ludową i wymienionymi krajami należymy do pięciu największych państw, z których rekrutuje się więcej jak połowa ogólnej ilości rokrocznie przyznawanych stypendiów. Skrupulatni Niemcy wyliczyli również, że do roku 1983 ubiegało się o stypendia Humboldta łącznie 1.475 Polaków, z czego pozytywnie rozpatrzone 38 % podań.

Polacy nie tylko otrzymują pomoc, ale także — co ważne dla strony fundującej — czynnie współtworzą naukę niemiecką. Widoczne jest to szczególnie w biologii, fizyce, medycynie. Polscy fachowcy są wysoko cenieni, niejednokrotnie przedłuża im się pobyty, a uczelnie goszczące przeznaczają na badania laboratoryjne dodatkowe fundusze. Polacy wypracowują nowe technologie, nawiązują kontakty na wiele dalszych lat, a więc zdobywają dostateczne kwalifikacje by — w korzystniejszej sytuacji politycznej w Polsce — przenieść swe doświadczenia do przemysłu, szpitali i laboratoriów krajowych. Można twierdzić, że w ciągu minionych 34-rech lat za pieniądze podatnika niemieckiego wykształcono więcej jak 500 młodych uczonych. Ci, po dojściu w Polsce do samodzielnych stanowisk naukowych, będą w widoczny sposób wpływać na strategię badawczą i gospodarczą w następnych dekadach.

3. Wedle najnowszych danych, opublikowanych w roczniku *Alexander von Humboldt-Stiftung — Jahresbericht 1986*, Bonn 1987, str. 128, Polacy w tymże roku osiągnęli pierwsze miejsce jako stypendyści: pracowało 161 badaczy.

Dość niezwykle jest podział specjalności w obrębie przyznanych stypendiów. Jeśli w roku 1983 udział humanistów odpowiada przeciętnej statystycznej (29 %), to niezwykle wysoki jest udział inżynierów (20 %). Oznacza to, że wysyłamy dwukrotnie więcej tych ostatnich na studia zagraniczne niż inne kraje świata, nawet rozwijające się. Ustępujemy w liczbach bezwzględnych tylko Japonii oraz Indiom. O ile wiedza inżynierska jest na Zachodzie ceniona i wdrażana w przedsięwzięcia przemysłowe, o tyle w kraju — na skutek wadliwej siatki płac i liczej organizacji produkcji — talenty inżynierskie marnują się. Wielu wybitnych studentów po prostu wyjeżdża pracować poza obozem komunistycznym, więc w warunkach niekolektywistycznych, w których twórcza myśl ludzka zostaje doceniona i przyczynia się do rozwoju produkcji. Polski inżynier, zatrudniany na stanowisku państwowym, często pobiera uposażenie niższe od podległego mu, niewykwalifikowanego robotnika, natrafia na bezmyślność czy nawet zawiść biurokracji, nie może doczekać się urzędystwistnienia swych pomysłów. W budownictwie na przykład trzeba wręcz mówić o ustawicznym naruszaniu praw autorskich architekta czy specjalisty od budownictwa lądowego (w tych dziedzinach prawa twórcy nie są niczym gwarantowane, trudno więc dziwić się rozczarowaniom projektantów, którzy nie zdołali obronić wsi polskiej, miast i miasteczek przed zalewem tandetnego funkcjonalizmu).

Przyrodnicy polscy stanowią 51 % stypendystów Humboldta (do tej grupy zalicza się też farmaceutów i lekarzy). Pomiedzy humanistami przeważają historycy, których zadaniem jest — wedle zamierzeń Fundacji — m.in. badanie wzajemnych stosunków sąsiedzkich w ciągu minionego tysiąclecia i wydobywanie na światło publiczne tych epizodów, które świadczą także o wzajemnej, rzeczywistej współpracy i burzą stereotyp Niemca jako „odwiecznego wroga” (stereotyp często lansowany, *nota bene*, przez nierozumną i krótkowzroczną telewizję czy propagandę oficjalną). Znaczną wagę ma także historia najnowsza. Chodzi o bezstronne naświetlenie konfliktów w minionym stuleciu, wyjawienie punktów drażliwych, a więc usunięcie — po obu stronach — uprzedzeń czy zadawnionych urazów.

Jeśli Europa ma przetrwać i odgrywać w przyszłym świecie znaczną rolę, winna być Europą państw zaprzyjaźnionych, budujących na fundamencie solidarności. Ta myśl najwyraźniej przyświeca Fundacji Humboldta, wspierającej tych szczególnie, którzy próbują „dogonić” czołówkę światową i przecierają w tym celu własne drogi. Polska również znalazła się w grupie krajów zapóźnionych. Winę tu ponoszą w jakiś sposób Niemcy, którzy spowodowali zmianę politycznej mapy Europy, zmianę szczególnie niekorzystną dla państw, które znalazły się w cieniu Rosji. Obec-

na, wielostronną pomoc dla Polski — nie tylko stypendia, ale udzielanie kredytów, technologii, pomocy rzeczowej — rozumieć trzeba jako wyraz zadośćuczynienia, szukanie rzeczywistego pojednania z sąsiadem, któremu wyrządziło się w przeszłości ogromne szkody. Biuletyny Alexander von Humboldt-Stiftung nie wspominają o tej ostatniej przesłance, która bez wątpienia sprawia, że właśnie Polacy są tak licznie wspierani przez naukę niemiecką.

Mecenat naukowy Humboldta nie tylko podtrzymuje szeroko rozumianą „towarzystwość”, która w świecie dzisiejszym skutecznie zapobiega anonimowości i alienacji uczonych. Mamy do czynienia również z mecenatem rodzinnym. Oznacza to, że regulamin stypendium zezwala na zaproszenie rodziny — wyjąwszy okres inicjacji, czyli kursu językowego w Goethe-Institut. Badacz ma możliwość zaznajomienia swych najbliższych z kulturą niemiecką, wysłania dzieci do szkoły na kilka miesięcy. Dla wielu osób, szczególnie kobiet, których udział w nauce ciągle rośnie, możliwość obcowania z rodziną jest często *conditio sine qua non* spokojnej pracy własnej. Potwierdzają to rozmowy nie tylko z Polkami, lecz i z Amerykankami czy Francuzkami. Dla niepracującej żony (męża) Fundacja przewiduje miesięczny zasiłek w wysokości 400 DM, potomstwo otrzymuje zasiłek rodzinny, taki sam jak każda rodzina niemiecka (50 DM dla dziecka pierwszego, 100 DM dla drugiego, 220 DM dla trzeciego, 240 DM dla czwartego i każdego następnego).

W tym miejscu trzeba ten przejrzysty obrazek nieco zamącić, dodając, że mieszkania są wynajmowane w RFN po wysokich cenach; pełny czynsz miesięczny pochłania ok. 30 % wpływów, szczególnie jeśli wynajmuje się większe mieszkanie rodzinne. Gnieźdzenie się w warunkach prymitywnych — w czym Polacy celują, licząc skwapliwie każdy fenig — uniemożliwia pracę badawczą i właściwy wypoczynek po intensywnym dniu. Wysokie są również koszty ubezpieczenia lekarskiego dla członków rodziny. W najtańszym biurze asekuracyjnym, działającym przy *Deutscher Akademischer Austauschdienst* (DAAD) w Bonn, miesięczne stawki wyglądają następująco: mężczyźni 69 DM, kobiety 125 DM, każde dziecko do 18 roku życia 53 DM. Nauka dziecka w szkole niemieckiej wymaga od rodziców dodatkowego wysiłku intelektualnego: trzeba pomagać w odrabianiu zadań, przypominać sobie wiele zapomnianych wiadomości, polepszać własną znajomość i języka, i kultury. Słowem, douczać się i to dość intensywnie.

Przeprowadziłem wywiady z kilkoma polskimi rodzinami „od Humboldta”. Okazuje się, że szkoła polska — mimo nieporównanie gorszej sytuacji finansowej — zapewnia pracowitemu uczniowi, kontrolowanemu przez rodziców, dość rzetelną wiedzę z zakresu nauk przyrodniczych i historii; polski program naucza-

nia matematyki i fizyki przerasta nawet i wyprzedza odpowiedni program szkół niemieckich. Niewątpliwe talenty językowe sprawiają, że mali Polacy niezwykle prędko i na ogół bez psychicznych oporów wrastają w obce klasy, nawiązując z Niemcami dobre kontakty.

Trzeba podkreślić, że właśnie tego rodzaju codzienne współdziałanie, zwykła, normalna styczność buduje najtrwalszy fundament szeroko rozumianego dialogu polsko-niemieckiego i stosunków prawdziwie dobrosąsiedzkich. Jeśli bieg wypadków politycznych nie podzieli znowuż Europy na „wrogów” i „przyjaciół”, można przewidywać, że dzisiejsze zbliżanie się intelektualistów wyda owoce w przyszłości, także w pokoleniach dzieci czy wnucząt. Paradoksem jest, że Polacy nie mają możliwości nawiązania podobnej, codziennej komunikacji z ościennymi Ukraińcami, Litwinami, Białorusinami oraz sąsiadami południowymi. Cywilizacja świata idzie przeciw w kierunku rozluźniania granic politycznych, tworzenia wspólnot ponadnarodowych, nawet ponadkontynentalnych, gdy tymczasem w bloku wschodnim tzw. „granice przyjaźni” jeżą się od drutów kolczastych.

Humboldt nie tylko wypłaca podstawowe stypendium, lecz także udziela dodatkowej pomocy finansowej przy podejmowaniu krótkotrwałych podróży badawczych po Niemczech i po krajach europejskich, szczególnie wtedy, gdy stypendysta udaje się na kongres z własnym referatem lub jest zaproszony jako wykładowca. Pokrywa się także koszt druku prac, powstałych w trakcie stypendium, a także — częściowo i stosownie do możliwości Fundacji — koszt wykonywania pomocniczych prac badawczych (kopiowanie publikacji, przygotowanie przezrocz, odbycie wycieczek badawczych do placówek poza miejscem pracy stypendysty). Wspomniałem już, że w podobny sposób finansowany jest kurs językowy w Goethe-Institut, sam w sobie kosztowny (ok. 800-900 DM miesięcznie), utrzymanie kursanta oraz mieszkanie dla niego.

Regulamin stypendium dopuszcza również w uzasadnionych względami naukowymi przypadkach pracę przez 6 miesięcy w niemieckim ośrodku badawczym poza RFN, ale na terenie Europy, a także możliwość badań czteromiesięcznych w jakimkolwiek europejskim ośrodku poza Niemcami. Jeśli jednak powraca się w tym czasie do kraju ojczystego, stypendium zostaje przerwane. Ważniejsze kroki i plany naukowe stypendysta winien omawiać ze swym niemieckim opiekunem, tzn. profesorem goszczącej go placówki naukowej. W ogromnej większości przypadków współpraca ta układa się bardzo dobrze i nie zamiera bynajmniej z chwilą ukończenia stypendium.

Fundacja Humboldta obserwuje bowiem z uwagą rozwój

naukowy swego podopiecznego. Najwybitniejsi byli stypendyści mogą otrzymać ponowne zaproszenie do RFN na badania — w przypadku Polski spotkało to dotąd trzech uczonych. Natomiast 146 osób otrzymało ponownie stypendium, o ile zainteresowanym pozostało coś z nieprzekraczalnego limitu 24 miesięcy. Do roku 1983 polscy stypendyści otrzymali urzędnienia badawcze — niezbędne do dalszej pracy w kraju — o łącznej wartości 2.943.515 DM oraz podarunki książkowe o wartości 212.497 DM. Te dary o wielkim znaczeniu praktycznym otrzymuje każdy stypendysta kończący swój pobyt w RFN. Trzeba podkreślić, że pomoc udzielona w tym zakresie samej Polsce jest niemal równa temu, co przeznaczono na wszystkie kraje Afryki i nieco mniejsza od tego, co otrzymały łącznie wszystkie kraje Europy Zachodniej.

Działalność Fundacji Humboldta spotyka się ze zrozumieniem na świecie. W ciągu trzydziestolecia 1953-1983 na łączną liczbę 26.238 wniosków udzielono 9.017 stypendiów⁴. Wdzięczność okazują przede wszystkim kraje azjatyckie (Japonia, Korea), dla których pomoc Humboldta oznacza ciągłe doskonalenie kadr naukowych. Z inicjatywy byłych stypendystów powstają w wielu krajach świata tzw. Humboldt-Clubs, gromadzące uczonych powiązanych w młodości z tą Fundacją. Stypendia Humboldta zacieśniły współpracę naukową z Francją i Stanami Zjednoczonymi. Uczonym z USA zafundowano specjalne nagrody naukowe w dziedzinie nauk przyrodniczych, medycznych oraz inżynierskich z wdzięczności za pomoc w ramach Planu Marshalla. Inicjatywa ta pozwoliła Niemcom Zachodnim osiągnąć dobrobyt nieznanym jeszcze w historii. Rząd Japonii od roku 1972 zdecydował się udzielać wszystkim swoim obywatelom poparcia przy odbywaniu stypendium Humboldta. Polega to na pokrywaniu przez rząd wysokich kosztów podróży, wcześniej obciążających budżet Fundacji. Śladem Japonii poszło szereg innych nieeuropejskich krajów, dzięki czemu można było powiększyć liczbę przyznawanych stypendiów. Ponadto Japonia zaproponowała młodym uczonym niemieckim pobyty badawcze u siebie. W tej chwili można mówić o ścisłych, wielostronnych kontaktach naukowych pomiędzy obu krajami.

Rząd polski w znacznie skromniejszym wymiarze rewanżuje się Niemcom, w szczególności zaś Fundacji Humboldta. Tymczasem dla wielu młodych Niemców współczesna Polska jest krajem ciekawym, nieznanym, ale trudno dostępnym — głównie z powodów wizowych i wysokich opłat dziennych (obowiązkowa wymiana dewiz). Toteż wydaje się, że w tej dziedzinie dużo można by uczynić bez większych wkładów finansowych, a tylko poprzez

4. Objęto nimi obywateli 90 państw.

decyzje administracyjne pozwalające na tworzenie na przykład Klubów Humboldta, ułatwienie podróży po Polsce, rozwinięcie stypendiów dla cudzoziemców, ulgi w obowiązkowej wymianie dewiz.

Na koniec kilka słów o budżecie Fundacji Humboldta. W ciągu trzydziestolecia 1953-1983 wpływy wyniosły około 469 mln marek, przy czym 92,3% pochodziło ze skarbu państwa, reszta zaś ze środków Związku Fundacji Nauki Niemieckiej (*Stifterverband für die Deutsche Wissenschaft*, z fundacji Fritza Thyssena, Volkswagenwerk, Alfreda Kruppa, Roberta Boscha i innych. 2,5 mln marek przekazał zapisem testamentalnym były stypendysta Humboldta, Amerykanin Hezekiah C. Wardwell, zmarły w 1964.

Dla wszystkich swych stypendystów Humboldt opracował dwujęzyczny poradnik, dotyczący przebiegu stypendium. Jest to nieoceniona pomoc przy oswojaniu się z cywilizacją zachodnio-niemiecką, a szczególnie z tutejszymi urzędami i pewną, czasem uciążliwą, biurokracją. Wydaje się, że do regulaminu stypendium należałoby wprowadzić wyższą granicę wieku dla kobiet, które — z racji obowiązków macierzyńskich — startują w nauce z 10-letnim zazwyczaj opóźnieniem. Dotąd kobiety stanowią 8,3% wszystkich stypendystów i pochodzą głównie z USA, Polski, Jugosławii, Bułgarii i Turcji.

Józef Wojciech GADOMSKI

Ostatni kapista

Już tyle pisałem o kapistach, którzy obrośli górą anegdot (nie zawsze przyjaznych) i ćwierć legendą, jak każda legenda nieściana. Chciałbym zamknąć pisanie o nich hołdem przyjaźni jednemu z filarów tej grupy — Hannie Rudzkiej-Cybisowej, która tego roku kończy 90 lat i dostała nareszcie wielką nagrodę Jurzykowskiego z Ameryki. Wiem przez niedyskrecję, że wielokrotnie wysuwana, coraz to sama się wyrzekała, by nagroda szła do młodych.

Dawno już przywykłem do swojej starości, ale buntuję się, kiedy razem ze mną starzeją się moi przyjaciele. Hankę widzę do dziś, jak w najcięższych naszych tarapatkach paryskiej epoki

co dzień jechała do Luwru, by tam kopiować przeważnie Corota, którego przesyłała później do Polski, gdzie zawsze znajdowała nabywców. Po godzinach Luwru widziałem ją powracającą szarą ze zmęczenia i często wymarzną, bo Luwr nie zawsze był dobrze opalany. Wracając by przygotować posiłek swemu mężowi, o którym mówiliśmy, że zwykle leży na kanapie i myśli. Nie była to przesada — Jana Cybisa uważaliśmy wtedy obok Waliszewskiego za jednego z głównych twórców kapizmu. Myślowymi twórcami byli właśnie Cybis i Waliszewski, którego bogaty talent nie zagłębiał się w żadne teorie i który równocześnie gotów był malować świetne martwe i włoskie uczy renesansowe.

Chciałbym się zastanowić, na czym polegała sztuka Hanki Cybisowej — kapistki najwierniejszej nie tylko malarstwu jej męża, ale i nas wszystkich. Wszyscy byliśmy wtedy zakochani w budowaniu obrazu kolorem. Jednym z wielkich malarzy, który wpłynął na nas wszystkich był Bonnard. Pamiętam, że paleta Bonnarda miała czasami dwa centymetry wysokości. Bonnard nienawidził ścierać farby z palety, bo w tych wypadkowych zestawieniach kolorystycznych na palcu odkrywał coraz to nowe kombinacje barwne, które później tworzyły podstawy jego wielkiego malarstwa, gdzie każde płótno zdawało się nowym odkryciem.

Jeżeli dzisiaj myślę o malarstwie Hanki Cybisowej, zdaje mi się, że wyróżniała się wśród nas czujnym i pewnym zmysłem nie tylko koloru, ale i waloru, który wszyscy nieraz lekkomyślnie lekceważyliśmy na rzecz koloru. To poczucie waloru u Hanki Cybisowej pozostało równie żywotne aż do jej prac ostatnich; podejrzewam, że wrosło ono w jej malarstwo przez długie obcowanie z Corotem. Dlatego może obrazy jej mają zawsze taką samą równowagę i może dlatego były w Polsce kupowane najpierwsze i może najbardziej cenione. Hanka kopiowała arcydzieła Corota, które wiszą w Luwrze, a także w Petit Palais. Nosi ona w sobie nie tylko testament kapistów, ale i testament Corota. Mam pokusę zakończyć tę notatkę drobnym wspomnieniem. Nasz wspólny przyjaciel, jej i mój — Andrzej Wajda (niewiele osób o tym wie) — był kilka lat uczniem Cybisowej na Akademii Krakowskiej (przez siedem lat była profesorem w tejże Akademii, przez którą wszyscy przeszliśmy). W pewnym momencie Wajda opuścił malarstwo, by stać się jednym z najślawniejszych twórców kina i teatru. Spytano go kiedyś: „Dlaczego pan rzucił malarstwo dla filmu?”. A on odpowiedział — naturalnie żartem: „Nie chciałem całe życie malować tylko śledzia na talerzu”. Powtórzyłem tę *boutade* Hance. Czułem, że ją zasmuciłem i powiedziała mi po chwili milczenia: „Czy on nie rozumiał, że te nasze martwe natury były tak ważne, bo chodziło nam o wyrwanie malarstwa polskiego z tak częstego w Polsce malarstwa, które nie było malarstwem, ale opowiadaniem literackim?”. I dodała: „Przecież to było u nas czymś — tu się zawahała — w rodzaju zakonu”. Myślę, że Hanka wyraziła coś, co nas wszystkich łączyło wbrew różnicom, wbrew swarom. Że ta trudna epoka, w której się związaaliśmy, przydała się Polsce, choć na wte-

dy atakowano, że francuziejemy, zdradzając polską tradycję. Ta grupa jednak dała Polsce paru malarzy tej miary co Jan Cybis, Waliszewski, Hanka Rudzka-Cybisowa, a w końcu świetną i błyskotliwą niespodziankę — Potworowskiego. Nagroda, którą otrzymała dzisiaj Hanka Cybisowa, jest nagrodą dla jej malarstwa, ale też dla jej roli, cichej a znacznej, w naszym zespole.

Józef CZAPSKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzić
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

STODIECK'S BUCHHANDLUNG & GALERIE

Blisko 400 tytułów w ciągłej sprzedaży — w tym
90 znacznie przecenionych.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie na życzenie.

Stodieck's Buchhandlung,

Richard-Wagner-Str. 39. D-1000 Berlin 10.

Tel.: (030) 341 10 40

Ci, co odeszli

Pamięci przyjaciela

Umarł Wiktor Niekrasow. Miał siedemdziesiąt sześć lat. Kilka miesięcy temu myślałem o jego wieku. Przeszedł do mnie, żeby jak zwykle pogadać o wszystkim i o niczym, i nagle powiedział: Wiesz, jakoś mi się już nie chce więcej podróżować. Zaniepokoiłem się. Łaknął podróży jak żaden inny rosyjski pisarz, chciał widzieć wszystkich i wszystko. Pomyślałem sobie: czyżby wiek dogonił niestrudzonego, przyjaznego całemu światu Wikę? Okazało się, że dogoniła go śmiertelna choroba.

Umarł pisarz i wypadałoby mówić o jego książkach. Nie dość się o nich mówiło i pewien jestem, że długo jeszcze i dużo będzie się rozmyślać o spuściznie literackiej Wiktora Niekrasowa. Ledwie ogłoszono *glasnost* i konająca od zastoju literatura sowiecka zwróciła się w poszukiwaniu świeżej krwi ku dawno zmarłemu pisarzom — zakazanym i represjonowanym — zaraz wspomniano i „W okopach Stalingradu”. Po śmierci pisarza ukazał się w *Moskowskich nowostiach* nekrolog, podpisany przez Grigorija Bałkanowa, Bułata Okudżawę, Wiaczesława Kondratiewa i Władimira Łakszyna. Wiktor byłby zadowolony i spierałby się z mną, lekceważąc fakt, że za możliwość opublikowania nekrologu jego przyjaciele zapłacili kłamstwem: „Utwory napisane na emigracji nawet z czysto artystycznego punktu widzenia nie dają się porównać z tymi, które powstały w ojczyźnie”. Wiem, że Wiktor by się z mną spierał, nie tylko dlatego, że chciał mieć nadzieję na lepsze jutro, ale też dlatego, że wiele przyjaciółom wybacział. W ostatniej swej książce, „Małej smutnej powiastce”, napisał: „Okazało się, że najważniejsi w życiu są przyjaciele... Dla jednego pieniądze, kariera, sława, a dla mnie — przyjaciele...”. Przyjaźń jako warunek istnienia człowieka. I wolność.

Życie Wiktora Niekrasowa zmieniło bieg w 1946 roku. Do tego czasu zdążył ukończyć wydział architektury w rodzinnym Kijowie, być aktorem, dosłużyć się na wojnie stopnia kapitana (do-

wodził oddziałem saperów). Po Stalingradzie (czterdzieści lat później wycięto mu odłamek pocisku, pamiątkę stalingradzkiej bitwy) napisał książkę. Ukazała się w miesięczniku *Znamia* i poruszyła czytelników autentyzmem uczuć i prawdą opisów. Dziwne wydawało się, że „Stalingrad” ukazał się w czasopiśmie. Potem wyszedł w książce, zatytułowanej — pod naciskiem cenzury — skromniej, „W okopach Stalingradu”. Po czym niespodziewanie „Okopy”, przyjęte przez krytykę bardzo chłodno, dostały nagrodę stalinowską. Wiadomo, że nagrodę przyznano Niekrasowowi na osobiste polecenie Stalina. Wódz, który dawno już wyżył się atrybutów rewolucyjnej przeszłości, przemianował armię z czerwonej na sowiecką, zamienił Międzynarodówkę na hymn na swoją cześć, znalazł w powieści Niekrasowa opis armii, żołnierzy, którzy walczą, umierają i zabijają nie myśląc o polityce, nie szermując gromkimi patriotycznymi frazesami. W danej chwili takie uczucia były towarzyszowi Stalinowi potrzebne. Wiktor Niekrasow został członkiem Związku Pisarzy, o co wcale nie prosił, zaczęto go wybierać do wszelkich możliwych instancji. Zaczęło się kuszenie sławą, pieniędzmi, honorami. Najdziwniejszy w tym jest fakt, że „W okopach Stalingradu”, powieść wydawana w milionowych nakładach, obowiązkowa lektura szkolna, nie tylko była naprawdę kochana przez czytelników, ale po dziś dzień jest najlepszą współczesną książką o wojnie.

Pisarz nie był obojętny wobec swych dobroczyńców. Pokusa była wielka. Z właściwą sobie bezlitosną prawdomównością Niekrasow napisał w jednej ze swych ostatnich książek: „Tak, siedziałem z nimi za jednym stołem. Z szulerami za jednym stołem. I chęptałem z ich miski...”. Pewnego przepięknego dnia (jak inaczej go nazwać?) Wiktor Niekrasow rzuca wszystko w diabły — sławę, pieniądze, kompanów od butelki i licznych przyjaciół. Występuje na wiecu w Babim Jarze, wyjawia straszną tajemnicę: tysiące zamordowanych przez hitlerowców i zrzuconych do zbiorowej mogiły ofiar — kobiet, dzieci, starców — było Żydami. Następuje wyrzucenie z partii i Związku Pisarzy, rewizje. Wiktor Niekrasow nie chce się sobie sprzeniewierzyć, opuszcza rodzinne miasto, potem rodzinny kraj. Była to przełomowa decyzja w jego życiu.

Do ostatniej książki Niekrasowa napisałem przedmowę, w której starałem się wyjaśnić, dlaczego emigrował. Wspominam o tym, bo Wiktor czytał tę przedmowę i nie zaprotestował przeciwko mojemu wyjaśnieniu. Cytowałem pisarza, którego obydwaj bardzo lubiliśmy, Wasilija Szukszyna. W powieści Szukszyna „Przyszedłem, żeby dać wam wolność” Stiepan Razin tłumaczy swojemu bratu Frołowi: „Ty, Froł, jesteś rab... Jeszcze siedziałeś matce na kolanach, a już byłeś maleńkim rabem. Rabskie są twoje myśli, chociaż wydają się słuszne. Są słuszne, ale są rabskie. Innych nie znasz”. A Wiktor Niekrasow znał. On nie był rabem. Swą wewnętrzną wolność zawdzięczał przede wszystkim rodzinie. Przyszli biografowie opiszą rolę matki — rosyjskiej inteligentki w najlepszym sensie tego słowa. W dzieciństwie, w młodości, w domu przyszły pisarz nasiąknął uczuciami, które nie

pozwołyły mu utonąć w mule sowieckiego wychowania, zamienić się w „wybitnego pisarza sowieckiego”.

W rozmowach o życiu i losie pisarza-emigranta Wiktor Niekrasow, wielki amator kolokwializmów, często wspominał zawodową radę, jakiej udzielała swym podopiecznym pewna właścicielka domu publicznego: Grunt, to nie wiercić się pod klientem! Niekrasow trzymał się tej zasady: nie wiercił się pod klientem, zawsze, we wszystkich okolicznościach zachowywał się godnie, jak człowiek wolny. Niewielu sowieckich pisarzy, którzy pozostawili za plecami sowiecką granicę, mogłoby powtórzyć za Niekrasowem: Błogosławię dzień, w którym wsiadłem do samolotu w Boryspolu, by trzy godziny później wylądować w Paryżu. „Potrzebuję wolności — pisał — i tu ją zdobyłem. Czy tęsknię za domem, za przeszłością? Tak, tęsknię. Nawet bardzo”.

Wolność, możliwość obejrzenia świata zrekompensowały Niekrasowowi straty. Na emigracji mógł pisać, co chciał. Swoją twórczością obalał słynny dogmat sowiecki, że pisać można tylko w swoim kraju. Tytuły jego dwóch pierwszych książek wydanych na Zachodzie pokazują, czym autor „W okopach Stalingradu” wybija się ze współczesnej literatury rosyjskiej. Tytuły brzmią: „Zapiski ziewaki” i „Spojrzenie i coś tam jeszcze”. Pisarz podkreśla, że patrzy. Chciał widzieć świat, różne kraje, kontynenty, ludzi. Wszystko go interesowało: Australia i Hiszpania, Hawaje i małe francuskie miasteczko Collure, Japonia i Norwegia. I naturalnie stolica świata, Paryż. Przyglądał się, jak inni jedzą i śpią, jak się ubierają i chodzą, jak się cieszą i jak rozmawiają. Obcy w obcych miastach, wszędzie czuł się u siebie, jak człowiek wśród ludzi. Często mówił: dlaczego u nas tego nie ma, jaka szkoda, że tego nie znamy, jaki wstyd, jak przykro. Ale nie znajdzie się w jego opisach ani w jego rozmowach wiecznych sowieckich kompleksów.

Rosjanin urodzony na Ukrainie, Wiktor Niekrasow był wśród ludzi, z którymi się zetknąłem jednym z bardzo nielicznych, dla których narodowość rozmówcy nie miała najmniejszego znaczenia. Brak jakiegokolwiek skazy nacjonalistycznej, życzliwość dla ludzi, niewyczerpana ciekawość to cechy wolnego człowieka. Dla tego też był dobrym pisarzem.

Jurij Dombrowskij zatytułował swoją ostatnią powieść „Fakultet zbędnych przedmiotów”. Miał na myśli uczciwość, czułość, wierność. Wiktor Niekrasow zajmuje w literaturze rosyjskiej miejsce szczególne: był i pozostanie kierownikiem katedry przyjaźni i wolności na „fakultecie zbędnych przedmiotów”. Starożytni Rzymianie mówili: póki tchu, nie traćmy nadziei. Wiktor w swoich książkach-listach pisał: Póki przyjaźni, nie tracę nadziei.

Książki Wiktora Niekrasowa będą czytane długo, długo po tym, jak umrą wszyscy jego przyjaciele. Książkami tymi i po śmierci zdobędzie sobie nowych.

Michał HELLER

wiedzialność, jaka spadła na niego wraz z rozwojem brzemien-nych dla całego społeczeństwa wydarzeń. Gdy ochłonął z pierwszego wrażenia po wiadomości o wojnie, którą junta wojskowa wypowiedziała narodowi, ogarnęło go przerażenie na myśl, co go teraz czeka. Ta niewdzięczna funkcja, nie odpowiadająca jego predyspozycjom psychicznym i zainteresowaniom, przerosła nagle wszelkie wyobrażenia.

„Zrozumiałem, że odtąd będę odpowiedzialny za godność owej kultury polskiej, która w oczach władz warta jest tylko półtora procent budżetu państwa, a od której zależy cała przyszłość narodu. Co robić? Jak sprostać takiemu brzemieniu? Nagle poczułem wielką ulgę. Pomyślałem o tych wszystkich mądrych, uczciwych i odważnych ludziach, wśród których przyszło mi przeżywać to doświadczenie. Nie byłem samotny”.

Książka Szczepańskiego jest więc nie tylko rzetelnym dokumentem, przynoszącym istotne informacje o ostatnich latach ZLP, w których Zarząd Główny, wybrany po raz pierwszy w tak demokratyczny sposób na Walnym Zjeździe zwołanym pod koniec grudnia 1980 roku, nieustannie potykał się z partyjną władzą i jej gorliwymi poplecznikami. Przede wszystkim jest ona autobiografią wybitnego pisarza polskiego, który nagle stanął wobec konieczności osobistego podjęcia posłannictwa naszej literatury, konkretyzującego się w momentach dla narodu szczególnie trudnych. Napisana z pasją literacką, ale szczerze zamknięta w ramach faktografii, przynosi pełen dramatyzmu obraz ścierania się dwóch koncepcji kultury, dwóch całkowicie odmiennych postaw światopoglądowych. Podobny konflikt w łonie państwa totalitarnego musiał przynieść określone konsekwencje, wynikające z instrumentalnego traktowania przez władzę aspiracji społecznych. W PRL władza nie prowadzi ze swym narodem dialogu, lecz grę pozorów. Paradoxem sytuacji posierpniowej było to, że ową oczywistą wydawałoby się prawdę przyjmowano z niedowierzaniem. Wynikało to nie tyle z umiejętności przeprowadzanych przez władzę komunistyczną manewrów, co raczej z naturalnej potrzeby społecznej, by nie tracić nadziei na możliwość ewolucyjnych zmian systemu. Rychło się okazało, że rację mieli z jednej strony zdeklarowani cynicy, z drugiej — tzw. ekstremiści, podkreślający stale niereformowalność systemu. Racja pierwszych była pragmatyczna, racja drugich teoretyczna, nie mogli oni bowiem w istniejącym układzie sił zaproponować żadnej konkretnej i rozsądnej alternatywy. Pozostawała zatem nadzieja mimo wszystko, nawet w warunkach stanu wojennego, nawet w sytuacji, gdy kryzys gospodarczy i społeczny pogłębił się, a deklarowana stale przez władzę, która nie zrezygnowała z kamuflażu, samorządność różnych instytucji stała się już tylko szyldem.

Sytuacja ZLP wpisana była w kontekst toczącej się w sposób

Książki

Nowości literatury krajowej

Non possumus

W literaturze polskiej ostatnich lat coraz wyraźniej i ciekawiej rozwija się nurt autobiograficzny. Sporo książek z tego nurtu ukazało się na przełomie lat 1986 i 1987, zarówno w oficynach niezależnych, jak i państwowych. Największe zainteresowanie wzbudziła *Kadencja* Jana Józefa Szczepańskiego¹, co znalazło wyraz, o dziwo, również w oficjalnych środkach masowego przekazu. Co prawda partia komunistyczna zorganizowała nagonkę prasową, którą rozpoczął artykuł K. Koźniewskiego w *Trybunie Ludu*, ale już sam fakt takiej „polemiki” z książką wydaną poza cenzurą stwarza precedens, sankcjonując istnienie drugiego obiegu kultury.

„Mimo wszystkich doznanych rozczarowań nie chcieliśmy zrezygnować z nadziei. W tej nieustannej szamotaninie zdarzały się przeciecy i sukcesy”.

Ten motyw przewija się przez całą książkę Szczepańskiego, poświęconą jego jedynej, jak się okazało, i brutalnie przerwanej kadencji prezesa ZLP w okresie od 30 grudnia 1980 do 19 sierpnia roku 1983. Przeszło dwa lata potwornego napięcia psychicznego i moralnego, wymagającego niebywałego hartu ducha, zimnej krwi i niezłomnej woli trwania na straży godności własnej i środowiska, które się reprezentuje — oto doświadczenia, jakie wyniósł pisarz z tego bodaj najbardziej dramatycznego okresu w swoim życiu. To, że w końcu odniósł moralne zwycięstwo, było również zasługą kolegów i przyjaciół, z którymi dźwigał odp-

1. Jan Józef Szczepański, *Kadencja*, Oficyna Literacka 1986.

coraz bardziej bezczelny gry pozorów. Tak też przedstawił tę sytuację J. J. Szczepański, pokazując jednak, że demonstracja siły nie musi oznaczać zwycięstwa. Bowiem w świecie wartości duchowych, a tylko te są niezniszczalne, ostateczne zwycięstwo ma charakter etyczny.

„Odebrano literaturze polskiej jej autentyczną, zawodową reprezentację, ale nie zdołano jej 'znormalizować' ani pozbawić społecznego rezonansu. Przeciwnie: gwałt, który jej zadano, odnowił w niej poczucie misji — owo szczególne poczucie odpowiedzialności za etos i tożsamość kulturalną narodu. Odżył dawny stereotyp pisarza — strażnika moralnych i historycznych wartości, korumpowanych w imię doraznych, politycznych interesów”.

Walka o byt ZLP, jaką z samozaparciem i psychicznym wysiłkiem prowadził Szczepański razem ze swymi przyjaciółmi z Zarządu Głównego, przy moralnym poparciu dużej części literackiego środowiska, nie była podyktowana tylko względami pragmatycznymi. Była to walka o zachowanie indywidualnej i zbiorowej autonomii, walka o duchową suwerenność, którą na szerszą skalę prowadzili też przywódcy „Solidarności” oraz wszyscy reprezentanci opozycji, nazywani przez środki masowego przekazu „siłami antysocjalistycznymi”. Świadczyła ona o solidarności inteligencji, elity kulturalnej, z robotnikami. Autor w sposób przekonujący, choć z konieczności skrótowy, kreśli historię tej solidarności, narastania społecznego buntu, którego ważnym, ale nie ostatecznym etapem, stał się rok 1980.

Swą znakomitą książkę, obfitującą również w momenty komiczne i sceny groteskowe, jak z Mroźka, bo przedstawiane sytuacje sprawiały wrażenie absurdu, kończy Szczepański w tonie podniosłym:

„Opisane tu dzieje likwidacji Związku Literatów Polskich są historią jednego z konfliktów, jakie zmały życie Polaków w latach osiemdziesiątych. Nie jest to, zapewne, konflikt najdramatyczniejszy i najdotkliwszy, stanowi jednak wyrazisty wzorzec starcia dwóch mentalności, dwóch koncepcji roli kultury w życiu ludzkiej społeczności. Koncepcje te mają swoje metafizyczne przedłużenia. Horyzontem jednej z nich jest wizja racjonalnie zorganizowanego społeczeństwa, o którego kształcie i celach decyduje polityczna władza, mieniąca się depozytariuszką jedynie słusznej doktryny. W praktyce horyzont ten zacieśnia się do interesu samej władzy, a nawet rządzącej w danym momencie ekipy. Horyzontem koncepcji drugiej jest człowieczeństwo, postać i jakość naszego bytu na ziemi, z wszystkimi wątpliwościami, tajemnicami i wyzwaniem, jakie świadomość owego bytu niesie w sobie.

Niniejsza relacja, dotycząca losów niedużego, profesjonalnego stowarzyszenia, jest także opowieścią o dramatycznie ujawnionej sprzeczności między tymi dwiema perspektywami. *Non possumus* ostatniego Zarządu ZLP oceniać należy w takim również kontekście”.

O literackich walorach autobiografii Szczepańskiego świadczy

wiele doskonale uchwyconych w ich dramatyzmie scen (np. sceny ze Zjazdu ZLP, Zjazdu „Solidarności”, Kongresu Kultury Polskiej, którego brutalne przerwanie w mroźny grudniowy ranek stało się wręcz symboliczne), a także wiele momentów komicznych (to przeważnie sytuacje wynikające z kontaktów autora z przedstawicielami władzy). Groteskowość tych sytuacji przypomina teatr absurdu. Tylko że absurd, jaki jawi się na kartach *Kadencji*, jest bardziej ponury i przerażający, bo autentyczny. Kreacyjność okazuje się zbędna, wystarczy umiejętność obserwacji i dosadnego opisu.

Wyrazistą kreską rysuje Szczepański postacie niektórych partyjnych dygnitarzy. Najwięcej uwagi poświęcił ministrowi MSW, Kiszczakowi, z racji częstych z nim kontaktów, ale też z tego powodu, że jest to postać skupiająca charakterystyczne cechy przedstawicieli ekipy Jaruzelskiego. Pełen towarzyskiej ogłady, manifestujący dobrą znajomość polskich dziejów, chętnie interweniujący w drobnych i indywidualnych sprawach, posiada jednocześnie mentalność policjanta, który nie wierzy w możliwość spontanicznych ruchów społecznych, wyznając spiskową koncepcję rozwoju wydarzeń politycznych.

Szczepański nie jest karykaturzystą, choć lubi posługiwać się plotką, koloryzującą narrację. Ale niezwykle celnie zostali przedstawieni tacy „pisarze”, jak A. Wasilewski, Koźniewski, Nawrocki czy Lenart, którzy z zjadłą nienawiścią dążyli do likwidacji liberalnego Zarządu ZLP. Po raz pierwszy bowiem zostali definitywnie odcięci od możliwości kierowania środowiskiem literackim, a dla ich marnej twórczości niezbędne były szcudła partyjnego autorytetu. Z taką samą nienawiścią odnosili się do działaczy „Solidarności” przedstawiciele średniego i niższego aparatu partyjnego oraz administracyjnego.

Na jeszcze jeden wątek w książce Szczepańskiego pragnę zwrócić uwagę — na najbardziej newralgiczny punkt w rozmowach Zarządu z władzami i przedstawicielami partyjnego „betonu”: sprawę współpracy niektórych członków ZLP z tzw. „ośrodkami antypolskiej dywersji”, jak Wolna Europa, Instytut Literacki itd. Otóż prezes i jego koledzy opierali się mężnie naciskom, by wydać oświadczenie potępiające tych literatów oraz, by zająć „jasne” stanowisko w kwestii „wyprowadzania” literatury polskiej za granicę. I chwala im za to! Ta cena bowiem, której żądali Nawrocki i spółka za możliwość dalszej egzystencji ZLP, była ceną ponijającą.

Władze likwidując związki zawodowe i większość stowarzyszeń uzyskiwały to, czego chciały: instytucjonalną izolację opozycji, również kulturalnej. Ale wpadły we własne sidła, ułatwiły bowiem rozbięcie mecenatu nad kulturą. Od kilku lat na coraz

szerszą skalę rozwija się kultura kościelna (której nie można utożsamiać tylko z religijną) i podziemna, coraz większy wpływ na Kraj ma kultura na emigracji. I tego procesu już żadne represje, ani żadne fasady w rodzaju PRON-u i innych nie zdołają powstrzymać. Książka Szczepańskiego jest przekonywującym tego dowodem.

O kolejnym tomie *Pół wieku* Jerzego Putramenta nie warto by wspominać, gdyby nie nadarzająca się okazja do skonfrontowania diametralnie różnych postaw i stylów pisarskich. *Sierpień*² w idealny wprost sposób pokazuje — oczywiście wbrew intencjom autora — jak kolaboracja z totalitarnym reżymem niszczy nie tylko talent literacki, ale wypacza również mentalność i psychikę człowieka. Od samych początków władzy ludowej w Polsce Putrament należał do partyjnej elity i bardzo sobie tę przynależność cenił. Uczynił z niej sposób na życie, dlatego gorzko przeżywał zmiany ekip rządowych, gdyż wymagało to nowych manewrów w celu zachowania swej wysokiej pozycji społecznej. Służyła temu działalność na forum partyjnym i związkowym (w latach 50-tych był sekretarzem generalnym ZLP, potem przez dłuższy czas pełnił funkcję wiceprezesa), służyła też temu twórczość. Nic więc dziwnego, że w pisanej od lat autobiografii ten reżymowy zawsze pisarz ukazywał niedawną przeszłość swego kraju z perspektywy dworskich intryg i zabiegów o utrzymanie lub zdobycie władzy. Zachodzący w polskim społeczeństwie, mimo wielkich oporów, proces demokratyzacji odbijał się również na aparacie partyjnym, zasilanym przez coraz młodszych przedstawicieli gatunku *homo novus*. Bolał więc Putrament nad tym, że:

„zespoły partyjne, które w tym czasie (w roku 1980, przyp. mój — M.R.) tak bujnie rozkwiły, były zaprzeczeniem, zdawałoby się, elementarnej zasady: partia tylko wtedy może działać, gdy działa w środowisku. Zamiast tego legła się jakaś metafizyka separowania się partii, ja wiem — jakiejś partyjnej demokracji! Niebawem wyklują się 'struktury poziome', a nawet brednie jeszcze dziwniejsze”.

Wszelkie zmiany na różnych piętrach życia społecznego, politycznego i kulturalnego przerażały go i zniechęcały do rzeczywistości. Nie rezygnował jednak z nadal częstych wyjazdów do Moskwy, utrzymywał kontakty z partyjną „wierzchuszką”, głowił się, jak partia ma utrzymać swój stan posiadania w ZLP, ale coraz mniej rozumiał z tego, co się wokół działo. Notował więc sklerotyczne zarządzenia, narzekał na samotność w środowisku, skarżył się na kłopoty dnia codziennego, które zaczynały i jemu

2. Jerzy Putrament, *Pół wieku. Sierpień*, „Czytelnik”, Warszawa 1987.

doskwierać, liczył skrupulatnie ilość podpisanych na kiermaszach książek. Lektura żenująca, ale i pouczająca. Zwłaszcza w kontekście *Kadencji*.

„Minie wkrótce dwudziesta czwarta rocznica mej zawodowej pracy literackiej. Przez cały ten czas nie napisałem ani jednej strony swobodnie. Kreśleniu każdego zdania towarzyszyła świadomość istnienia cenzury rewolucyjnej. Ludzie twierdzą, że osiągnąłem znaczną biegłość w pisaniu między wierszami. Ale wysiłku włożyłem w czynność poniżającą — w wymijanie przewidywanych zahaczeń, niebezpieczeństw takiej mowy, co jasno wyraża myśl. Moje książki nie zawierają kłamstw. Mieszczą się w nich moje własne poglądy... wygłoszone ogólnie lub cząstkowo. Istnieje oczywiście mnóstwo tematów, których nie poruszyłem, aczkolwiek należało. Dzisiaj, przy tym pamiętniku, o którego książkowym wydaniu nawet nie marzę, zatrzęsa mnie ów długoletni trening w oględności”.

Paweł Jasienica, który zanotował tę gorzką refleksję w pamiętniku, rozpoczętym 5 stycznia 1970 roku, istotnie nie mógł nawet marzyć, że jego testament intelektualny ukaże się drukiem. Co prawda wydany został ostatnio nie w wydawnictwie państwowym, lecz w drugim obiegu³, jednak w ponurych czasach, gdy przyszło najwybitniejszemu po wojnie polskiemu eseiście historycznemu pisać do szuflady, ponieważ naraził się w marcu 1968 roku Władysławowi Gomułce, książki jego wycofywano z księgarń i z drukarni. Zrehabilitowano Jasienicę grubo po śmierci, która nastąpiła w dwa lata i parę miesięcy po akcie anatomii na jego osobę i twórczość. Dopiero na pamiętnym Zjeździe odrodzonego ZLP, o którym pisał Szczepański, z apelem o pełną rehabilitację imienia autora *Polski Jagiellonów* wystąpił Jan Józef Lipski:

„Zjazd ZLP wyraża przeświadczenie, że wśród krzywd moralnych, które w różnych okresach spotykały członków naszego Związku szczególna była ta, która dotknęła naszego niezjącego kolegę, Pawła Jasienicę. Stał się on w roku 1968 celem insynuacji i pomówień ze strony ówczesnego I sekretarza PZPR, a następnie całej prasy i środków masowego przekazu. Zjazd uważa, że tak jak publiczne było znieważenie Pawła Jasienicy, mające na celu odebranie mu zaufania społecznego, tak sprawą naszego honoru jest domaganie się publicznego oświadczenia, iż insynuacje były bezpodstawne i podłe. Zjazd domaga się uczynienia pierwszego kroku w tej sprawie, którym będzie opublikowanie w środkach masowego przekazu niniejszej rezolucji”.

Ale spora część polskiego społeczeństwa, liczni intelektualiści i młodzież akademicka, nie odwróciła się ze strachem od swego pisarza. Na pogrzebie 22 sierpnia 1970 roku zęgały go — jak zanotował Jerzy Andrzejewski w swym dzienniku — nieprzebrane tłumy.

3. Paweł Jasienica, *Pamiętnik*, Międzyzakładowa Struktura „Solidarności”, 1986.

Wydany na podstawie odpisu tekstu odnalezionego w papierach pośmiertnych *Pamiętnik* pisał Jasienica w głębokim przekonaniu, że „nikła mądrość światem rządzi”. Wspomina w nim swoje dzieciństwo, które upłynęło w atmosferze dwóch rewolucji, Lutowej i Październikowej, oraz wojny domowej na terenie Ukrainy. Opuścił Ukrainę wraz z rodziną na jesieni roku 1919, przekroczywszy szczęśliwie zbawienną granicę, zupełnie jak Cezary Baryka. Wspomina też swoją młodość rozkwitłą w murach Uniwersytetu Stefana Batorego. Wilno było podówczas miastem osobliwym — obok Krakowa i Lwowa stało się kolebką kultury humanistycznej, a jednocześnie stanowiło tygiel różnych, mniejszych i większych nacjonalizmów.

„Mam niezaprzeczalne prawo — twierdził — zajmować się liczeniem grzechów nacjonalizmu polskiego przede wszystkim, a to dlatego właśnie, że Polacy byli w tamtej połaci kontynentu dziećmi najstarszej kultury, pionierami Europy. Jeśli inne narodowości uległy obłędowi, to Polska dopuściła się również zdrady, zaparła się własnego dorobku”.

Niezwyčajny to pamiętnik — przypomniane fakty, wydobywane z pamięci sylwetki moralne poznanych w przeszłości ludzi, z których sporo przyplącało życiem swą niezłomną postawę, umierając w polskim więzieniu doby stalinowskiej, jak wybitny socjalista Pużak, czy w sowieckich łagrach, jak Skarżyński, osnute są moralną, historiozoficzną, a niekiedy też bardzo osobistą refleksją. Nosi on cechy tekstu napisanego tuż przed śmiercią, kiedy takiej miary człowiek i twórca, jak Paweł Jasienica, czynił rachunek sumienia nie tyle ze swego życia, co ze swej działalności intelektualnej.

Dominująca w tym rachunku sumienia refleksja historiozoficzna dotyczy skutków wojny domowej (*nota bene* ten problem pojawia się w eseistyce Jasienicy dość często), czyli bezrozumnego terroru i okrucieństwa po obu stronach barykady oraz nacjonalizmu, czyli ślepej nienawiści i głupich uprzedzeń. Pisał o tym z perspektywy czasów, w których polski nacjonalizm znów doszedł do głosu. Refleksja moralna natomiast i intelektualna osnuta jest wokół przekonania o ponadkonjunkturnej wartości kultury:

„Przypuszczam, że łatwość uzyskiwania rozgłosu wpływała na wybór drogi politycznej u wielu osób. Dość wyrazistym przykładem są losy lewicowej grupy wileńskiej, której wczesna sława o wiele przerosła możliwości intelektualne ich członków. (Należał do niej m.in. Putrament, przyp. mój — M.R.). Większość ocalała z wojny, rok 1945 otworzył przed nimi szerokie możliwości. (...) Trudno zazwyczaj bywa tym, którzy liczą wyłącznie na własne siły i pracę. O ileż łatwiej takim, co wcześniej wskoczą na jaskrawo pomalowane

szczebelki polityczne. (...) Całe szczęście, że nie tylko hałasy polityczne liczą się na tym świecie. Istnieje jeszcze historia kultury oraz czas, jedyny kompetentny sędzia w tej sprawie”.

Zatrzymany w czasie

Problem czasu jest głównym tematem fascynującej doskonałym stylem książki Andrzeja Kuśniewicza⁴, w której wątek autobiograficzny przedstawiony został już bez żadnych literackich kamufłazy. Proza jego, poruszając problematykę gombrowiczowską, jest w pewnym sensie antygombrowiczowska. Siła pisarstwa autora *Ferdydurke* płynie ze zjadliwej, przeradzającej się w groteskę autokompromitacji, z demaskowania własnych i swego środowiska przywar. Kuśniewicz postępuje inaczej: jeżeli manifestowany na różne sposoby dystans do rzeczywistości przybiera formę autoironii, to przybiera ona postać łagodnej, chwilami nostalgicznej melancholii. Wskrzesza on bowiem dzięki zadziwiającej pamięci świat nieistniejący, delectując się jego urokiem, bardziej zresztą materialnym niż duchowym. Wspomnienia jego pełne są więc znakomicie skreślonych portretów ludzkich oraz szczegółów topograficznych. Pisarz nawiązuje do konwencji *Pana Tadeusza*, ale czyni to ze świadomością człowieka współczesnego.

Z natury realista (choć nie bez romantycznych tęsknot, realizowanych w rajdach samochodowych i wspinaczkach wysokogórskich), z przekonań racjonalista i relatywista, nie poszukuje w czasach swej młodości raju utraconego, mimo że opisując je nie ukrywa sentymentu. Był to świat bliski zasadom jego wychowania, bliski wartościom, które przekazali mu arystokratyczni przodkowie. Rozpisuje się więc Kuśniewicz na temat dobrych manier, które odróżniały przedstawicieli jego środowiska od reszty społeczeństwa, ale czyni to oczywiście z przymrużeniem oka, z lekką ironią, właściwą raczej literaturze francuskiej niż polskiej.

„Ugrzęzłem, zatrzymany w Czasie, który znikł. W Pełnej Przeszłości właściwie nie liczącej się. Od biedy, czasami. Dla bardzo już niewielu. Dla całej reszty — sprawy wręcz niezrozumiałe w swej istocie nieprzekładalnej na żaden język świata. Złożonej jak mozaika z chichotów, dowcipów, kawałów dziś nie zrozumiałych, dawniej tak ważnych. I zwłaszcza — ciężkiego, kamiennego milczenia”.

Powraca więc autor głównie do lat gimnazjalnych, a zwłaszcza do ostatniego roku szkoły, który spędził w najbliższym jego rodzinnym Kowenicom Samborze, położonym na kresach międzywojennej Polski. Nie poprzestaje jednak na barwnej wizualności

4. Andrzej Kuśniewicz, *Nawrócenie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987.

wskrzeszonego świata, nie ogranicza się do kontemplacji witrażu pamięci. Opis umarłego świata służy mu również do wydobywania i rozwinięcia tzw. problemu żydowskiego, ujętego w całym jego dramatyzmie. Dawniej, nawet jeszcze na początku Polski Odrodzonej, Żydzi, zachowując swoją odrębność, w miarę tolerowaną przez Polaków, szczególnie przez ludzi z warstwy ziemiańskiej, żyli w naszym społeczeństwie na zasadzie diaspory. Ten status powoli ulegał zmianie wraz z nasilającymi się tendencjami antysemitycznymi i przenikaniem do Polski ideologii nacjonalistycznej. Po wojnie nastroje antysemityczne w dużym stopniu uzależnione były od polityki. Koronnym tego dowodem stał się rok 1968. Do podjęcia tego tematu zainspirowały Kuśniewicza rozmowy z Żydami w Paryżu, którzy zmuszeni zostali do opuszczenia Polski. Autor znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Z jednej strony przyznawał rację swym rozgoryczonym rozmówcom, z drugiej — denerwowała go przesada i zbyt pochopne generalizowanie ujemnych o Polakach opinii. Ale czy w tak skomplikowanych i drażliwych sprawach da się znaleźć „złoty środek”, czy w ogóle problem ten można rozstrzygnąć definitywnie, nie wpadając w skrajności? Więc może lepiej — zdaje się uważać Kuśniewicz — ułożyć nasze wzajemne stosunki na nowych zasadach, nawiązując do przeszłości, kiedy to szanowaliśmy własną odrębność.

Taki sposób nawracania do przeszłości, jaki proponuje Kuśniewicz, ma na pewno sens, a przede wszystkim urok literacki.

Literacki urok posiada też proza Igora Newerlego, świadomie staroświecka, wywodząca się z tradycji Wacława Sieroszewskiego. Myślę tu o *Wzgórzu Błękitnego Snu*⁵, nie zaś o autobiografii zatytułowanej tajemniczo *Zostało z uczyty bogów*, która ukazała się równolegle w obiegu niezależnym i na emigracji. *Wzgórze* nie ma charakteru autobiograficznego, a jednak jest to książka bardzo osobista, pisana — jak autor podkreśla — na przekór coraz bardziej niepokojącej i denerwującej rzeczywistości.

„Wkoło mnie wybuchały jak szrapnele wydarzenia, osypując się głośnym echem po całym kraju. (...) Rad byłem, że mogę żyć w zmąglonym moim świecie, mogę dalej pisać...”

Dlatego nie mogę odmówić sobie kilku zdań na temat tej epickiej, ale i lirycznej, opowieści o polskim zesłańcu na Syberii. Lirycznej, bowiem wiele wzruszających scen poświęcił autor nie zwykłej miłości, jaka splotła ze sobą na zawsze losy Rosjanki,

5. Igor Newerly, *Wzgórze Błękitnego Snu*, „Czytelnik”, Warszawa 1986, Instytut Literacki, Paryż 1986.

Wiery Izwolskiej, skazanej za zabicie męża, i Polaka, Bronisława Najdarowskiego, bojownika o Ojczyznę — miłości całkowicie nie-współczesnej, wyidealizowanej, realizującej się wśród dzikiej natury. Świat powieściowy nie został więc ukazany w sposób dramatyczny, choć akcja obfituje w momenty sensacyjne i awanturnicze, dramatyczna jest jednak świadomość świat ten kreująca. Historia bowiem — sugeruje autor — przenika w najbardziej odległe zakątki kuli ziemskiej i potrafi zniweczyć szczęście każdego człowieka. Kataklyzm bolszewickiej rewolucji niszczy mierzalnie budowany przez Najdarowskich spokój. Życie muszą zaczynać od nowa, już w wolnej Polsce, ale w warunkach dla siebie trudnych, w sytuacji nieufności wobec byłego zesłańca. Pokrętny jego los, związany z dziejami Ojczyzny, kończy kampania wrześniowa, a Wiera, która nie potrafiła przeżyć śmierci męża, popełnia samobójstwo.

Znamienne, że ten realista o pasji dokumentalisty zamyka swą twórczość baśnią o raj utraconym, której liryzm przenika gorzyc człowieka odwróconego od współczesności.

W kręgu zniewolenia

Kuśniewicza i Newerlego dzieli od Marka Nowakowskiego dwie generacje. Autor *Benka Kwiciarza* wystartował z zupełnie innym bagażem doświadczeń. Rzeczywistość widział z perspektywy romantycznego buntownika, podobnie jak Hłasko; bohaterem jego pierwszych opowiadań był zwykle wyizolowany ze społeczeństwa lumpenproletariusz. Ale w miarę upływu lat zmierzwił w jego twórczości świat przekształcał się w coraz bardziej konkretną rzeczywistość polską lat 70-tych, a potem 80-tych, coraz wyraźniej dostrzegał też pisarz erozję psychiki obywateli PRL, poddanych długofalowej sowietyzacji.

Skrajna nieufność charakterystyczna jest dla społeczeństwa sowieckiego, które wskutek życia w komunizmie okazało się gorliwym kontynuatorem carskich tradycji. Ale przenika ona również — rzecz oczywista — do innych krajów „bloku wschodniego”. Nieufność w Polsce osiągnęła apogeum na początku lat 50-tych. Poczucie osaczenia było powszechne, jeden podejrzewał drugiego o współpracę z UB, wzajemny brak zaufania drażył psychikę, wypłukując z niej ludzkie uczucia. To napięcie w stosunkach społecznych stopniowo, z biegiem lat zmniejszało się, bywały nawet okresy, kiedy w świadomości niektórych ludzi ufność brała górę nad podejrzliwością. Ostatnia eksplozja ufności miała miejsce w czasie „Solidarności”. Stan wojenny zmienił sytuację i znów zamącił w naszej świadomości.

Z miesiąca na miesiąc, z roku na rok rosło poczucie zagrożenia

nia, umiejętnie podsycane przez funkcjonariuszy władzy. I chociaż współczesnej sytuacji nie można utożsamiać z atmosferą lat 50-tych, stokroć gorszą, to jednak ludzie mniej się wówczas wstydzili własnej słabości, bo argumenty były mocniejsze — paniczny strach przed bezpieką, nie przebijającą w środkach perswazji. Narrator Nowakowskiego wyobraża sobie taką oto typowo rosyjską w rodowodzie scenkę:

„— Grisza... — powiada on — ja *tiebie skażu adin siekriet...* Sprzedałem cię! Bij, zabij! — zawył i zapłakał. Objąłem go i płakaliśmy obaj. (...) Wschodni, cuchnący zdradą i masochizmem obrazek. Carem i Bogiem tego podziemia ludzkiego upadku był Fiodor Dostojewski”. Ale teraz „nikt taki nie objawił się dotąd i nie zaczął tymi słowy: *Grisza, ja tiebie skażu...* Mileżą. Mój nieznaną bracie! Ściągnij wreszcie pończochę. Odsłoń swą twarz”.

Najnowsze opowiadania Nowakowskiego⁶ różnią się od słynnego *Raportu o stanie wojennym* nie tylko materią tematyczną, ale przede wszystkim pozycją narratora w świecie przedstawionym. Narrator nie jest już medium rzeczywistości, staje się natomiast jednym z elementów tego świata, zwłaszcza w opowiadaniu tytułowym, w którym z przeraźliwą ostrością ukazany został jego dramat osobisty, polegający na obsesyjnej wręcz podejrzliwości wobec otoczenia. Można przypuszczać, że opowiadanie jest w dużym stopniu autobiograficzne.

Bohaterem jest pisarz-opozycjonista, który po ogłoszeniu stanu wojennego znalazł się w sytuacji człowieka izolowanego wskutek nieustannej inwigilacji, przerastającej nawet inwigilację zastosowaną wobec członków KOR-u, którą opisał kiedyś Marian Brandys. Do tego można się jednak w końcu przyzwyczaić, jak do więziennego odosobnienia. Granica bowiem jest jasna i ostra — z jednej strony my, z drugiej oni, prześladowani i prześladowający, którzy nie ukrywają swej obecności. O wiele gorzej natomiast, gdy nagle zaczynamy podejrzewać ludzi, okazujących nam sympatię i życzliwość.

Kamykiem, który poruszył w świadomości pisarza lawinę podejrzeń, był donos podpisany nazwiskiem jego bliskiego przyjaciela i powiernika, udostępniony mu w aktach sprawy. Donos mógł być oczywiście spreparowany i narrator dobrze sobie z tego zdaje sprawę. A jednak machina nieufności została już puszczona w ruch. W cieniu podejrzeń stają też inni ludzie, którzy nie ulegli się konsekwencji swej zażyłej znajomości z pisarzem. I to właśnie, ta ich odwaga, to lekceważenie niebezpieczeństwa wydają się narratorowi mocno podejrzane.

6. Marek Nowakowski, *Grisza, ja tiebie skażu...*, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1986, Instytut Literacki, Paryż 1986.

Pisarz coraz dotkliwiej odczuwa pętlę osaczenia, którą narzuca mu jego własna wyobraźnia, coraz trudniej mu żyć z tą piekielną świadomością, że każdy z przyjaciół mógł być nastany przez bezpiekę lub mógł ulec sile perswazji, żeby nie narazić się i nie stracić luksusu wygodnego, światowego życia. Nie pomaga znajdowanie dla tych ludzi usprawiedliwienia. Usprawiedliwianie tych, którzy być może weszli na „szlak zdrady”, pogarsza tylko sprawę, gdyż prowadzi do przekonania, że każdy z nas zdolny jest ulec namowom sprytnych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Narrator przypuszcza więc, że gdyby w zamian za wolność miał przez rok nie publikować swoich utworów, to prawdopodobnie przyjąłby taką nęcącą propozycję ministra bezpieczeństwa. Dlatego stwierdza z rozpaczą:

„Ten Grisza, sowiecki poddany, zadomowił się w mojej duszy. Co tam jeszcze zebrało się w tych mrocznych, nigdy nie wietrzonych piwnicach duszy? Co tam się dzieje?”.

Opowiadanie Nowakowskiego jest wstrząsającym studium rozwoju uczucia podejrzliwości, które w dojmujący sposób pustoszy nasze wnętrza, nie pozostawiając ani cienia wiary w tzw. człowieczeństwo.

Okazuje się jednak, że z kręgu zniewolenia można się wydobyć, wybierając niezależność za cenę niepewnej przyszłości własnej rodziny i rezygnując z wykonywanego od lat, intratnego zawodu. Potwierdza to *Rubikon '81'*, dokumentalna książka złożona z wypowiedzi, a raczej wyznań kilkudziesięciu dziennikarzy, opowiadających o swych trudnych decyzjach i o przeszłości, do której nie chcieliby wrócić.

Data 13 grudnia 1981 roku stała się cezurą również w dziejach powojennej prasy polskiej. Cezurą dramatyczną. Bo oto reaktywowane po stanie wojennym, a niektóre jeszcze w stanie, pisma i gazety startowały bez wielu znanych i utalentowanych, nierzadko zasłużonych w swym zawodzie dziennikarzy. Z czołowych pism warszawskich, takich jak *Kultura* i *Polityka*, odeszli m.in. Magdalena Bajer, Krzysztof Czabański, Dariusz Fikus, Hanna Krall, Maciej Iłowiecki, Jacek Maziarski, Andrzej Oseka, Aleksander Paszyński. Oni to właśnie oraz kilku dziennikarzy radia i telewizji, a także z niektórych pism pozawarszawskich, stworzyli wspólnie ten ważny, miejscami niemal sensacyjny, dokument czasu. Sierpień był dla nich szansą odrodzenia w silnym stopniu skorumpowanego zawodu dziennikarskiego, w którym dawno za-

7. *Rubikon '81*, opracował zespół, Wydawnictwo Most, Warszawa 1986.

pomniano o etyce i autentyczności. Stan wojenny przekreślił te nadzieje. O emigracji z obszarów zsovietyzowanych tak napisał jeden z wybitnych publicystów: „Moja emigracja z PRL do Polski dokonywała się na raty i wcale nie jest mi łatwo odtworzyć dziś poszczególne etapy tego procesu, który zakończył się ogłoszeniem w *Życiu Warszawy* (10 marca 1982): Szukam uczciwej pracy. Jacek Maziarowski”.

Dorota Terakowska, znana dziennikarka, żona Macieja Szumowskiego, twórcy gazety, która w ciągu 16 miesięcy „Solidarności” stała się antytezą PRL-owskich środków masowego przekazu, nie wystąpiła w *Rubikonie '81*, ale napisała własną książkę⁸, która mówi o tym, jaka jej autorka kiedyś była oraz o tym, jaki przełom nastąpił w jej świadomości. To w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu obrachunek z własną przeszłością, a obrachunku można dokonywać tylko z pewnej perspektywy, przekroczywszy smugę dojrzałości, intelektualnej przede wszystkim. Chciałem też napisać „emocjonalnej”, ale szybko się powstrzymałem, bowiem emocjonalność ma Terakowska dziewczęcą, taka jej natura. I taka właśnie emocjonalność w książce dominuje, od pierwszego obrazu wyznaczonego datą 1950, aż po obraz panicznego lęku dławiącego świadomości autorki w roku 1982.

Ktoś może nawet uczynić z tego autorce zarzut — że napisała książkę mało przemyślaną, intelektualnie jeszcze nie przetrawioną, że do takiego obrachunku potrzeba głębszej perspektywy, że wiele obrazów rzuconych jest tylko na nikłe tło, że znać pośpiech i nerwowość. Ale taki był zamiar, takie pragnienie autorki: wykrzyknąć na jednym wydechu nękający ją wyrzut sumienia. I uczyniła to z właściwym sobie talentem, temperamentem reporterskim i ekspresją osobowości, tworząc coś w rodzaju poematu w 12 (szkoda, że nie 13) obrazach, pełnych liryzmu, poetyckich skrótów i metafor. Niektóre z obrazów rozrastają się w świetne opowiadania reportażowe, np. „nieoficjalny protokół z jednego zebrania” Komisji Kontroli Partyjnej („Ja, 1976”) lub w opowiadania psychologiczne, np. dramatyczna opowieść o „hrabinie Maricy”, czyli oslepiętej blaskiem komunistycznej przyszłości nauczycielce („Ja, 1952”), w której to opowieści znajdujemy przerażający list do Stalina, napisany przez czternastoletnią uczennicę w formie pastiszu modlitwy („Ojciec nasz, któryś jest nadzieją polskich dzieci”). Inne natomiast obrazy skondensowane zostały do wiersza, np. liryczne wyznanie obejmujące okres „Solidarności” („Ja, 1980-1981”): „... płynę na wielkiej sztormowej fali,

8. Dorota Terakowska, *Guma do żucia*, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1986.

niesie mnie wielka, sztormowa fala, gnana ciepłym, przyjemnym wiatrem”.

Biografia duchowa Terakowskiej jest biografią pokolenia czterdziestolatków, wewnątrz równie dramatyczną jak losy ludzi z pokolenia starszego, choć wyznaczają ją wydarzenia o mniejszej skali dziejowej niż druga wojna światowa, „oswobodzenie” lub „zimna wojna”. Ale już lata 50-te, już rok 56 i 57, no i oczywiście dalsze „polskie miesiące” określały tę biografie, determinując świadomość powojennej generacji. Autorka szczególnie mocno podkreśla wpływ atmosfery dziejowej na kształtowanie psychiki i poglądów, podkreśla w sposób wręcz karykaturalny:

„I zerwaliśmy się rzeczywiście. Pobiegliśmy. Pełni wzruszenia, które ścisnęło nas za grdyki. Oszalałoby. Zachłystywało. Braliśmy udział w zbiorowym seansie szaleństwa. Tylko niektórzy byli od niego wolni. Niektórzy. (...) Pomagałam aż do zmęczenia. Zmęczenia rąk, nóg, mózgu, sumienia, duszy. Szukałam sukcesów. Trochę sukcesy. (...) Liczyłam je do utraty tchu. I przenosiłam na papier. Gdzie puchły. Pęczniały. Wydymały się jak balon. Zajmowały powoli całą wolną przestrzeń. Już niemal nie było gdzie ich pomieścić. Pomagałam aż do szaleństwa”.

Tak reagowała autorka na słynne hasło Gierka, sprowadzające się do retorycznego pytania: pomożecie?! Ale tak spontanicznie, tak bezrefleksyjnie reagowała po raz ostatni. Do tej pory chciała być niesiona na fali dziejowej, chciała przekształcić rzeczywistość wraz z grupą entuzjastów, nie uświadamiając sobie, że przede wszystkim ona sama jest kształtowana, ulepiana, przeżywana przez mechanizm dziejów uosobiony w odrażającej, kiczowatej postaci hrabiny Maricy, której zmieniał się ubiór, z wyjątkiem wypłamionego czerwonego krawata, ale nie zmienił się „wyuzdany, chamski wdzięk”. Hrabina — groteskowy symbol kultury PRL-u, w której wartości duchowe przykrojone zostały na miarę operetki, lejtmotywu poematu Terakowskiej, dręczący naszą świadomość koszmar senny.

Pęd i fala, bieg i lęk, guma do żucia — to słowa-klucze w tym monologu, określające groźne i charakterystyczne dla Europy Wschodniej zjawisko zwane sowietyzacją. Występuje ono m.in. wtedy, gdy nie tylko nie bronimy się przed „przeżywaniem nas”, ale ochoczo mu się poddajemy, czyniąc z tego ideologię:

„... słyszę mlaskanie, z jakim żuje mnie mój własny strach. Głośne, nachalne mlaskanie, którego nikt nawet nie usiłuje zagłuszyć. Już nie. Nie trzeba. Już przecież wiemy, że nas żują — i pozwalamy dobrowolnie się żuć. My, gumy do żucia *made in Poland*, ze znakiem jakości Q”.

Wiedzieć to jeszcze nie znaczy buntować się, ale to już pierwszy krok do wyrwania się ze zbiorowej psychozy. Na razie może

to być krok w stronę własnego domu, jako azylu dla prywatności, potem może to być gest odmowy uczyniony ze świadomością konsekwencji. Ten gest rodzi się w książce powoli i opornie, przytłumiony sceptycyzmem i lękiem, hołubionymi dziećmi Systemu. Ale tym gestem jest na pewno liryczne wyznanie wykrzywane pełnym głosem!

Mikołaj RUSZKOWSKI

Polscy socjolodzy po angielsku

DZIENNIK POLSKIEGO MYŚLICIELA

We wstępie do grubej książki Adama Podgóreckiego „Historia polskiego myśliciela”¹ Zbigniew Brzeziński podkreśla tylko jeden z przewijających się przez nią wątków: kontynuację walki niezależnych polskich intelektualistów o „rząd dusz” w przesładowanej ojczyźnie. „Warto zaznaczyć” — pisze — „że autor tej książki nie jest centralną postacią przedstawionej w niej historii. Jej głównym kolektywnym aktorem jest grupa naukowców z Instytutu broniącego się desperacko przed zbliżającym się unicestwieniem”².

Jednym z założycieli tego Instytutu przy Uniwersytecie Warszawskim i jego duchowym przywódcą był właśnie ówczesny profesor Uniwersytetu Warszawskiego Adam Podgórecki, kontynuujący po zniszczeniu Instytutu swą naukową karierę w znakomitym Carleton University w Ottawie. Kim jest autor tej książki, czym jest ta książka, co i komu próbuje przekazać, i co przekazuje?

Dowiadujemy się z niej, że autor jest nie tylko prawnikiem spod znaku Petrażyckiego, filozofem próbującym rozwijać prakseologiczne koncepcje Kotarbińskiego i naukę o moralności Osowskiej, ale i socjologiem w stylu amerykańskim, jeżdżącym po europejskich i amerykańskich instytutach naukowych i „walczącym” na licznych światowych socjologicznych kongresach. Prócz tych wielostronnych naukowych zajęć ma on również ambicje literackie: ogłosił w „Oficynie Poetów i Malarzy” nowelę „Renia” oraz wydał liczne tomiki (po polsku i angielsku) mikrohistorijek tajemniczego mędrca Si Tienia³, które możemy znaleźć również w jego księdze... brulionie nowego (neo-proustowskiego?) gatunku literackiego.

1. *A Story of a Polish Thinker*, Adam Podgórecki (translated by Margaret Watson), Verlag für Gesellschaftsarchitektur, Köln 1986 (str. 710).

2. Str. VIII, *ibidem*.

3. Wydawane przez „Oficynę Poetów i Malarzy” w Londynie.

Mimo, że zaprojektowany przez założycieli jako „Instytut Socjotechniczny”, Instytut Podgóreckiego nazwany został, jak wiele PRL-owskich instytucji, karkołomnie i mętnie „Instytutem Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji”. Sądzę, że przypominając nasze tradycyjne polskie aspiracje, Brzeziński dobrze uchwycił najważniejsze cele Instytutu. Bez oparcia o partię, na podstawie swoich własnych niezależnych badań typu „całościowego” nad społeczeństwem polskim, Instytut chciał sugerować rządowi (a może nie tylko sugerować?) takie akcje społeczne, taką politykę, które by w oparciu o tradycyjną kulturę polską oraz najnowsze naukowe i techniczne osiągnięcia pozwoliły osiągnąć maksymalne „zdrowie społeczne” i „rozwój”. Można chyba było przewidzieć w momencie powstawania Instytutu, że takie naprawdę niezależne „całościowe” badania socjologiczne nie będą możliwe... że na tak pojętą „socjotechnikę” nie zgodzą się nawet najliberalniejsi „oni”. Owo oscylowanie pracowników Instytutu między rozpaczą i nadzieją doskonale przedstawione jest w księdze Podgóreckiego. Brzezińskiemu ten opis przypomniał dylematy bohaterów „Dżumy” Camusa.

W październiku 1975 roku, gdy proces tłamszenia Instytutu był już daleko posunięty, Podgórecki zdecydował się na prowadzenie magnetofonowego dziennika rejestrującego ten drastyczny proces i swoje własne reakcje. Dziennik ten prowadził sumiennie przez cały rok. Przepisany potem na maszynie, przeszmuglowany został za granicę i przetłumaczony na angielski. Po dziesięciu latach dopiero Podgórecki zdecydował się go opublikować po angielsku, w pierwotnej wersji, bez zmian, zaopatrzonej jednak w kilka wstępów i długie przypisy końcowe. W sumie 710 stron małego druku!

Do kogo dotrze ta książka wydana w Kolonii jako trzeci tom „Socjotechnicznych materiałów” i czy zostanie zrozumiana przez tych, do których dotrze? Czy cudzoziemcy z Zachodu, dla których ta książka jest przeznaczona, zauważą różnicę między tak częstym w Ameryce i Europie Zachodniej biurokratycznym tłamszeniem naukowych instytutów przez zmieniające się „administracje” a tym dramatycznie innym sowieckim stylem unicestwiania wolności, który stara się im pokazać Podgórecki? Czy uwierzą w polityczne prześladowania polskiego socjologa, który o tyle więcej niż oni sami jeździł po kosztownych zachodnich instytutach i kongresach?

Jednej z takich cudzoziemek, która ukończyła historię w Australii, a socjologię w Stanach Zjednoczonych, podrzuciłam książkę Podgóreckiego. Zaczęła ją czytać z podobnym do mnie zafascynowaniem.

„Cóż to za przedziwny dziennik — stwierdziła. — Nikt dotąd w ten sposób nie pisał. Jak dobrze, że się ta książka ukazała po angielsku!” „Co cię najbardziej uderza w dzienniku Podgóreckiego?” — zapytałam. „Fascynująca osobowość autora — odpowiedziała bez wahania. — To nie tylko socjolog, ale i prawdziwy intelektualista. Takich ludzi nie spotyka się często. A poza tym... cóż za doskonały wgląd ma ten człowiek w socjologię amerykańską”

ską! Takie spojrzenie na tę socjologię, spojrzenie z zewnątrz, dało mi bardzo wiele".

„No i co jeszcze?” — zapytałam.

„Nikt nie opisał tak dobrze stylu życia współczesnego socjologa — powiedziała. — No a poza tym jest to niezwykle szczerza i uczciwa książka o procesie starzenia się człowieka. Te fragmenty mają dużą wartość literacką”.

Ani słowa jednak, ani słowa o tej desperackiej walce o rozszerzanie granic wolności w Polsce lat 70-tych, którą zachodnim kolegom chciał pokazać Podgórecki!

Może to i jego wina, bo jak sam się przyznaje, zastosował „cenzurę wewnętrzną”. Dyktując ten dziennik... nie chciał narażać ani siebie, ani swoich współpracowników, nie mówił więc pełnym głosem o tym, co najdrastyczniejsze. Z podobnych powodów zapewne nie mówił o kontaktach (a takie chyba istniały) członków Instytutu z działającą już przecież wówczas podziemną i nadziemną opozycją. A może i mówił o tych sprawach, nie pełnym głosem jednak, lecz metaforami poprzez usta swego ulubionego tajemniczego mędrca Si Tiena?

Owe króciutkie syntezy Si Tiena najbliższe są właśnie owej „całościowej analizy społeczeństwa”, do której aspiruje Podgórecki.

Może w następnej książce opartej o ten fascynujący dziennik oraz materiały dotyczące niszczenia innych instytutów naukowych w Polsce Podgórecki zdobędzie się na prawdziwie „całościową analizę” społeczeństwa polskiego lat 70-tych bez pomocy Si Tiena, bez psychologizmów socjologii amerykańskiej, bez osobistych proustowskich dygresji.

Alicja IWANŃSKA

Polacy w Australii i Oceanii w latach 1890 - 1940

Z wszystkich kontynentów świata Australia została odkryta najpóźniej. To samo można by powiedzieć o historii zamieszkałych tam Polaków: niewiele o nich wiemy, a dla Australijczyków Polacy byli chyba do niedawna jedną z ostatnich grup etnicznych, o której mogli się czegoś dowiedzieć. Przeciętny Polak kojarzył Australię z kangurami, a z kolei wiedza tubylców o Polakach w ich kraju ograniczała się przeważnie do wyczynów, w latach 1839-1840, Pawła E. Strzeleckiego, który zdobył m.in. najwyższy szczyt Alp Australijskich i nazwał go Górą Kościuszki.

Wzajemna ignorancja została wreszcie przerwana przede wszystkim dzięki profesorowi Jerzemu Zubrzyckiemu, socjolo-

gowi, oraz pisarzowi Lechowi Paszkowskiemu, historykowi australijskiej Polonii, dwa nazwiska z którymi wiązać się będzie na zawsze znajomość wkładu Polaków w dzieje Australii.

Zainteresowanie Paszkowskiego historią nie jest kwestią przypadku. Od wielu lat zbiera m.in. materiały do historii kampanii wrześniowej i na łamach *Tygodnika Polskiego* w Melbourne ogłosił już cykl artykułów związanych z tym tematem, gdzie zwracając uwagę na tendencyjne opisy tej kampanii przez cudzoziemców ubolewa, jeśli chodzi o Polaków, „że naród liczący z diasporą ponad 45 milionów ludzi nie potrafił zdobyć się na przedstawienie światu swojej historii i swoich osiągnięć”. To też dało za pewne asumpt Paszkowskiemu do napisania monumentalnej pracy, która została ostatnio opublikowana w języku angielskim¹.

Zanim mowa będzie o książce, kilka przynajmniej słów trzeba powiedzieć o jej Autorze. Miłośnik morza, przed wojną kończy maturę po opuszczeniu, z powodu choroby, Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni. Bierze udział w kampanii wrześniowej, dostaje się do niewoli. Po wyzwoleniu przebywa w strefie brytyjskiej w Niemczech i wiosną 1948 roku wyjeżdża do Australii. Początkowo pracuje jako robotnik, później w laboratorium elektrotechnicznym, a urlopy spędza na morzu, zaciągając się na statki jako marynarz. Jednocześnie podejmuje przerwana przez wojnę twórczość literacką i współpracuje z czasopismami w Australii oraz w Europie, zwłaszcza z londyńskimi *Wiadomościami*, na łamach których zamieszcza ponad 60 reportaży, szkiców i recenzji. Publikuje również szkice historyczno-naukowe w języku angielskim.

Od 1955 roku Paszkowski zbiera materiały do historii Polaków w Australii i Oceanii i po kilku latach ukazuje się jego książka². Zdaje sobie jednak sprawę, że nie wyczerpał tematu, bada i szuka dalej dokumentacji, uzupełnia wydaną pracę i poszerzoną wersję publikuje w języku angielskim. Pierwsza książka, po polsku, zadedykowana jest matce, a druga jego dzieciom urodzonym w Australii. Przedmowę do wydania polskiego i słowo wstępne do angielskiego napisał prof. Zubrzycki.

Australijskie Wydawnictwo Uniwersyteckie opublikowało pracę Paszkowskiego w bardzo ładnej szacie graficznej, luksusowej właściwie w porównaniu z publikacjami w Europie. Ułatwi to również rozprawadzenie książki, która winna jednak wzbudzić szczególne zainteresowanie z uwagi na swą treść. Jest to dzieło pionierskie, do którego Autor zbierał materiały przez wiele lat i opracował je z benedyktyńską pracowitością i dokładnością, zalety coraz rzadziej dzisiaj spotykane w świecie nauki. Do zalet tych dodajmy talent narracyjny tego literata i historyka w jednej osobie. Książkę czyta się łatwo, nie nudzi, wręcz przeciwnie,

1. Lech Paszkowski, *Poles in Australia and Oceania, 1790-1940*, Australian National University Press, Sydney 1987, str. 429 i XXII nln. plus 47 ilustracji na wkładkach.

2. Lech Paszkowski, *Polacy w Australii i Oceanii, 1790-1940*, B. Świderski, Londyn 1962, str. 344.

co też jest dużym osiągnięciem Autora, który potrafił tę masę zgromadzonego materiału przedstawić w sposób przystępny dla szerszego grona czytelników, nie tylko dla specjalistów.

Nie sposób jest streścić tę książkę. Dla rozrzuconych po świecie Polaków warto choćby zasygnalizować — zwrócił już na to uwagę prof. Zubrzycki w przedmowie do polskiego wydania — że zasługą Paszkowskiego jest m.in. to, że „cechy pokrewne wszystkim fałom naszej emigracji potrafił znaleźć i należyście podkreślić”. Z ogólnego punktu widzenia istotne jest także, iż dzieje emigrantów w Australii i Oceanii Paszkowski połączył z ich wcześniejszą działalnością w Europie, czym wzbogacił książkę i ułatwił poznanie ideowej postawy emigrantów, bardzo pomocne do porównawczych badań z innymi krajami. Słusznie też Autor pisze, że dla dzieci imigrantów polskich Australia i Nowa Zelandia są lub będą ojczyzną i że „element polski będzie się stawał częścią składową narodu australijskiego i nowozelandzkiego. Nadszedł więc czas, by zastanowić się nad dorobkiem Polaków w tej części świata, poprzedzającym wielki napływ imigrantów po drugiej wojnie światowej”. Przykład do naśladowania i na innych kontynentach.

Tadeusz WYRWA

P.S. Należy również przynajmniej zasygnalizować ukazanie się wartościowej monografii o Polakach w Australii, zbiorowej pracy siedmiu autorów (Charles A. Price, Lech Paszkowski, Jan Pakulski, J. J. Smolicz, M. J. Secombe, Ruth Johnston, Anna Wierzbicka) ze wstępem i pod redakcją Rolanda Sussex i Jerzego Zubrzyckiego. W monografii zatytułowanej *Polish people and culture in Australia* (Australian National University, Canberra 1985, str. 223) przezwajają opracowania problemów współczesnych, związanych zwłaszcza z wielokulturowością, z modelem pluralizmu kulturowego, jaki profesor Zubrzycki inspirował od wielu lat. Rozwinięcie tych problemów w dalszych publikacjach służyć będzie mogło także za wzorzec do podobnych badań poza Australią.

T. W.

Nadesłane nowości wydawnicze

BARTOSZEWSKI (Władysław). *Na drodze do niepodległości*. Str. 565 i 11 nlb. (Wyd. Spotkania, Paryż 1987).

WOROSZYLSKI (Wiktor). *Dziennik węgierski 1956 wraz z glossami 1976, 1981, 1986*. Str. 71 i 7 nlb. (Wyd. Veto-Verlag, Berlin Zach. 1987).

GARLIŃSKI (Józef). *Szwajcarski korytarz*. Str. 202 i 6 nlb. (Wyd. Spotkania, Paryż 1987).

GARLIŃSKI (Józef). *Niezapomniane lata. Dzieje wywiadu więziennego i wydziału bezpieczeństwa Komendy Głównej Armii Krajowej*. Str. 146 i 2 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn 1987).

KOŁAKOWSKI (Leszek). *Bajki różne. Opowieści biblijne. Rozmowy z diabłem*. Str. 256 i 4 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1987, cena £ 7, \$ US 14).

Obecność. Leszkowi Kołakowskiemu w 60-tą rocznicę urodzin. Str. 368 i 4 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1987, cena £ 7,50, \$ US 15).

FIUT (Aleksander). *Moment wieczny. Poezja Czesława Miłosza*. Str. 257 i 3 nlb. (Wyd. Libella, Paryż 1987).

Kraj lat dziecinnych. Str. 301 i 7 nlb. (Wznowienie, wyd. Puls, Londyn 1987).

RAWSKA - MROŻKIEWICZ (Maria). *Świętosława, córka Mieszka I, żona, matka skandynawskich konungów. Powieść historyczna*. Str. 354 i 6 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1987).

KISIELEWSKI (Stefan). *Bez cenzury*. Str. 277 i 11 nlb. (Wyd. Spotkania, Paryż 1987).

DZIEDUSZYCKI (Jan). *Trzy lata wykreślone z Nycia*. Str. 152 i 16 nlb. (Wyd. Spotkania, Paryż 1986).

JABŁOŃSKA - DEPTUŁA (Ewa). *... Czyż może historia popłynąć przeciw prądowi sumień? (Kościół — religia — patriotyzm 1764-1864)*. Str. 87 i 9 nlb. (Wyd. Spotkania, Paryż 1987).

Grudzień 1970. Str. 568 i 8 nlb. (Wyd. Spotkania, Paryż 1986).

GRYNBERG (Henryk). *Kronika*. Str. 200. (w: *Archipelag* nr 7/8 (46-47), Berlin Zachodni 1987).

BEAUPRÉ-STANKIEWICZ (Irena), WASZCZUK-KAMIENIEC-KA (Danuta), LEWICKA-HO-WELLS (Wanda). *Isfahan, miasto polskich dzieci*. Str. 532 i 2 nlb. (Wyd. Koło Wychowanków Szkół Polskich Isfahan i Liban, Londyn 1987).

MANTEL (Feliks). *Polityczny elementarz (retro)*. Str. 165 i 3 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, Paryż 1987).

PAWLAK (Antoni). *Trudny wybór wierszy — Schwierige Gedichtauswahl*. Wydanie dwujęzyczne pol-

sko-niemieckie. Str. 76 i 2 nlb. (Wyd. Veto-Verlag, Berlin Zach. 1987).

WAGNER (Helmut). *Problem niemiecki. Próba historycznej interpretacji dylematu politycznego*. (Nadbitka z *Aneksu* nr 46/47, str. 70-92).

MARCINKOWSKI (Stefan). *Geneza granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie Łużyckiej*. (Referat wygłoszony 28 czerwca 1987 w Instytucie R. Dmowskiego w Chicago, wyd. Polski Związek Ziem Zachodnich w Ameryce).

Kronika Komitetu uczczenia pamięci Polaków zamęczonych w ZSSR. *Echa prasowe*. Str. 156 i 2 nlb. (Wyd. Komitet uczczenia pamięci Polaków zamęczonych w Rosji, Londyn 1987).

WERNIK (Romuald). *Białe noce i czarne dni*. Str. 94 i 2 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1987).

NOWAKOWSKI (Tadeusz). *Kwiaty dla Pielgrzyma*. Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1987).

WOJNICKI (Teddy). *Zapiski na skrzyni pomarańczy*. Str. 59 i 3 nlb. (Wyd. Marek Hłasko Press i Pomost Publishing Institute, USA 1987).

MAZEWSKI (Alojzy A.). *Myśli przewodnie sprawozdania prezesa Związku Narodowego Polskiego na 40-ty sejm ZNP w Chicago*. Str. 79 i 13 nlb. (Wyd. ZNP, Chicago 1987).

PANKOWSKI (Marian). *Gość*. Str. 99 i 5 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1987).

MOSKWA (Jacek). *Antoni Marylski i Łaski*. Str. 306 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 500).

GRYNBERG (Henryk). *Kadisz*. Str. 143 i 1 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 250).

PROROK (Leszek). *Inicjacje conradowskie*. Str. 153 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987), cena zł 250).

GOŁUBIEW (Antoni). *Listy do przyjaciela. Gdy chcemy się modlić*. Str. 314 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 450).

- KISIEL (Marian). *Poezja w świetle filozofii literatury. O „wewnętrznej” teorii poznania w twórczości Adama Czerniawskiego.* (Nadbitka z „Poezja i nostalgia”, Katowice 1987, str. 134-151).
- KORZENIEWSKI (Bohdan). *Mocum Panie, z nami zgoda?* (Nadbitka z „Pamiętnika Teatralnego” zeszyt 4/1986).
- DEBROWSKA (Jadwiga). *Deux chemins — dwie drogi.* Wiersze. Str. 92 i 8 nlb. (Wyd. Polski Ośrodek Wydawniczy, Paryż 1987).
- CZAPSKI (Joseph). *Proust contre la déchéance. Conférences au camp de Gruzowietz.* Str. 107 i 7 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Suisse 1987).
- CZAPSKI (Joseph). *Souvenirs de Starobielsk.* Str. 136 i 14 nlb. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Suisse 1987).
- MAREK (Edmond). *Mazepa de Jules Słowacki.* Str. 38 i 2 nlb. (Wyd. Club Polonia-Nord, Lille 1987).
- BRANDYS (Kazimierz). *Carnets Paris - New York - Paris 1982-1984.* Przeł. Thérèse Douchy. Str. 296 i 4 nlb. (Wyd. Gallimard, Paryż 1987, cena F. 130).
- MYCINSKI (Jean). *Les relations polono-lithuanienues.* Str. 17 i 3 nlb. (Wyd. Club Polonia-Nord, Lille 1987).
- MAREK (Edmond). *Mazepa de Jules Słowacki.* Str. 38 i 2 nlb. (Wyd. Club Polonia-Nord, Lille 1987).
- NSZZ „Solidarnosc” sur la réforme de l'économie polonaise. *Approuvé par Lech Wałęsa.* Str. 32. (Wyd. Bureau de Coordination à l'Étranger de NSZZ „Solidarnosc”, Bruxelles 1987).
- MAREK (Bernard). *Déformation de l'histoire dans les manuels scolaires polonais. D'après Marian Piłka, présentation et traduction.* Str. 53 i 1 nlb. (Wyd. Club Polonia-Nord, Lille 1987).
- MIŁOSZ (Czesław). *The Separate Notebooks.* Translated by Robert Hass i Robert Pinsky with the author and Renata Gorczynski. Str. 212 i 2 nlb. (Wyd. Ecco Press, New York 1987).
- MIŁOSZ (Czesław). *The Land of Ulro.* Translated by Louis Iribarne. Str. 287 i 1 nlb. (Wyd. Carcanet Press Ltd., Manchester 1987).
- KNYSH (George D.). *Eastern Slavs and the Christian Millennium of 1988.* Str. 32 i 6 nlb. (Wyd. Central Jubilee Committee of the Ukrainian Catholic Church 1987).
- Publications catalogue Canadian Institute of Ukrainian Studies. 1987-1988.* Str. 46.
- WASILEWSKI (Marian). *The Psychological Roots of Communism. Their Essence, Consequences, and Eradication.* Str. 56 i 8 nlb. (Wyd. Polish-American Ethnic Committee, Chapter Ney Jersey, Newark 1987).
- Kosmas. Journal of Czechoslovak and Central European Studies.* Vol. 5, nr 2, Winter 1986. Str. 149 i 1 nlb. (Wyd. Techeoslovak Society of Arts and Sciences, New York).
- PRAŻMOWSKA (Anita). *Britain, Poland and the eastern front, 1939.* Str. 231 i 3 nlb. (Wyd. Cambridge University Press, Cambridge-London-New York-New Rochelle-Melbourne-Sydney, 1987).
- PASZKOWSKI (Lech). *Poles in Australia and Oceania 1790-1940.* Str. 428 i 5 nlb. (Wyd. Australian National University Press, Sydney - Oxford - New York - Beijing - Frankfurt - Sao Paulo - Tokyo-Toronto, 1987).
- Essays in Polish History and Culture, 1986/I.* Str. 122. Red. Yvonne Grabowski. (Wyd. Polish Institute of Arts and Sciences in Canada, Toronto 1986).
- ZUZOWSKI (Robert). *KOR and the Transformation of Polish Politics in the 1970s.* (Nadbitka z „Politics”, vol. 21 nr 2, november 1986).
- SIKORSKI (Radek). *Moscow's Afghan War: Soviet Motives and Western Interests.* Str. 57 i 3 nlb. (Wyd. Institute for European Defence and Strategic Studies, London 1987).

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 420 — IGOR NEWERLY

ZOSTAŁO Z UCZTY BOGÓW

Igor Newerly — autor wielu książek w tym 2-ch o Januszu Korczaku w latach 60-tych napisał swoje wspomnienia z okresu 1914-1923 w Rosji i na Ukrainie. Wspomnienia te są autentycznym tłem okresu burzy i naporu w Rosji obejmując okres pierwszej wojny światowej, rewolucji i lat porewolucyjnych.

Str. 322.

Cena F. 120,00.

TOM 427 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

ZMUT

„... Co to jest zmūt? Zmūt to bezładnie poplątane włosy, sznurki, tasiemki. Historycy literatury napisali na temat miłości Adama Mickiewicza i Marii z Wereszczaków Puttkamerowej... niezliczoną ilość głupstw. Sam nie wiem jak to było naprawdę, co naprawdę wydarzyło się w Wilnie, Kownie, Bolcienikach. Ale postaram się niczego nie zmyślać, a jeśli coś zmyślę, to zaraz powiem że to jest zmyślone...”

Str. 288.

Cena F. 110,00.

TOM 429 — KAZIMIERZ ORŁOŚ

HISTORIA
“CUDOWNEJ MELINY”

Dla licznych Czytelników „Cudownej meliny”, jednej z ciekawszych powieści krajowych ostatniego 15-lecia, nowa książka Orłosa stanowi konieczne i pasjonujące uzupełnienie. Orłoś wpadł na oryginalny i doskonały pomysł: opisuje dzieje swej powieści, zablokowanej przez cenzurę w kraju i wydanej z woli autora za granicą w „Bibliotece Kultury”. To jest główny wątek książki, który rzuca dużo nowego światła na sytuację polskich pisarzy nonkonformistycznych; wątek zbliżony do pewnego stopnia do tak poczytnej dziś w kraju książki J. J. Szczepańskiego „Kadencja”. Orłoś przeplata to opisaniami polskiej rzeczywistości w oczach pisarza skazanego na „nieistnienie”.

Str. 160.

Cena F. 70,00.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

31-8-87

Porozumienie Komitetów Nauki, Kultury, Oświaty, Zdrowia i Ekologii, przy udziale regionalnego kierownictwa NSZZ „Solidarność” oraz organizacji „Solidarność Walcząca”, przyznało doroczne Dolnośląskie Nagrody Solidarności. Laureatami Nagrody Zwyczajnej zostali: Władysław Gąsiorowski oraz zespół nauczycielski rozwiązanego przez władze Pierwszego Liceum Ogólnokształcącego w Wałbrzychu, za pracę zawodową i postawę, która powinna być wzorem dla wszystkich pedagogów; Tadeusz Huskowski (nagroda pośmiertna) za szczególnie wkład w rozwój niezależnego ruchu wydawnictwa; Międzyszkolny Komitet Oporu, za umiejętne łączenie działalności samokształceniowej z akcjami protestacyjnymi integrującymi środowisko uczniowskie; Mieczysław Tarnowski za stworzenie na terenie Wałbrzycha ośrodka niezależnej myśli i działań; Krzysztof Turkowski za osiągnięcia popularyzatorskie z zakresu najnowszej historii Polski; Ojciec Adam Wiktor za stworzenie Duszpasterstwa Ludzi Pracy, którego patriotyczna działalność promieniowała na cały Region; Ojciec Ludwik Wiśniewski za trwającą od lat działalność wychowawczą w środowiskach akademickich oraz za stworzenie we Wrocławiu jednego z najważniejszych ośrodków intelektualnych; XYZ (nazwisko utajnione), za osiągnięcia naukowe z zakresu historii Wielkiego Xięstwa Li-tewskiego. Laureatami Nagrody Honorowej zostali: Natalia Gorbaniewska (Paryż) za szczególnie wkład w umocnienie prawdziwej przyjaźni między narodami polskim i rosyjskim; Krzysztof Seniuta (Bruksela), za osiągnięcia w dokumentowaniu sytuacji związkowej w Polsce na forum organizacji międzynarodowych.

13-9-87

W dn. 13 września - 4 października w galerii „Na Ostrowie” we Wrocławiu, mieszczącej się w podziemiach kościoła św. Marcina, czynna była wystawa fotograficzna obrazująca metody fałszowania w państwach totalitarnych zdjęć przedstawiających wydarzenia i postacie historyczne, niewygodne z punktu widzenia aktualnie rządzącej ekipy. Autorzy wystawy wykorzystali tekst i zdjęcia z albumu Alain Jauberta „Le commissariat aux archives. Les photos qui falsifient l'histoire” (Ed. Brenard Barrault, Paryż 1986).

18-10-87

Jury Fundacji Jana Pawła II w Krakowie postanowiło przyznać trzy równorzędne nagrody za 1987 rok: I-szą nagrodę otrzymał ruch „Światło — Życie”, założony przez śp. ks. Franciszka Blachnickiego; II-gą nagrodę — dr Włodzimierz Mokry, filolog, historyk literatury, pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego — za działalność społeczno-moralną na rzecz porozumienia i zbliżenia polsko-ukraińskiego (dr Mokry jest obywatelem polskim narodowości ukraińskiej); III-cią nagrodę — dr Jacek Mazurkiewicz, prawnik z Wrocławia oraz dr Antoni Zięba, pracownik Politechniki Krakowskiej — za działalność społeczno-publicystyczną w zwalczaniu zubożenia i nieuczulicy moralnej. Tegoroczne nagrody ufundował ks. dr Paweł Iliński, pochodzący z diecezji łuckiej, zamieszkały w Warszawie.

21-10-87

Zmarł w Warszawie w wieku 77 lat Włodzimierz Ledóchowski, oficer Dru-giego Korpusu, inżynier budownictwa lądowego, projektant autostrad w Afryce Południowej. Zajmował się również publicystyką.

2-11-87

Na posiedzeniu Fundacji Bethlena na zamku królewskim w Budzie przyznano trzy nagrody — każda w wysokości 50 tys. forintów — które otrzymali: Zsigmond Jakó (wybitny historyk węgierski, mieszkający w Rumunii), Károly Király (znany obrońca praw obywatelskich mniejszości węgierskiej w Rumunii) oraz polski poeta Zbigniew Herbert za wybitne osiągnięcia literackie i za działalność na rzecz autentycznego zbliżenia narodów Europy środkowej. Niezależna fundacja kulturalna im. Gabora Bethlena istnieje na Węgrzech od roku 1985. Jest to inicjatywa inteligencji węgierskiej, mająca na celu wspieranie działalności kulturalnej. Fundacja ta jest zalegalizowana.

10-11-87

Czesław Bielecki, wybitny architekt i publicysta podziemia, znany pod pseudonimem Maciej Poleski, otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie architektonicznym na projekt centrum kształcenia młodych pianistów. To nowe centrum ma powstać w Żelazowej Woli. ■ Karol Zbigniew Porczyński, specjalista w zakresie technologii włókienniczej i kolekcjoner dzieł sztuki, przekazał 400 obrazów do Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Wartość kolekcji jest szacowana na 20 mln funtów szterlingów. Wśród przekazanych obrazów są dzieła Rubensa, Gainsborougha i Van Gogha.

ZACHÓD — EMIGRACJA

1-8-87

Stanowisko proboszcza Polskiej Misji Katolickiej w Bielefeld (RFN) objął ks. mgr Jerzy Giształowicz. W Polsce pracował 19 lat jako duszpasterz akademicki i prefekt szkół średnich. Był członkiem Komisji Episkopatu do spraw duszpasterstwa akademickiego oraz przewodniczącym podkomisji życia wewnętrznego.

9-10-87

Jury Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce przyznało nagrody za najlepsze prace naukowe z zakresu najnowszej historii Polski. I-szą nagrodę w wysokości tysiąca dolarów otrzymał prof. Piotr Lossowski z Warszawy za dwie książki: „Zerwane pęta” i „Po tej i tamtej stronie Niemna”; II-gą nagrodę w wysokości \$ 750,00 — prof. Neal Pease za pracę „Poland, the United States and the Stabilization of Europe (1919-1933)”; III-cią nagrodę w wysokości \$ 500,00 — prof. Marek Baumgarten ze Szczecina za książkę „Wielka Brytania a odrodzona Polska (1918-1933)”. Ponadto jury wyróżniło trzech autorów: Krystynę Kersten za „Narodziny systemu władzy — Polska 1943-1948”, Tadeusza Kryskę-Karskiego z Londynu za „Materiały do historii wojska polskiego” i Tadeusza Zencykowskiego z Londynu za „Samotny bój Warszawy”. Nagrody ufundowało Centrum Polsko-Słowiańskie w Brooklynie, N.Y. ■ W Centre du Dialogue ks. pallotynów w Paryżu odbyło się spotkanie z Andrzejem Wajdą, a 16 października br., w dziewiątą rocznicę wyboru Jana Pawła II, po uroczystej mszy św. André Frossard mówił na temat pontyfikatu Jana Pawła II. 6 listopada br. miał miejsce wieczór autorski Wiktora Woroszyńskiego.

18-10-87

Na nowej liście 109 krajów świata, uszeregowanych pod względem zaufania, którym darzą je czołowe banki zajmujące się międzynarodową działalnością kredytową, PRL znalazła się na 82 miejscu.

23-10-87

Francuski chrześcijański związek zawodowy CFTC poinformował, że „Solidarność” została oficjalnie przyjęta do Światowej Konfederacji Pracy z siedzibą w Brukseli. Jest to trzecia co do wielkości centrala związkowa na świecie. Grupuje ona 87 związków i liczy około 14 mln członków. Decyzję podjęto w dniu 22 października br. na posiedzeniu komitetu Konfederacji w Evry pod Paryżem. ■ Siedmioro polskich artystów wzięło udział w 41 salonie *Réalités Nouvelles*, czynnym w dniach 23 października - 8 listopada br. w Grand Palais w Paryżu: Grażyna Ludwika Ogorzelec — rzeźbiarka oraz malarze — Anna Adamczewska, Dorota Bear, Jasińska, Bogna Lewtark-Baczyńska, Jerzy Motyka i Piotr Stasiewicz.

27-10-87

W Brukseli w Galerie Montjoye została otwarta wystawa prac Jana Lebestaina.

29-10-87

Zmarł w Hove (Anglia) w wieku 75 lat Czesław Jeśman, historyk, pisarz i dziennikarz.

30-10-87

Maria Kuncewiczowa obchodzi 90-lecie urodzin. Mieszka ona obecnie w Kazimierzu nad Wisłą i jest wybitną powieściopisarką, eseistką i autorką scenariuszy filmowych.

31-10-87

W Księgarni Polskiej w Paryżu Józef Garliński podpisywał swoją najnowszą książkę „Szwajcarski korytarz”, która ukazała się w wydawnictwie „Spotkania”.

5-11-87

Wieczory w klubie „Kontakt”: 5 listopada projekcja filmu fabularnego Janusza Zaorskiego „Matka Królów” według książki Kazimierza Brandysa (film był jednym z „półkowników” i przez pięć lat nie był dopuszczany na ekrany w PRL); 12 listopada projekcja filmu dokumentalnego Witolda Zadrowskiego (Video-Kontakt) pt. „Józef Piłsudski”; 18 listopada prelekcja Leszka Szarugi na temat wpływu inicjatyw niezależnych na kształt oficjalnego życia kulturalnego w Polsce; w końcu listopada i na początku grudnia przewidywane są spotkania z Henrykiem Grynbergiem i Leopoldem Ungermem. Obecnie spotkania klubowe „Kontakt” są organizowane wspólnie ze Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów, w ich lokalu przy ul. Legendre 20 w Paryżu.

9-11-87

W dniu 9 listopada 1987 aresztowany został Kornel Morawiecki, członek NSZZ „Solidarność” i delegat na Zjazd Związku z Regionu Dolny Śląsk. Od momentu ogłoszenia stanu wojennego (13 grudnia 1981) ukrywał się i działał w podziemiu. W roku 1982 był współzałożycielem organizacji „Solidarność Walcząca”, której został przewodniczącym. „Solidarność Walcząca” jest organizacją wykraczającą swymi celami poza działalność czysto związkową. „Solidarność Walcząca” kładzie główny nacisk na dążenie do niepodległości Polski. Jednocześnie jest organizacją utrzymującą kontakty z grupami opozycyjnymi w innych krajach obozu sowieckiego.

Wraz z Kornelem Morawieckim aresztowana została Hanna Łukomska-

Korniej, matka trojga dzieci, wielokrotnie przesłuchiwana i poszukiwana listami gończymi.

W celu zapewnienia opieki prawnej, pomocy materialnej rodzinom aresztowanych, wysłania obserwatorów zachodnich na ewentualny proces, itp. — postanowiliśmy ogłosić akcję: „SOS dla Solidarności Walczącej”!!!

Za przedstawicieli „Solidarności Walczącej”
na Zachodzie

(—) Andrzej WIRGA

(Kultura przekazuje na ten cel 500 dolarów).

10-11-87

W paryskim Domu Polskiego Studenta im. Jana Pawła II mówił o swoich byłych uczniach — Munku, Wajdzie i Polańskim — prof. Aleksander Jackiewicz.

12-11-87

Film Radosława Piwowskiego „Pociąg do Hollywood” uzyskał nagrodę publiczności w czasie dni kinematograficznych Orléanu (Francji). Nagroda wynosi F.30.000. Ubiegało się o nią 12 reżyserów.

13-11-87

W Księgarni Polskiej w Paryżu odbył się wieczór autorski Leszka Szarugi.

21-11-87

W Bernried (RFN) odbył się scaleniowy zjazd PPS na Zachodzie.

KRONIKA KANADYJSKA

Rząd federalny podał do wiadomości, że na rok 1988 przewiduje przyjęcie 135 tys. imigrantów, tj. o 10 tys. więcej niż w 1987 roku. Minister Weir, odpowiedzialny za politykę emigracyjną, zaznaczył, że jest to ilość ramowa i może ulec zmianie. Połowa imigrantów będzie należała do kategorii „łączenia rodzin”, która obejmuje także dzieci powyżej lat 21 oraz ich ewentualne rodziny. Dalej przewiduje się przyjęcie 13 tys. uchodźców, tj. o tysiąc więcej niż w 1987 roku. W tej grupie ma być o 300 osób więcej z państw Europy wschodniej, o 200 mniej z południowo-wschodniej Azji, o 200 więcej z Ameryki Łacińskiej i o 900 więcej z Bliskiego Wschodu i zachodniej Azji. Rzecznicy opozycji w Izbie Gmin oraz przedstawiciele różnych organizacji etnicznych ustosunkowali się krytycznie do zapowiedzianej kwoty imigracyjnej. Uważa się, że rząd nie dotrzymuje obietnic. Premier Mulroney przyrzekał bowiem kwotę 200 tys., a minister Weir — 175 tys. Zwiększenie kwoty imigracyjnej jest niezbędne, gdyż przyrost naturalny nie pokrywa naturalnego ubytku. Według danych szacunkowych Kanada będzie w 2000 roku krajem, którego ludność będzie najstarsza wiekiem na świecie (12 % powyżej lat 65). ■ Statek „Stefan Batory”, kursujący na trasie Montreal-Gdynia, zakończył rejs do Montrealu. Był to jedyny statek pasażerski na trasie Europa-Montreal. Większość pasażerów stanowili Polacy. Rozwój komunikacji lotniczej z Polską z jednej strony, a luksusowe statki innych państw z drugiej spowodowały systematyczny spadek ilości pasażerów, a więc nieopłacalność tego rejsu. ■ Biblioteka University of Toronto wydała alfabetyczny katalog zbiorów dotyczących „Solidarności”, opracowany przez Bogumiłę Pawlik. Obejmuje on wszelkie druki (obok książek i broszur także czasopisma, ulotki, plakaty), kasety magnetofonowe, płyty i znaczki. Kolekcja zawiera jednak nie tylko publikacje „Solidarności”, ale także druki

oficjalne zwalczające ją i różne publikacje mające związek z „Solidarnością”. Katalog ma 230 stron i obejmuje 1.500 pozycji. ■ Prof. Paul Robert Magocsi, kierownik katedry ukrainoznawstwa University of Toronto, opublikował na łamach biuletynu *Carpatho-Rusyan American* obszerny artykuł o Łemkach dotyczący obszaru i ludności w Polsce. W części historycznej przedstawione są zwięzłe dzieje Karpato-Rusinów, problematyka wyznaniowa, świadomość narodowa, sytuacja w okresie panowania austriackiego, w okresie późniejszym — aż do chwili obecnej. W konkluzji prof. Magocsi stwierdza, że w Polsce, począwszy od 1970 roku, występuje odrodzenie świadomości narodowej i tożsamości Łemków oraz podkreśla, że stało się to bez udziału polskich czynników oficjalnych, które uważają Łemków za Ukraińców. Według nich Łemkowie powinni działać w ramach Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Niektórzy Łemkowie są przeciwni „separatyzmowi” i podkreślają swoją szerszą przynależność do Ukraińców. Wszyscy zaś Łemkowie obarczają odpowiedzialnością za propagandę odrębności Łemków polskich pisarzy: poetę Jerzego Harasymowicza, Andrzeja Kwileckiego, autora obszernej pracy, Tadeusza Olszańskiego i Antoniego Kroha, kolekcjonera i znawcy folkloru i sztuki łemkowskiej. Magocsi zaznacza, że „Łemkowie, którzy są czynnie zaangażowani w obecnym odrodzeniu kulturalnym, nie pragną zmiany wiekowej rzeczywistości, tj. życia w Polsce, natomiast chcą być uznawani nie za Polaków czy Ukraińców, a za Łemko-Rusinów, którzy chcą uzyskać prawo powrotu na ziemię ojczyste w Karpatach, gdzie utworzą własne okręgowe organizacje kulturalne i zbudują — czy odzyskają od katolików — kościoły obrządku wschodniego, a w lokalnych szkołach — lekcje języka łemkowskiego”. ■ We władzach naczelnych Związku Polaków w Kanadzie i Związku Narodowego Polskiego zostały przeprowadzone na walnych zjazdach w dniu 12 października br. pewne zmiany. Prezesami zostali ponownie pp. Rogoż i Twarog, natomiast w ZPwK pierwszym wiceprezesem został Leszek Wawrok, przedstawiciel pokolenia wychowanego w Kanadzie, a w ZNP pierwszym wiceprezesem został wybrany Stanisław Halek, działacz harcerski. Stanął on również na czele dyrekcji prasowej *Głosu Polskiego* na miejsce adwokata Marka Malickiego, który zrezygnował z tego stanowiska. ■ *Echo Tygodnia* — pismo założone i prowadzone przez Jacka Adolfa i Grażynę Farmus, ukazujące się od września 1982 roku, rozpadło się po pięciu latach na dwa tygodniki. *Echo* powstało jako swego rodzaju protest wobec władz Związku Polaków w Kanadzie i dyrekcji prasowej *Związkowca*, jako że red. Adolf został zwolniony z tego pisma. Nowe pismo zajęło stanowisko zdecydowanie pro-solidarnościowe, zdobywając systematycznie czytelników wśród nowoprzybyłych. W pewnym stopniu stało się nawet ich organem. Pismo było żywe, bogate w informacje z Polski i o Polsce. Założyciele rozstali się podobno nie tylko na tle rozbieżności i nieporozumień politycznych na temat kierunku pisma, ale i osobistych. P. Farmus uruchomiła pismo *Echo — Tygodnik Polski*, a p. Adolf — *Echo Polskie*. Sprawy sporne znajdują zapewne epilog w sądzie.

B. H.

Toronto, listopad 1987 r.

Listy do Redakcji

Lublin, 31 sierpnia 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Kulturze* (nr 7/478-8/479) z 1987 roku, piśmie liczącym się w środowiskach intelektualnych na emigracji i w kraju, w dziale: *Kronika niemiecka*, podana została informacja (str. 159): „Rektorat Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego wyróżnił Karla Dedeciusa godnością *honoris causa* w dziedzinie twórczości kulturalnej”. Nie grzeszy ona ścisłością. Prof. Karl Dedecius otrzymał nie jakąś bliżej nieokreśloną godność lecz tytuł doktora *honoris causa*. Doktorat honorowy przyznał mu nie Rektorat KUL, gdyż takich prerogatyw nie posiada i nigdy tego nie czyni. Karl Dedecius tytuł doktora *honoris causa* otrzymał od Rady Wydziału Nauk Humanistycznych KUL.

Przyznając doktorat honorowy podkreślono wagę twórczości przekładowej Karla Dedeciusa. Ukazano również jego zasługi oraz Instytutu w Darmstadt, którym on kieruje, na polu przybliżania literatury polskiej czytelnikom w Niemczech i w innych krajach języka niemieckiego.

Wdzięczny będę za łaskawe opublikowanie tych kilku zdań uzupełniających i rozszerzających informację podaną w Pańskim poczytnym piśmie, o zasłużonym dla kultury niemieckiej i polskiej Karlu Dedeciusie, naszym doktorze honorowym.

Z wyrazami poważania

Prof. Ryszard BENDER
Dziekan Wydziału Nauk
Humanistycznych KUL

Rzym, 20 października 1987.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Piszę w związku z notatką zamieszczoną w numerze 10/481 *Kultury* po artykule W. Zahorskiego (str. 54) dotyczącą stosunku Kościoła do zjawiska i faktu masowego napływu polskich emigrantów do Włoch. Sprawa jest, jak wiadomo, złożona i ograniczam się do treści notatki. Najpierw więc wypowiedź biskupa Szczepana Wesołego. Nie wiem, o jakiej konferencji prasowej jest mowa (czy w ogóle była konferencja prasowa z udziałem biskupa Wesołego?) natomiast wypowiedź dotyczącą ograniczenia wydawania wizy słyszałem. W wywiadzie udzielonym włoskiej telewizji ksiądz biskup Wesoły stwierdził, że być może należałoby ograniczyć ilość wydawanych wiz do czasu, aż zostaną stworzone struktury zdolne zapewnić opiekę tak wielkiej ilości przybywających osób (cytuje oczywiście z pamięci). Biskup mówił to pod wrażeniem sytuacji przybywających każdego dnia dziesiątek i setek osób, które — nie znajdując spodziewanego oparcia — koczowały w dramatycznych warunkach. Wówczas zrozumiałem słowa biskupa jako delikatne danie do zrozumienia Włochom, że jeśli zdecydowały się na przyjmowanie uchodźców, powinny zapewnić im minimum ludzkich warunków egzystencji. Nie pytałem biskupa, jaka była jego intencja, ale widziałem co się wówczas

(w połowie sierpnia) działa i sędzę, że tej wypowiedzi nie można odrywać od ówczesnego kontekstu. Co zaś do zdania zaczynającego się od słów „Kościół zrobiłby lepiej...” zawierającego wskazania dla Kościoła, to wydaje mi się ono głęboko niesprawiedliwe. Właśnie Kościół i bodaj tylko Kościół w miarę i ponad miarę swych możliwości wyszedł naprzeciw potrzebom uchodźców i spieszył oraz nadal spieszy im z pomocą i to bynajmniej nie tylko duchową, choć i tej nie sposób przecenić. Nie jestem upoważniony do referowania szczegółów. Szkoda jednak, że przed ogłoszeniem noty Redakcja nie porozumiała się, przynajmniej telefonicznie, z ks. Andrzejem Ducewskim, zajmującym się z ramienia Kościoła pomocą emigrantom.

Łączę wyrazy szczerego szacunku

Ks. Adam BONIECKI

Gdynia, 3 sierpnia 1987.

Wielce Szanowny Panie,

Pozwalam sobie zwrócić się do Pana jako przedstawiciela kultury polskiej za granicą, aby skierować Pańską uwagę na wydawnictwo londyńskie, które tę kulturę obraża i prowokuje do protestu.

Chodzi mi o angielską książkę Jamesa Michenera, autora popularnych *bestseller'ów*. Tytuł „Poland”, umieszczony na okładce w postaci grafiku „Solidarności” (świadczenie aktualności treści) działa jako atrakcja — reklama. Podtytuł: *New international bestseller*. 849 stron. Corgi edition. Książka była wydawana rok po roku (I) wydanie III z 1985 roku, które mam w ręku, jest zapewne nie ostatnim.

Z przedmowy dowiadujemy się, że autor był w Polsce osiem razy, poznał ją prawie całą, latał nad nią helikopterem (!), rezydował w Łańcucie, przeprowadzał wywiady z najwyższymi autorytetami (Wyszynski, Wojtyła, Glomp).

Michener zaznacza we wstępie, że w poszczególnych rozdziałach występują osoby zarówno autentyczne jak i fikcyjne. W rozdziale X, ostatnim, jako jedyne autentyczne wymienia Reagana i Jana Pawła II.

Na tej podstawie czytelnik może się zorientować, że wymieniony w tym rozdziale 50 razy (str. 845-849) Tytus Chałubiński jest osobą fikcyjną. Formalnie autor jest w porządku. Niemniej — tylko formalnie. Gdyby osoba fikcyjna, o której mowa, nazywała się np. Kowalski, nie byłoby problemu. Ale, gdy szczególnie negatywnemu osobnikowi (konfident, donosiciel) dano wyjątkowo rzadkie imię Polaka o legendarnej wprost sławie i zasługach, czytelnik polski zmuszony jest zaprotestować.

Nie do pojęcia są tutaj dwie sprawy.

a) że autor, rzekomo tak dobrze znający Polskę, nie oglądał w Zakopanem pomnika Chałubińskiego, nie spotkał się w Warszawie, Wrocławiu i paru innych miastach z ulicą Chałubińskiego i nie słyszał o żadnej z instytucji tegoż imienia;

b) że na niewłaściwość wprowadzenia tego nazwiska nie zwróciły mu uwagi osoby, którym Michener tak gorąco dziękuje we wstępie za kontrolę rękopisu: prof. Marian Turski z Rzymu i pani Klara Głowczewska z Nowego Jorku.

Wprowadzenie imienia i nazwiska Tytusa Chałubińskiego do popularnej książki o wielkich nakładach jest nie tylko lekkomyślne, ale w stosunku do czytelnika polskiego obraźliwe, zaś w stosunku do czytelnika angielskiego — szkodliwe. Z racji skojarzeń, jakie wywołuje, staje się dezinformacją. Pomyślmy o młodzieży polonijnej w krajach anglosaskich!

W moim przekonaniu oficjalny apel o usunięcie nazwiska Chałubińskiego

z przyszłych wydań książki wyjść powinien nie od rodziny, ale od którejś z poważnych instytucji, reprezentujących kulturę polską za granicą. Najwłaściwszą chyba formą sformułowania takiego apelu byłaby recenzja książki, zamieszczona w którymś z zagranicznych pism polskich.

Przekazując ten problem do rozważenia Wielce Szanownemu Panu, łączę wyrazy głębokiego poważania

Aniela CHALUBIŃSKA

emer. prof. U.M.C.S. w Lublinie

adres: ul. Sowińskiego 8/15, 20-040 Lublin.

Paryż, 26 października 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Niestety dopiero w tych dniach otrzymałem październikowy numer *Kultury*, w którym zamieszczony jest wywiad przeprowadzony ze mną przez Panią Hernandez-Paluch.

Będę czuł się zobowiązany jeśli zamieszczą Państwo — o ile to będzie możliwe w najbliższym numerze pisma — następujące moje oświadczenie:

„W związku z tym, że wywiad przeprowadzony ze mną, który ukazał się w *Kulturze*, nie został mi przedstawiony do autoryzacji nie poczuwam się do odpowiedzialności za występujące w nim nieścisłości”.

Łączę wyrazy szacunku

Piotr CHRUSZCZYŃSKI

15 października 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Piotr Chruszczyński w rozmowie opublikowanej w numerze 10/1987 *Kultury* mówiąc o grupach „Solidarności” w Kanadzie wymienił jedynie Komitet Poparcia „Solidarności”, wydający pismo *Solidarność i Niepodległość*.

Otóż w Kanadzie istnieje i działa (praktycznie w każdym większym mieście) 7 grup (organizacji) pomagających „Solidarności” w Polsce. Od najstarszych, tj. Polish Canadian Action Group w Toronto i Grupy Działania na rzecz „Solidarności” w Montrealu poprzez Friends of Solidarity w Kitchener, Winnipegu i Vancouver aż do organizacji Solidarność Emigracji — Emigracja Solidarności w Edmonton.

Komitet, który wymienił pan Chruszczyński w rzeczywistości nazywa się Polskie Ugrupowanie Polityczno-Społeczne „Niepodległość - Solidarność” w Calgary, które wydawało do 1986 roku biuletyn informacyjny *Niepodległość - Solidarność*, redagowany przez zespół kierowany przez Jana Moczulaka.

Wyżej wymienione grupy (których członkami są również byli internowani) wysłały łącznicę do kraju na pomoc dla „Solidarności” w latach 1982-1986 ponad 100 tys. dolarów kanadyjskich (m.in. poprzez *Kulturę*).

Na II Konferencji Organizacji Prosolidarnościowych z terenu Kanady (Kitchener, Ontario — 30/31 sierpnia 1986 roku) powołano Kanadyjską Federację Grup Pomocy „Solidarności”. Federacja ta z kolei jako całość (grupa regionalna) weszła w skład CSSO — Conference of Solidarity Support Organisations (Ogólnoswiatowego Zrzeszenia Organizacji Pomocy „Solidarności”). Fakt ten odnotowany został również przez *Kulturę* w Kronice Kanadyjskiej.

Z wyrazami prawdziwego szacunku

Richard HEITH

10 listopada 1987.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W *Kulturze* (nr 9/480) z września 1987 roku ukazał się list p. Krzysztofa Rowińskiego, w którym autor „prostuje błąd faktyczny” p. Broncella w jego artykule „Londyn leży nad Wisłą”. Pisał p. Broncell, że jakoby żaden z teatrów w Polsce nie wystawił żadnej ze sztuk Stanisławy Przybyszewskiej o rewolucji francuskiej.

Prostując, p. Rowiński podaje między innymi, że w roku 1933 Teatr Polski w Warszawie wystawił „Sprawę Dantona” i „dopiero w 1975 roku” Wajda wznowił wystawienie tej sztuki. I tu z kolei p. Rowiński popełnia „błąd faktyczny”, bowiem Teatr Polski we Wrocławiu wystawił przed Wajdą w latach 1966-1967 „Sprawę Dantona” z Przegrodzkim w roli Robespierre'a.

Z głębokim poważaniem

Leonidas DUDAREW-OSSETYŃSKI

Monachium, 19 października 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 10/481 *Kultury*, w „Kronice niemieckiej” i w wywiadzie z p. Piotrem Chruszczyńskim pojawiło się moje nazwisko. Ponieważ zawarte tam informacje nie są dokładne — pragnę sprostować:

Nie jest ścisłe, że to Radio Wolna Europa nie zezwoliło mi na udział w otwarciu wystawy w Moguncji. Rzeczywiście, wybierałem się tam i początkowo kilkakrotnie potwierdzałem chęć uczestnictwa, ale jestem etatowym pracownikiem RWE i obowiązki związane z pracą mają pierwszeństwo przed występami artystycznymi. W tym przypadku ja sam uznałem, że wyjazd poza Monachium, w dzień powszedni, właśnie nie da się pogodzić z obowiązkami.

Nie jest ścisła informacja p. Chruszczyńskiego, że będąc członkiem-założycielem Komitetu „Solidarności” w Paryżu oznajmiłem w pewnym momencie, iż nie chcę dalej w nim pracować, bo mam zamiar... śpiewać. Było inaczej: po kilku miesiącach działalności w tym Komitecie Koledzy powiedzieli, żebym zostawił biuro, bo więcej korzyści dla sprawy przyniosą moje koncerty, mobilizujące Polonię wolnego świata. Po dyskusji z pozostałymi członkami Komitetu doszedłem do wniosku, że mają oni rację. Tak więc moje odejście było wynikiem wspólnej decyzji.

Z poważaniem

Jacek KACZMARSKI

Poznań, we wrześniu 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Niestety dopiero teraz mogłem przeczytać październikowy numer *Kultury* z ubiegłego roku. Znalazłem w nim również moje wiersze, co może tylko cieszyć autora, moją radość zmąciło jednak to, że na skutek błędu drukarskiego zostały mi przypisane także wiersze Wystana H. Audena, których jestem zaledwie tłumaczem. Chociaż upłynęło tak dużo czasu, sądzę, że powinienem ten przykry błąd sprostować: siedem ostatnich utworów to przekłady z Audena, a nie moje wiersze.

Z poważaniem

Ryszard KRYNICKI

Niles, IL, USA, 26 września 1987.

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule „Kongres i władza wykonawcza USA” (wrześniowy numer *Kultury*, 9/840) p. Zbigniew Byrski, nawiązując do głośniejszej sprawy Iran — *contras*, pisze o głębokim kryzysie amerykańskiej demokracji. „Proces demokratyczny”, twierdzi, „jest nie do utrzymania”, natomiast „działania bez wiedzy Kongresu nie są defektami ustroju”, ale „jego kłopotami bezpieczeństwa”. I nieco dalej: „żeby zachować system jako fundament ustroju, trzeba go od czasu do czasu omijać, żeby nie rzeć po prostu — gwałcić”. Przy tym płk Ollie North wyrasta w opinii p. Byrskiego do roli bohatera narodowego. Jest w tym wszystkim jakieś wielkie nieporozumienie.

Podstawą systemu demokratycznego jest oparte o konstytucję prawo, które w równej mierze obowiązuje rządzących jak rządzonych. Jego gwałcenie w żadnym wypadku nie może być usprawiedliwiane rzekomą koniecznością zachowania ustroju. Byłoby to sankcjonowaniem niepraworządności. Łamanie prawa jest łamaniem ustroju. Prowadzi na manowce ustrojów totalitarnych, o czym my, Polacy, wiemy aż nadto dobrze. Bo gdzie jest granica? Kiedy i w jakim stopniu prawo można i należy łamać, a kiedy nie? I kto ma o tym decydować? Nieodpowiedzialni przed społeczeństwem płk North i jego zwierzchnik w Krajowej Radzie Bezpieczeństwa adm. Pointdexter? „Spisek pułkowników”, bo tak to należy określić, nie jest właściwą metodą obrony demokracji.

„Tak, kłamałem, oszukiwałem i postępowałem tak, żeby zatajać informacje przed Kongresem i społeczeństwem amerykańskim”, brawurował płk North przed komisją inwestygacyjną Kongresu. „Amerykanie okazali uznanie i podziw dla tych cech charakteru” płk. Northa, patriotyzmu i żołnierskiej odwagi — zachwycił się p. Byrski. Na krótki czas butna postawa płk. Northa odwróciła uwagę opinii publicznej od sensu jego słów. W miesiąc później Ollie Northa na widowni już nie było. To i dobrze.

Dwukrotnie w przeciągu stosunkowo krótkiego okresu czasu byliśmy świadkami na wysokich szczeblach podejmowanych prób łamania prawa (Watergate i obecnie sprawa Iran — *contras*). W obu wypadkach wysoko postawione osobistości w aparacie rządowym usiłowały postawić się ponad prawem, argumentując, że ich ono nie dotyczy, skoro mają do spełnienia jakąś w ich przekonaniu szczególną misję. To, że w obu wypadkach system demokratyczny przetrwał oba kryzysy bez większego uszczerbku jest chyba wyrazem jego trwałości, a nie kryzysu, o jakim pisze p. Byrski.

P. Byrski ma natomiast rację, pisząc o liberalno-lewicowych środowiskach Partii Demokratycznej, które chowając głowę w piasek nie widzą — nie chcą widzieć — zagrożenia sowieckiego i jego pochodnych: Afganistanu, Kuby, Nikaragui itp., a których „jedynym pragnieniem... jest spokój, bezpieczeństwo (dodam od siebie że w tej sytuacji złudne) i niedrażnienie sowieckiego kolosa”. Jego to stanowisko groźne, ale nawet w środowiskach liberalno-lewicowych niejednolite. Warto w tym miejscu powołać się na opinie A. M. Rosenthala, b. redaktora naczelnego zdawałoby się arcyliberalnego *The New York Times*'a, który przestrzega Amerykanów przed bezkrytycznym zachłynianiem się gorbaczowską *glasnością* (25 września br.). Wylicza on cztery problemy, na podstawie których należy, jego zdaniem, oceniać dalszy rozwój sytuacji w Rosji.

— Zgoda Sovietów na redukcję sił konwencjonalnych w Europie, żeby zapewnić, że po wycofaniu arsenału nuklearnego nie uzyskają one bezwzględnej i groźnej przewagi na terenie Europy Zachodniej.

— Pełne przestrzeganie umów międzynarodowych gwarantujących prawa i swobody obywatelskie. „Przestrzeganie umów o prawach ludzkich, łącznie

z opróżnieniem obozów dla więźniów politycznych, może być kluczem do oceny prawdopodobieństwa przestrzegania stanowiących o życiu lub śmierci układów rozbrojeniowych”.

— Polityczne i militarne wycofanie się z Europy Wschodniej. „Jeżeli *glasnost* jest rzeczywista i trwała, Moskwa nie potrzebuje obawiać się, że wolność w Europie Wschodniej zagrozi Związkowi Sowieckiemu.

— Rozmontowanie, w trybie przyspieszonym, struktury państwa policyjnego. „Tak długo jak władza policyjna KGB dominuje nad rzeczywistością polityczną Sowietów, *glasnost* może być powstrzymana albo odwrócona przez KGB albo samego Gorbaczowa”.

Kazimierz ŁUKOMSKI

Tomasz Mianowicz
Ortlindestr. 2/III
8000 München 81

Dnia 8 października 1987.

OŚWIADCZENIE

Dnia 27 kwietnia 1987 złożyłem w Wydziale d/s Karnych Sądu 1. Instancji (*Amtsgericht*) w Monachium skargę z oskarżenia prywatnego przeciwko Markowi Staśce, z powodu oszczerstwa. Marek Staśko, zatrudniony w charakterze spikera w Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa, w okresie od 25 lutego 1986 rozpowszechniał w piśmie i w mowie nieprawdziwe twierdzenia, dotyczące rzekomego niewypelniania przeze mnie obowiązków służbowych w czasie wykonywania przeze mnie funkcji redaktora dyżurnego w dziale Dziennika Radiowego Sekcji Polskiej RWE.

W czasie rozprawy przed Komisją Arbitrażową dnia 29 lipca 1987 (Nr akt 201/0332/87) zawarte zostało porozumienie, które treść podaję w polskim tłumaczeniu:

Miasto Stołeczne Monachium
Wydział Okręgowy Władz Administracyjnych
Komisja Arbitrażowa

Nr akt 201/0332/87

W sprawie

Tomasz Mianowicz, Ortlindestr. 2, 8000 Monachium 81

przeciwko

Marek Staśko, Stolzingstr. 6, 8000 Monachium 81

— pozwany

z powodu zniesławienia

zostało zawarte za pośrednictwem Komisji Arbitrażowej następujące porozumienie:

1. Pozwany oświadcza, że twierdzenia zawarte w jego piśmie z dn. 25. 2. 1986, dotyczące rzekomej niepunktualności wnioskodawcy, zwłaszcza nieprzygotowywania przez niego określonych dzienników radiowych, powstały na skutek nacisków ze strony Włodzimierza Rogoyskiego, pełniącego wówczas obowiązki zastępcy kierownika Redakcji Dziennika, który z kolei działał na zlecenie byłego dyrektora Działu Polskiego Radia Free Europe Zdzisława Najdera.

W tej sytuacji wnioskodawca rezygnuje ze ścigania pozwanego na drodze karnej.

2. Pozwany nie podtrzymuje twierdzeń zawartych w piśmie z dn. 25. 2. 1986 i powtarzanych następnie ustnie oraz zobowiązuje się od tej chwili do niepowtarzania ich.
3. Niniejszym zakończona zostaje również sprawa sądowa z oskarżenia prywatnego Mianowicz v. Staśko (Nr akt 73 Bs 122/87) tocząca się przed Sądem 1. Instancji w Monachium.
4. Pozwany pokrywa koszty wymienionej w punkcie 3. sprawy sądowej oraz niniejszego postępowania arbitrażowego.
5. Strony otrzymują na żądanie uwierzytelnione odpisy niniejszego porozumienia. (...)

Oświadczenie niniejsze publikuję na mocy przysługującego mi prawa do obrony mego dobrego imienia i godności osobistej. Zmusza mnie do tego również fakt, że kłamliwe twierdzenia, dotyczące mojej pracy na stanowisku redaktora dziennika Sekcji Polskiej RWE rozpowszechniano także poza moim miejscem pracy. Kieruję się ponadto przeświadczeniem, że publiczne przedstawienie jednej, ale nie jedynej ze spraw, które w ostatnich latach doprowadziły do bezprecedensowych napięć w Sekcji Polskiej RWE, przyczyni się do zapobieżenia w przyszłości stosowaniu wobec niektórych pracowników różnorodnych metod sprzecznych z prawem.

Tomasz MIANOWICZ

Forest Hills, N.Y. 11375, 21 czerwca 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku ze wspomnieniem o moim Ojcu, Adamie Rudzki, które ukazało się w czerwcowym numerze *Kultury*, chciałbym poprawić kilka nieścisłości i dodać kilka szczegółów.

Adam Rudzki zmarł 4 maja 1987, a nie 3 maja. We wrześniu 1939 przekroczył granicę łotewską, a nie litewską. Obie jego książki, „Administracja portów” i „Zarys polskiej polityki komunikacyjnej” opublikowane były w Londynie w 1945 roku. Instytucja dla której pracował początkowo po wyemigracji do Ameryki nazywała się Mid-European Study Center.

Adam Rudzki jako polski dyrektor portu w Gdańsku pozostał na swoim posterunku w sierpniu 1939 aż do momentu ogłoszenia mobilizacji, której podlegał. Opuścił wtedy Gdańsk jednym z ostatnich pociągów jakie jeszcze przechodziły do Gdyni, inwigilowany przez Gestapo. W ostatnich dniach w Gdańsku uratował życie szeregowi pracowników polskich Rady Portu wypłacając im zaliczki i wysyłając natychmiast do Polski. W czasie internowania na Łotwie organizował wspólnie z oficerem lotnictwa Witoldem Sylwestrowiczem i przy pomocy łotewskich Polaków masową ucieczkę z obozu. Ucieczka udała się w pierwszym rzucie, ale zawiodły ciężarówki, które przybyć miały na punkt zborny, by przewieźć polskich oficerów na wybrzeże. W rezultacie nastąpiło ponowne internowanie. W grudniu 1939 Ojciec indywidualnie wyostał się z obozu i dotarł do Anglii.

Chciałbym dodać, że Adam Rudzki pozostał czynny i aktywny do ostatnich dni swego życia walcząc o tę samą sprawę, której poświęcił swoje lata na emigracji.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Marek A. RUDZKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

St. B., Paryż. — Artykułu nie zamieścimy. Nie nadaje się do druku. Próbuje Pan definiować na nowo kategorie etyczne i reguły polityki w przekonaniu odkrywania prawd wiecznych. To zupełnie się Panu nie udało.

Słówka, Warszawa. — Nie zamieścimy. Nie możemy zrozumieć, jak na podstawie słownika *Who is who* można dokonywać ocen poszczególnych narodów, silić się na ogólnienia typu czy więcej jest artystów czy bankierów i co z tego wynika.

Zb. Pr., Graz (Austria). — Nie zamieścimy. Nie bardzo rozumiem argumentu uzasadniającego nowe możliwości, jakie stwarza Polsce układ antyrakietowy między USA i Sowiecami. Wskazanie li-tylko na inteligencji rodowej „Solidarności” też nie jest do utrzymania. Nie mówiąc, że to są argumenty reżymu.

J. G. Sindelfingen (RFN). — Nie zamieścimy. Pana propozycje, niestety, są nierealne.

PRO ARTE

Nowy kwartalnik poświęcony polskiej sztuce poza Krajem w języku polskim i angielskim. Luksusowe wydanie ograniczone do 400 numerowanych egzemplarzy, 48 stron. Pierwszy numer — lato 1987 zawiera artykuły o malarzach E. Żaku, Z. Menkesie, rzeźbiarzu L. Kozakiewiczu oraz jako stałą pozycję, wywiad ze współcześnie działającym polskim artystą na Zachodzie oraz dwie jego sygnowane oryginalne grafiki. Kronika odnotowuje ceny polskich dzieł sztuki i antyków na rynkach międzynarodowych.

Wojtek FIBAK — wydawca

Z. Michael LEGUTKO — redaktor

Roczna prenumerata 130 \$. Pojedynczy numer 40 \$.

Zapewniamy pełną gwarancję.

Zamówienia prosimy kierować do:

PRO ARTE

147, Milton Street, Brooklyn, New York 11222, USA

Indeks autorów i tematów rocznika "Kultura" za rok 1987

Spis autorów

ABRAMOWICZ Marek, ACHMATOWICZ Aleksander. — BA-KOWSKI Adam, BENDER Ryszard, BERBERYUSZ Ewa, BESANÇON Alain, B.H., BIENIECKI Kajetan, BIEREZIN Jacek, BOFF Leonardo O., OFM, BONDY François, BONIECKI Adam ks., BONIECKI Jerzy, BORUSEWICZ Bogdan, BOBRYLINGO Stanisław, BRANDYS Kazimierz, BRECHT Bertolt, BRONCELL Zdzisław, BROŃSKI M., BYRSKI Zbigniew. — CHABROWSKI Tadeusz, CHALUBIŃSKA Aniela, CHARŁAMP Witold, CHILECKI Andrzej J., CHLEBOWICZ Marek, CHOJECKI Miroslaw, CHOJNOWSKI Andrzej, CHRUSZCZYŃSKI Piotr, CHYLIŃSKA Kamila, CIOŁKOSZOWA Lidia, CZAPSKI Józef, CZAYKOWSKI Bogdan, CZERNIAKOWSKI Jan, CZYMBURA Maria. — DAHRENDORF Ralf, DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DARSKI Józef, DELAPERRIERE Maria, D.M., DUDAREW-OSSETYŃSKI Leonidas, DYBCIAK Krzysztof, DZIEWIĘCKA Małgorzata. — FERNANDEZ Rubem Cesar, FRAJLICH Anna. — GADOMSKI Józef Wojciech, GAJOWNICZEK Paweł, GARLIŃSKI Józef, GAWLIKOWSKI Krzysztof, GIEŁŻYŃSKI Wojciech, GLEMP Józef, prymas, GOMUŁKA Stanisław, GORCZYŃSKA Renata, GRÉMION Pierre, GROMOW W., GROTKWAŚNIEWSKI Jerzy, GROTCOWICZ Wiktor, GRUPIŃSKI Rafał. — HARIASZ Krzysztof, HEITH Richard, HELLER Michał, HERBERT Zbigniew, HERLING-GRUZIŃSKI Gustaw, HERNANDEZ PALUCH de Maria, HERTZ Paweł, HEYDENKORN Benedykt, HORZELSKI Jerzy P. — IWANŃSKA Alicja. — (ja), JAGODZIŃSKI Zdzisław, JAMKA Lech Jan, JANKOWSKI Feliks, JARZYŃSKI M., J.B., JELEŃSKI Konstanty A., JERZ Tomasz, JURYS Julia. — KACZMARSKI Jacek, KALABIŃSKI Jacek, KAMIŃSKI Wojciech Z., KARPIŃSKI Jakub, KARPIŃSKI Wojciech, KATZ-HEWETSON Janina, K.E., KI-

SIELEWSKI Stefan, KLEMPSKI Tymoteusz, KOŁAKOWSKI Leszek, KOSTRZEWA Robert, KOWALEWSKI Janusz, KRASIŃSKI Andrzej, KRISTOL Irving, KRÓTKI Karol J., KRUCZEK Adam, KRYNICKI Ryszard, KUCZYŃSKI Waldemar, KUKLIŃSKI Ryszard J., KURATOWSKA Zofia, KURECKA Maria, KWIATKOWSKA-VIATTEAU Aleksandra. — LASOTA Irena, LICHTEN Józef, LIDA P., LIPSKI Jan Józef, L.L., LOZORAITIS Statys jr., LUDKIEWICZ Stanisław. — ŁOMŻA Tomasz, ŁOBODOWSKI Józef, ŁUKOMSKI Kazimierz. — MACKIWI T., MALESZKA Lesław, MAŁKOWSKI St. ks., MAŁY-NOWYCZ Wołodymyr, MARTINOWA Halina „Dorota”, MIANOWICZ Tomasz, MICHALSKI Marek, MIŁOSZ Czesław, MONDRY Janusz, MORAWSKI Dominik, MORELEWSKI Jan F., MROŻEK Sławomir. — NASIELSKI Adam, NAWROCKI Grzegorz, NEKANDA-TREPKA Elżbieta, NEWERLY Igor, NOWAK Jan. — OSADCZUK Bohdan, OSIECKA Agnieszka, OSTROWSKI Michał. — PELC Maksymilian, PELIKAN, PIĘTAK Piotr, PILARSKA Joanna, PIŁSUDSKI Rowmund, PIOTRÓWSKI Stanisław, PLATER ZYBERK Eugeniusz, ks., PODGÓRSKI Karol, POGONOWSKA Anna, POLONSKY Antony, POMIAN Krzysztof, POPLAWSKI Wojciech, POSPIESZALSKI Antoni, PROKOP Jan, PROKOP Marek P., PRUS Maciej Piotr. — RACZAK Lech, RADOWYSKI Jan, REDAKCJA, REDAKCJA „ARKI”, REDAKCJA „KULTURY”, ROMASZEWSKI Zbigniew, ROWIŃSKI Krzysztof, RUDZKI Marek A., RUSZKOWSKI Mikołaj, RUTKOWSKI Krzysztof, RYŃKIEWICZ Artur. — SALAMON Joanna, SASKOWROŃSKI M., SIEMASZKO Z. S., SIEWIERSKI Henryk, SIKORA Wojciech, SKALSKI Ernest, SŁOWIK Andrzej, SMOGORZEWSKI Kazimierz, SMOLAR Aleksander, STANKIEWICZ Zygmunt, STASIKOWSKI Bogdan, STYPUŁKOWSKA-SMITH Krystyna, SUSSMAN Leonard, SZADKOWSKI Zygmunt, SZARUGA Leszek, SZERSZEŃ Maria, SZEWCZUK Paweł, SZRETT Józef, SZPOTAŃSKI Janusz, SZUKALSKI Wiesław. — ŚMIEJA Florian. — TABORSKI Bolesław, TAVERNIER René, THOMPSON Ewa M., TOWARZYSTWO OPIEKI NAD POLSKIMI ZABYTKAMI. — ULATOWSKI Jan, UNGER Leopold. — WALCZAK Tadeusz, WAŁASZEWSKI Z. E., WANDYCZ Piotr, WĄSIK Stanisław, WIERZBIANSKI Bolesław, WIĘCKOWSKI Andrzej, WILDSTEIN Bronisław, WITKIEWICZ Jan Stanisław, „WOLA”, WOLICKI Krzysztof, WOJCIK Agnieszka, WYRWA Tadeusz. — ZAHORSKI Witold, ZAHORSKI Witold Jacek, ZAWODNY Janusz K., ZET, ZIELIŃSKI Marek, ZIELONKA Jan, ZNAWCA P. — ŻABA Norbert, ŻAGIELL E., ŻELEŃSKI Władysław.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

Ankieta „Kultury” — Gorbaczow z perspektywy polskiej. Wypowiedzi: Stanisława Gomułki, Jakuba Karpińskiego, Leszka

Kołakowskiego, Waldemara Kuczyńskiego, Jana Nowaka, Rowmunda Piłsudskiego, Aleksandra Smolara, Leopolda Ungera, Bolesława Wierzbianańskiego i Jana Zielonki (7/478-8/479).

BESANÇON Alain: *Papież, Polska i Polityka* (7/478-8/479) z francuskiego przełożyła Julia Jurys.

B.H.: *Kronika kanadyjska* (1/472-2/473, 4/475, 9/480, 12/483).

BYRSKI Zbigniew: *Kongres i władza wykonawcza w USA* (9/480). — *Sowiecki arsenał nuklearny* (1/472-2/473). — *Wielki terror roku 1987* (3/474).

CHYLIŃSKA Kamila: *Wybory i kilka spraw obok* (3/474).

GAJOWNICZEK Paweł: *Kronika norweska* (1/472-2/473).

GARLIŃSKI Józef: *List z Londynu* (12) (3/474). — *List z Londynu* (13) (7/478-8/479). — *List z Londynu* (14) (11/482).

GAWLIKOWSKI Krzysztof: *Chiny a „Starszy Brat”* (12/483). — *Studenci a przyszłość chińskiej reformy* (5/476). — *Trudna przyjaźń gigantów* (10/481).

GROMOW W.: *Bez prawdy nie zwyciężysz* (7/478-8/479) z rosyjskiego przełożył Waldemar Kuczyński.

GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy: *Kronika australijska i nowozelandzka* (3/474, 4/475, 11/482).

GROTOWICZ Wiktor: *Austria* (7/478-8/479). — *„Watergate” po niemiecku* (12/483).

JERZ Tomasz: *Ruch Społeczeństwa Alternatywnego* (3/474).

JURYŚ Julia (tłumacz) ob. Alain Besançon.

K.E.: *Kronika duńska* (4/475).

KLEMPSKI Tymoteusz: *Usta pełne gliny, głos stłumiony piaskiem* (9/480).

KRASIŃSKI Andrzej: *Europa Środkowa* (9/480).

KUCZYŃSKI Waldemar (tłumacz) ob. Gromow W.

MORAWSKI Dominik: *Polonika we Wspólnym Rynku* (rozmowa z Jasiem Gawrońskim) (3/474).

OSTROWSKI Michał: *Ex Oriente lux* (6/477).

PELIKAN. *Burczy w brzuchu wieloryba, ale o co chodzi?* (3/474).

POMIAN Krzysztof: *Omówienie Ankiety „Kultury” — Gorbaczow z perspektywy polskiej* (7/478-8/479).

ROMASZEWSKI Zbigniew: *Jak Polak z Polakiem — „Rozdroży” ciąg dalszy* (11/482). — *Rozdroża „Solidarności”* (1/472-2/473).

SIKORA Wojciech: *Kronika francuska* (1/472-2/473, 3/474, 4/475, 6/477).

SZUKALSKI Wiesław: *Dwie Europy Środkowe* (1/472-2/473).

SZRETT Józef: *Antypolonizm* (12/483). — *Drzwi zamknięte* (5/476).

ULATOWSKI Jan: *Na marginesie Ankiety „Kultury”* (10/481).

UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli*: — *Abdallah sługa boży* (5/476). — *Poławiacze min czy poławiacze perel?* (10/481). — *Widziane z Brukseli i z Australii — Mourir pour Kiribati* (3/474).

WOLICKI Krzysztof: *W zatrzaśniętej putapce* (11/482).

- Wydarzenia miesiąca (1/472-2/473, 3/474, 4/475, 5/476, 6/477, 7/478-8/479, 9/480, 10/481, 11/482, 12/483).
 ZNAWCA P.: Czy mamy życzyć Gorbaczowowi powodzenia? (4/475).
 ŻABA Norbert: Kronika szwedzka (5/476, 10/481).

Obserwatorium

REDAKCJA: O zapowiedzianych reformach w PRL (11/482).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

- BONDY François: *Kot* (7/478-8/479) z francuskiego przełożyła Julia Juryś.
 GADOMSKI Józef Wojciech: *Modlitewnik Gasztołda* (5/476).
 — *Smutek rusińskich pustkowi* (9/480).
 GORCZYŃSKA Renata: *Dwaj panowie na „Chrobrym”* (9/480).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (1/472-2/473, 3/474, 4/475, 7/478-8/479, 12/483).
 IWĄŃSKA Alicja: *Brazylijscy potomkowie Scarlett O'Hara* (6/477).
 JELEŃSKI Konstanty A.: *Jak żołnierze w okopach...* (7/478-8/479).
 Z francuskiego przeł. Julia Juryś.
 JURYŚ Julia (tłumacz) ob. Bondy François, Jeleński K. A.
 KARPIŃSKI Wojciech: *Spotkanie z Kotem Jeleńskim* (7/478-8/479).
 MIŁOŚZ Czesław: *Konstanty: polskie tło* (7/478-8/479).
 MROŹEK Sławomir: *Pilna sprawa* (4/475).
 POMIAN Krzysztof: *Jeleński — Szkic do portretu* (7/478-8/479).

Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- BRANDYS Kazimierz: *Miesiące* (6/477).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Pożar w Kaplicy Sykstyńskiej A.D. 1998* (10/481).
 NOWAKOWSKI Marek: *Żydowski hrabia* (6/477).
 SZERSZEŃ Maria: *Moja odpowiedź* (1/472-2/473).
 ZAWODNY Janusz K.: *Rzeczy nieudane* (6/477).

Utworki poetyckie

- BAKOWSKI Adam: *Bezsenny dzień* (3/474).
 — *Wyspa Świętego Ludwika* (3/474).
 BRECHT Bertolt: *Rezolucja* (12/483) z niemieckiego przeł. Janusz Szpotański.

- BIEREZIN Jacek: *Nie piszę listu...* (6/477).
 — *Wiadomości z Kraju* (6/477).
 CHABROWSKI Tadeusz: *Odciski palców matki* (3/474).
 — *Zamiast sonetu* (3/474).
 CZAYKOWSKI Bogdan: *Odwiedziny 1973* (4/475).
 — *Przemijają kobiety* (4/475).
 — *Wiatr z innej strony* (7/478-8/479).
 FRAJLICH Anna: *Wiedza ezoteryczna* (7/478-8/479).
 HERBERT Zbigniew: *Bajka o gwoździu* (1/472-2/473).
 — *Dęby* (1/472-2/473).
 — *Przemiany Liwiusza* (1/472-2/473).
 KRYNICKI Ryszard: *Epitafium tyrana* (7/478-8/479).
 — *Przekreślony początek* (7/478-8/479).
 MIŁOŚZ Czesław: *Pan Anusewicz (1922)* (9/480).
 OSIECKA Agnieszka: *Marek Hłasko* (4/475).
 PROKOP Jan: *Od czasu do czasu...* (6/477).
 PRUS Maciej Piotr: *Za głuche słowa pojednania* (6/477).
 — *Żydzi polscy* (6/477).
 SALAMON Joanna: *Jak rodacy?* (4/475).
 SZPOTAŃSKI Janusz (tłumacz) ob. Bertolt Brecht.

Sprawy krajowe

- ABRAMOWICZ Marek: *Rem* (7/478-8/479).
 CHARŁAMP Witold: *Dziennik zewnętrzny* (5/476, 7/478-8/479, 9/480, 11/482, 12/483).
Deklaracja opozycji niepodległościowej (7/478-8/479).
 FERDYDURKE Fryderyk: *Gombrowicz i cenzura* (9/480).
 (ja): *Notatki z Polski* (1/472-2/473, 4/475, 6/477, 10/481, 12/483).
 JANKOWSKI Feliks: *Jeszcze jeden Katyń?* (11/482).
 JERZ Tomasz: *Twierdza nienawiści* (11/482).
 KURATOWSKA Zofia: *Służba zdrowia — Kto winien?* (3/474).
List 63 (7/478-8/479).
 L.L.: *Uwagi o niezależnym obiegu wydawniczym* (10/481).
 ŁOMŻA Tomasz: *Polska telewizja a zgoda narodowa* (5/476).
 — *Sygnaty bez odpowiedzi* (4/475).
 MALESZKA Lesław: *Refleksje o życiu bieżącym* (10/481).
Nie tylko o pielgrzymce (10/481).
Oświadczenie w sprawie wywiezionych Polaków (10/481).
 PIOTROWSKI Stanisław: *Architektura polska wczoraj i dziś* (6/477).
Polska Partia Niepodległościowa (PPN) (9/480).
 SKALSKI Ernest: *O leniwych Polakach* (1/472-2/473).
 — *Reforma* (12/483).
Smutne ale prawdziwe (10/481).
Wniosek o zwołanie posiedzenia Komisji Krajowej (11/482).
 ZET: *Kilka uwag o wywiadzie płk. Kuklińskiego* (7/478-8/479).
Z rozmowy ze Stefanem Kisielewskim (10/481).
 ZIELIŃSKI, Marek: *Inaczej* (1/472-2/473).

Sąsiedzi

- CHILECKI Andrzej J.: *Kronika niemiecka* (1/472-2/473, 3/474, 4/475, 5/476, 6/477, 7/478-8/479, 9/480, 10/481, 11/482, 12/483).
 DARSKI Józef: *Kronika białoruska* (6/477, 11/482).
 — *Kronika ukraińska* (3/474, 7/478-8/479, 10/481, 11/482, 12/483).
 — (tłumacz) ob. Maćkiw T.
 KRUCZEK Adam: *W sowieckiej prasie* (1/472-2/473, 3/474, 4/475, 5/476, 6/477, 7/478-8/479, 9/480, 10/481, 11/482, 12/483).
 ŁOBODOWSKI Józef: *60-lecie twórczości Ułasa Samczuka* (6/477).
 MAĆKIW T.: *Problem ukraińskiej państwowości w publicystyce polskiej* (5/476) z ukraińskiego przełożył Józef Darski.
 MAŁYNOWYCZ Wołodymyr: *Ukraina i Polska* (9/480).
 OSADCZUK Bohdan: *Sprawa Tatarów Krymskich* (9/480).
Oświadczenie Międzynarodówki Oporu (6/477).
Oświadczenie w sprawie zasad współpracy polsko-ukraińskiej (9/480).
 ZAHORSKI Witold Jacek: *600-lecie chrystianizacji Litwy* (9/480).
 ZAGIELL E.: *Kronika litewska* (4/475, 6/477, 9/480, 12/483).

O religii bez namaszczenia

- BESANÇON Alain: *Widzieć zło tam, gdzie ono jest...* (9/480) z francuskiego przełożyła Julia Juryś.
 BOFF Leonardo, OFM: *Kościół ubogich* (1/472-2/473) z portugalskiego przełożył Henryk Siewierski.
Homilia prymasa Glempa 6 stycznia 1987 roku (3/474).
 JARZYŃSKI M.: *Wolność świeckich* (9/480).
 JURYŚ Julia (tłumacz) ob. Besançon Alain.
List intelektualistów polskich do sekretariatu ks. Prymasa (6/477).
 LIPSKI Jan Józef: *O wizycie Papieża* (9/480).
Loranc w ZSSR jako przedstawiciel Kościoła (9/480).
 MAŁKOWSKI Stanisław, ks.: *Uważają mnie za masona* (9/480).
 MORAWSKI Dominik: *Korespondencja z Rzymu*:
 — *Skonfiskowany wywiad* (1/472-2/473).
 — *Sprawa arcybiskupa Marcinkusa* (5/476).
 — *Trzecia podróż* (6/477).
 — *Watykan i Moskwa* (4/475).
 — *Wizyta Generata* (3/474).
 SIEWIERSKI Henryk (tłumacz) ob. Boff Leonardo, OFM.
 SZRETT Józef: *Kościół i Państwo* (1/472-2/473).
Życzenia Prymasa dla wiernych obrządku greckokatolickiego (3/474).

Wywiady „Kultury”

- BERBERYUSZ Ewa: *Rozmowa z Bogdanem Borusewiczem* (5/476).

- CZERNIAKOWSKI Jan: *Spółeczeństwo podziemne 1987* (wywiad z Wiktorem Kulerskim) (4/475).
Filolodzy contra komunizm (wywiad z Redakcją „Arki”) (1/472-2/473).
 HERNANDEZ DE PALUCH Maria: *Nie wyczerpaliśmy wszystkich możliwości* (Rozmowa z Piotrem Chruszczyńskim) (10/481).
 KOSTRZEWA Robert: *Przyszłość Mitteleuropy* (Rozmowa z Ralfem Dahrendorfem) (9/480).
 — *Rozmowa z Irvingiem Kristolem* (5/476).
 KUKLIŃSKI Ryszard J.: *Wojna z Narodem widziana od środka* (Rozmowa z „Kulturą”) (4/475).
 NAWROCKI Grzegorz: *Żeby nie zapadło milczenie* (Rozmowa z Komitetem Kultury Niezależnej) (7/478-8/479).
 PODGORSKI Karol: *„Wolny zawód”* (Rozmowa z Wojciechem Gieżyńskim) (9/480).
 STYPUŁKOWSKA-SMITH Krystyna: *Stosunki PRL — ZSSR* (Rozmowa z Michałem Jagiełło) (10/481).

Wolna trybuna

- STASIKOWSKI Bogdan: *Komitet Kultury Niezależnej — wątpliwości* (9/480).
 ZIELIŃSKI Marek: *Inny kraj* (11/482).

Sprawy i troski

- Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” za granicą* (9/480).
 BONIECKI Jerzy: *Czy tylko krzywe spojrzenie?* (3/474).
 BYRSKI Zbigniew: *Opozycja w Kraju a emigracja* (7/478-8/479).
 CZYMBURA Maria: *Eastern Europe* (11/482).
 DZIEWIĘCKA Małgorzata: *Najnowsza Polonia Południowo-Afrykańska* (12/483).
Endowment for Democracy (7/478-8/479).
 GORCZYŃSKA Renata: *Polski Nowy Jork na ziemi i w chmurach* (3/474).
 KALABIŃSKI Jacek: *Między Waszyngtonem a Warszawą* (9/480).
Kryzys w „Solidarności”: Oświadczenie „Kultury” i list Krzysztofa Pomiana (10/481).
 KWIATKOWSKA VIATTEAU Aleksandra: *Polskie muzea i biblioteki na Zachodzie* (4/475).
 LASOTA Irena: *Nowe fundusze dla opozycji* (7/478-8/479).
 — *Wyjaśnienie Komitetu Pomocy „Solidarności”* (10/481).
 MONDRY Janusz: *Jerzy Milewski w Japonii* (10/481).
 NASIELSKI Adam: *40 lat polskiej prasy w Australii* (6/477).
National Endowment for Democracy: program na 1987 rok (9/480).
 PILARSKA Joanna: *Włosi a wizyta gen. Jaruzelskiego* (3/474).

- Pomoc finansowa dla NSZZ „Solidarność” z zagranicy (9/480).
 Sprawozdanie Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce
 Polskiej za lata 1982-1986 (6/477).
 WILDSTEIN Bronisław i CHOJECKI Mirosław: *Konflikt w „Kon-
 taktach”* (7/478-8/479).
 ZAHORSKI Witold: *Polacy we Włoszech* (10/481).

Ci, co odeszli

- CZAPSKI Józef: *James Burnham* (10/481).
 GRÉMION Pierre: *Konstanty Jeleński a Kongres Wolności Kul-
 tury* (9/480) z francuskiego przełożyła Julia Jurys.
 HELLER Michał: *Pamięci przyjaciela* (12/483).
 J.B.: *Ryszard Krygier* (3/474).
 JURYŚ Julia (tłumacz) ob. Grémion Pierre.
 KISIELEWSKI Stefan: *O Zygmuncie Mycielskim* (10/481).
 POMIAN Krzysztof (tłumacz) ob. Tavernier René.
 REDAKCJA „KULTURY”: *Konstanty Aleksander Jeleński* (6/477).
 SMOGORZEWSKI Kazimierz: *Helena Heinsdorf* (6/477).
 TAVERNIER René: *Konstanty Jeleński czyli tajemnica przyjaźni*
 (9/480) z francuskiego przełożył Krzysztof Pomian.
 WIERZBIĄŃSKI Bolesław: *Adam Rudzki* (6/477).

Kronika kulturalna

- ABRAMOWICZ Marek: *Medal Eddingtona dla Bohdana Paczyń-
 skiego* (11/482).
 — *Nagrody Kyoto 1987* (10/481).
 BRONCELL Zdzisław: *Londyn leży nad Wisłą* (6/477).
 CZAPSKI Józef: *Ostatni kapista* (12/483).
 CZAYKOWSKI Bogdan: *Angielska próba Norwida* (6/477).
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Gorzkie żale przybywajcie...*
 (5/476).
 Doroczne nagrody „Kultury” za rok 1986: Jarosław Marek Rym-
 kiewicz — nagroda literacka im. Zygmunta Hertzga; Paweł
 Morga — nagroda publicystyczna im. Juliusza Mieroszew-
 skiego (1/472-2/473).
 GADOMSKI Józef Wojciech: *Fundacja Humboldta — udział Po-
 laków* (12/483).
 GORCZYŃSKA Renata: *Archipelag Nowy Jork* (11/482).
 — *Poletko Erskine'a Caldwella* (6/477).
 — *Śmiech i trwoga* (10/481).
 GRUPIŃSKI Rafał: *Nędza literatury* (1/472-2/473).
 HORZELSKI Jerzy: *Przygodne uwagi o mowie (O Wandach, Kra-
 kach i Lechach)* (7/478-8/479).
 JELEŃSKI Konstanty A.: *„Górami w miękkim blasku dnia”*
 (1/472-2/473).

- MROŻEK Sławomir: *Oświadczenie* (10/481).
Nagrody niezależnych dziennikarzy za rok 1986 (11/482).
 RACZAK Lech: *Teatr 8-go Dnia za granicą* (7/478-8/479).
 RUSZKOWSKI Mikołaj: *Wyobraźnia i współodczuwanie (Jerzy
 Kwiatkowski 1927-1986)* (6/477).
 RUTKOWSKI Krzysztof: *Wschodnie kresy RP na uniwersytecie
 w Lille* (7/478-8/479).
 SZARUGA Leszek: *Kultura niezależna i struktury oficjalne* (1/472-
 2/473).
 WOJCIK Agnieszka: *Przekraczając granice* (7/478-8/479).
Wystawa Ernesta Kosmowskiego (1900-1983) (6/477).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BRONSKI M.: *Literaci i Lewiatan* (3/474).
 — *Medalion* (10/481).
 — *Memorandum zdrowego rozsądku* (11/482).
 CHYLIŃSKA Kamila: *Ludzkie uczucia w piekle* (5/476).
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Krakowska dyskusja* (1/472-
 2/473).
 GADOMSKI Józef Wojciech: *Młodszy brat Cezarego Baryki* (6/477).
 GORCZYŃSKA Renata: *Czarne lasy, czarne wody* (1/472-2/473).
 — *Mięszka ubogi szlachcic na Podolu...* (11/482).
 — *Rymkiewicz, Mickiewicz i „Żmut”* (7/478-8/479).
 HELLER Michał: *Wspomnienia współbiednika bogów* (1/472-
 2/473).
 HEYDENKORN Benedykt: *Listy emigrantów* (6/477).
 IWAŃSKA Alicja: *Dziennik polskiego myśliciela* (12/483).
 KATZ-HEWETSON Janina: *„Ja jestem drobiazgowym realistą...”*
 (5/476).
 — *Sól poezji* (6/477).
 — *Sztuka i myślenie* (9/480).
 KISIELEWSKI Stefan: *Brukselczyk z Warszawy widziany* (3/474).
 KOŁAKOWSKI Leszek: *Ile zabobonów?* (11/482).
 ŁOMŻA Tomasz: *Odejście z dworskich salonów* (7/478-8/479).
Nadestane nowości wydawnicze (1/472-2/473, 3/474, 4/475, 5/476,
 6/477, 7/478-8/479, 9/480, 10/481, 11/482, 12/483).
 POSPIESZAŁSKI Antoni: *Skrawek czasu* (7/478-8/479).
 RUSZKOWSKI Mikołaj: *Nowości literatury krajowej* (5/476,
 12/483).
 SZARUGA Leszek: *Szkoła wrażliwości* (9/480).
 ŚMIEJA Florian: *Człowiek i jego książki: Wojciech Gniatczyński*
 (9/480).
 UNGER Leopold: *Orzeł — i mała resztką* (3/474).
 WYRWA Tadeusz: *Polacy w Australii i Oceanii w latach 1890-1940*
 (12/483).
 ZIELIŃSKI Marek: *Lęk przed światłem* (7/478-8/479).
 — *Wstęp do epopei* (6/477).

Tłumaczenia

Z języka francuskiego

- BESANÇON Alain: *Papież, Polska i Polityka* (7/478-8/479) przeł. Julia Juryś.
 — *Widzieć zło tam, gdzie ono jest...* (9/480) przeł. Julia Juryś.
 BONDY François: *Kot* (7/478-8/479) przeł. Julia Juryś.
 GRÉMION Pierre: *Konstanty Jeleński a Kongres Wolności Kultury* (9/480) przeł. Julia Juryś.
 JELEŃSKI Konstanty A.: *Jak żołnierze w okopach...* (7/478-8/479) przeł. Julia Juryś.
 TAVERNIER René: *Konstanty Jeleński czyli tajemnica przyjaźni* (9/480) przeł. Krzysztof Pomian.

Z języka niemieckiego

- BRECHT Bertolt: *Rezolucja* (12/483) przeł. Janusz Szpotański.

Z języka portugalskiego

- BOFF Leonardo: *Kościół ubogich* (1/472-2/473) przeł. Henryk Siewierski.

Z języka rosyjskiego

- GROMOW W.: *Bez prawdy nie zwyciężysz* (7/478-8/479) przeł. Waldemar Kuczyński.

Z języka ukraińskiego

- MACKIW T.: *Problem ukraińskiej państwowości w publicystyce polskiej* (5/476) przeł. Józef Darski.

Noty biograficzne

- BOFF Leonardo, OFM (1/472-2/473).
 BURNHAM James (10/481).

Bibliografia

- Indeks autorów i tematów rocznika „Kultura” za rok 1987* (12/483).

Listy do Redakcji

- ACHMATOWICZ Aleksander (11/482). BENDER Ryszard (12/483). BIELECKI Kajetan (11/482). BONIECKI Adam, Ks. (12/483). BONIECKI Jerzy (11/482). BÓBR-TYLINGO Stanisław (6/477).

- CHAŁUBIŃSKA Aniela (12/483). CIOŁKOSZOWA Lidia (4/475, 9/480). CHLEBOWICZ Marek (5/476). CHOJECKI Mirosław (5/476). CHOJNOWSKI Andrzej (4/475). CHRUSZCZYŃSKI Piotr (12/483). DELAPERRIERE Maria (10/481). DUDAREW-OSSETYŃSKI Leonidas (12/483). DYBCIAK Krzysztof (4/475). GROT-KWASNIEWSKI Jerzy (9/480). HEITH Richard (12/483). HELLER Michał (3/474). HERTZ Paweł (9/480). JAGODZIŃSKI Zdzisław (6/477). JAMKA Lech (9/480). JELEŃSKI Konstanty A. (3/474). KACZMARSKI Jacek (12/483). KAMIŃSKI Wojciech Z. (9/480). KOWALEWSKI Janusz (1/472-2/473). KRYNICKI Ryszard (12/483). KWIATKOWSKA-VIATTEAU Aleksandra (9/480). LASOTA Irena (10/480). LICHTEN Józef (9/480). LIDA P. (7/478-8/479). LOZORAITIS jr. Statys (6/477, 11/482). LUDKIEWICZ Stanisław (11/482). ŁUKOMSKI Kazimierz (12/483). MARTINOWA Halina „Dorota” (1/472-2/473). MIANOWICZ Tomasz (12/483). MICHALSKI Marek (11/482). MIŁOSZ Czesław (5/476). MONDRY Janusz (7/478-8/479). MORAWSKI Dominik (9/480). MORELEWSKI Jan F. (9/480). NEKANDA-TREPKA Elżbieta (7/478-8/479). PELC Maksymilian (9/480). PLATER ZYBERK Eugeniusz, Ks. (11/482). POLONSKY Antony (11/482). POPLAWSKI Wiktor (3/474). PROKOP Marek P. (9/480). RĄDOMYSKI Jan (11/482). ROWIŃSKI Krzysztof (9/480). RUDZKI Marek A. (12/483). RUTKOWSKI Krzysztof (10/481). RYŃKIEWICZ Artur (1/472-2/473). SAS-SKOWROŃSKI M. (5/476). SIEMASZKO Z. S. (6/477, 11/482). SMOLAR Aleksander (11/482). STANKIEWICZ Zygmunt (11/482). SUSSMAN Leonard (11/482). SZEWCZUK Paweł (7/478-8/479). TABORSKI Bolesław (9/480). THOMPSON Ewa M. (3/474). ULATOWSKI Jan (7/478-8/479). WALCZAK Tadeusz, SZADKOWSKI Zygmunt (1/472-2/473). WAŁASZEWSKI Z. E. (5/476). WANDYCZ Piotr (10/481). WĄSIK Stanisław (10/481). WIĘCKOWSKI Andrzej (3/474). WITKIEWICZ Jan Stanisław (3/474). WYRWA Tadeusz (7/478-8/479). ŻELEŃSKI Władysław (7/478-8/479).

- Odpowiedzi Redakcji* (1/472-2/473, 4/475, 5/476, 6/477, 7/478-8/479, 9/480, 10/481, 12/483).

Dokumenty

- Niezależny ruch wydawniczy* (3/474).
Polityka wschodnia (6/477).

Różne

- Apel o pomoc chorym w Polsce* (1/472-2/473).
Cykl seminariów na tematy polskie w University of London (1/472-2/473).

- Errata* (9/480).
 Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej (10/481, 11/482).
 GIEDROYC Jerzy: *Wyjaśnienie* (9/480).
 Podziękowanie (1/472-2/473).
 REDAKCJA „KULTURY”: 35-lecie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa (5/476).
 Sprostowanie (10/481, 12/483).
 TOWARZYSTWO OPIEKI NAD POLSKIMI ZABYTKAMI: *Apel* (6/477).
 Wpłaty na Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego (1/472-2/473, 3/474, 4/475, 5/476, 6/477, 7/478-8/479, 9/480, 10/481, 11/482, 12/483).
 Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/472-2/473, 3/474, 4/475, 5/476, 6/477, 7/478-8/479, 9/480, 10/481, 11/482, 12/483).
 Wpłaty na NSZZ „Solidarność” (1/472-2/473, 3/474, 4/475, 5/476, 6/477, 7/478-8/479, 9/480, 10/481, 11/482, 12/483).
 Wpłaty na pomoc dla walczących w Kraju „Żeby Polska była Polską” (1/472-2/473, 3/474, 4/475, 5/476, 6/477, 7/478-8/479, 9/480, 10/481, 11/482, 12/483).
 Wyróżnienia POL-CUL Foundation (3/474).

Wydawnictwa książkowe Biblioteki „Kultury” w roku 1987

- Tom 424 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 79-ty). Str. 240.
 Tom 425 — Daniel Beauvois: *Polacy na Ukrainie 1831-1863*. Str. 296.
 Tom 426 — Jan Józef Lipski: *Szkice o poezji*. Str. 200.
 Tom 427 — Jarosław Marek Rymkiewicz: *Żmut*. Str. 288.
 Tom 428 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 80-ty). Str. 240.
 Tom 429 — Kazimierz Orłoś: *Historia „Cudownej meliny”*. Str. 160.
 Tom 430 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 81-szy). Str. 240.
 Tom 431 — J. M. Bocheński: *Sto zabobonów. Krótki filozoficzny słownik zabobonów*. Str. 128.
 Tom 432 — Kazimierz Brandys: *Miesiące 1985-1987*. Str. 192.
 Tom 433 — Czesław Miłosz: *Kroniki*. Str. 80.
 Tom 434 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 82-gi). Str. 240.

Dla orientacji Czytelników podajemy spis zawartości *Zeszytów Historycznych* wydanych w 1987 roku.

Zeszyt 79-ty — *Sprawa Bergu*; Piotr Wandycz: *Harriman a Polska*; Józef Mirski: *Problemy językowe w kościołach rzymsko-katolickich na Białorusi i na Ukrainie po drugiej wojnie światowej*; Marcin Polny: *Z literką „P”*; Rozmowa z Marianem Terleckim; Maria de Hernandez-Paluch: *Ja byłem krytyczny... Rozmowa z prof. dr. hab. Pawłem Bożykiem, kierownikiem wydziału KC PZPR, szefem zespołu doradców Edwarda*

Gierka; Karol Modzelewski: „Solidarność” w przededniu wojny; Krzysztof Rutkowski: *Najniższy sługa rosyjskich carów. Andrzej Towiański i Rosja*; Jerzy R. Krzyżanowski: *Z Radziwiłłem w piwnicach UB*; Władysław Żeleński: *Jerzy Łojek*; Janusz Kowalewski: „Moje zderzenie z bolszewikami we wrześniu 1939 roku”; *Rząd Rzeczypospolitej Polskiej od Narodu Polskiego*; Nerin E. Gub: *Próby rozmów sowiecko-niemieckich w 1943 roku*; Jerzy Drewnowski: *Pozbawienie generała Andersa obywatelstwa polskiego*.

Zeszyt 80-ty — Michał Giedroyć: *Chryścianizacja Litwy (pierwsze kontakty — XIII wiek)*; Tadeusz Wyrwa: *Polska i Europa środkowa w konspiracyjnej prasie francuskiej 1941-1944*; Anka Kowalska: *Folklor tamtych lat*; Tadeusz Pawłowicz: *Pierwszy rok wojny (fragmenty wspomnień) (I)*; Władysław Minkiewicz: *Wspomnienia 1939-1954 (I)*; Dr med. Roman Born-Bornstein: *Powstanie Warszawskie*.

Zeszyt 81-szy — Agata Tuszyńska: *W oczach Polaków. Polacy i Rosjanie. Życie codzienne w Warszawie w latach 1865-1905*; Emanuel Halicz: *Kraje skandynawskie wobec powstania styczniowego*; Maria Bartłowa: *Wspomnienia*; Tadeusz Pawłowicz: *Pierwszy rok wojny (II). W okupowanej Warszawie*; Władysław Minkiewicz: *Wspomnienia 1939-1954 (dok.)*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*; Tadeusz Wyrwa: *Ambasador Francji w Bukareszcie o sytuacji rządu polskiego w Rumunii we wrześniu 1939 roku*; Tadeusz Wyrwa (opr.): *Generał Sosnkowski o postawie Francuzów wobec ewakuacji wojska polskiego do Anglii w czerwcu 1940 roku*; Andrzej Suchcitz: *O dzieciństwie Edwarda Śmigłego-Rydza*; Ignacy Rom: *List Osóbki-Morawskiego do Eisenhouera*; Leon Popek: *Infutur Marian Tokarzewski*; Ludwik Łubieński: *Raport złożony Komisji gen. Modelskiego do zbadania przyczyn klęski wrześniowej*; *Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny w PRL*; Marek Kazimierz Kamiński: *Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne przed konferencją trzech mocarstw w Poczdamie (maj-czerwiec 1945 roku) (I)*.

Zeszyt 82-gi — A.P.: *25 lat „Zeszytów Historycznych”*; Stanisław Sosabowski: *Józef Rybicki*; Józef Rybicki: *Rok 1945*; Jerzy Łojek: *Historia nie jest obrazem czarno-białym*; Tadeusz Wyrwa: *Kościół i państwo w pierwszym dziesięcioleciu PRL (na podstawie raportów dyplomatów francuskich)*; Z. S. Siemaszko: *Jeńcy wojenni (ZSSR 1939-1941)*; Marek Kazimierz Kamiński: *Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne przed konferencją trzech mocarstw w Poczdamie (maj-czerwiec 1945 roku) (dok.)*; Gen. Józef Jaklicz: *Z zeszytów gen. Józefa Jaklicza*; Bohdan Tadeusz Urbanowicz: *Ze wspomnień dowódcy 10 Pułku Ułanów Litewskich*; Dr Stefan Mozolowski: *Przed zgonem Marszałka Józefa Piłsudskiego*; Józef Garliński: *Sprawa Józefa Hammera*; Krystyna Kersten: „Trylogia” *Stefana Korbońskiego*; Maria Danilewicz Zielińska: *Wokół Wielkiej Emigracji*; Z. S. Siemaszko: *Personalalia konspiracji warszawskiej*; Z. S. Siemaszko: *Listy oficerów Wojska Polskiego*; Piotr Wandycz: *Nowe książki*.

Wznowienia

- Tom 354 — Witold Gombrowicz, *Dziennik T. I*. Str. 304.
 Tom 355 — Witold Gombrowicz, *Dziennik T. II*. Str. 248.
 Tom 356 — Witold Gombrowicz, *Dziennik T. III*. Str. 216.

- Tom 128 — Marek Hłasko, *Piękni dwudziestoletni*. Str. 210.
 Tom 389 — Czesław Miłosz, *Dolina Issy*. Str. 196.
 Tom 339 — Czesław Miłosz, *Poezje T. II*. Str. 240.
 Tom 326 — Czesław Miłosz, *Zdobycie władzy*. Str. 160.

Wydania miniaturowe

Kultura numery od grudnia 1986 do listopada 1987 włącznie.

Numery *Kultury*: marcowy (3/474), wrześniowy (9/480) i grudniowy (12/483) miały po stron 176.
 Numer kwietniowy (4/475) *Kultury* miał dwa wydania.

SPROSTOWANIE

W chwili, kiedy numer *Kultury* był już na maszynach zauważyliśmy błąd w powyższym indeksie. Mianowicie na str. 166 w rozdziale „Utwory poetyckie” figuruje Ryszard KRYNICKI jako autor dwóch wierszy: „Przekreślony początek” i „Epitafium tyrana”. Otóż jedynie wiersz „Przekreślony początek” jest pióra Ryszarda Krynickiego, natomiast „Epitafium tyrana” jest to wiersz Wystana Hugh’a AUDENA, przełożony z angielskiego przez Ryszarda Krynickiego. Niestety nie mogliśmy już wstawić do spisu autorów nazwiska W. H. Audena. (REDAKCJA).



NOWOSCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 418 — ANDRZEJ SZCZYPIORSKI

POCZĄTEK

Nowa książka autora znakomitej „Mszy za miasto Arras” jest opowieścią w pewnym sensie historyczną. Za „początek” polskiej teraźniejszości Szczypiorski uważa Warszawę pod okupacją hitlerowską w rozlicznych aspektach. Opis losów bohaterów powieści jest historia niektórych korzeni polskiego „dzisiaj”: hitlerowski „początek” rzuca cień na komunistyczny „ciąg dalszy”.

Str. 160.

Cena F. 65,00.

TOM 419 — MAREK NOWAKOWSKI

«GRISZA, JA TEBIE SKAŻU...»

Piąta książka Marka Nowakowskiego w „Bibliotece Kultury” zawiera opowiadania: AMAZONKA, WIZERUNEK, „GRISZA, JA TEBIE SKAŻU...”, ZAKON KAWALERÓW MAZOWIECKICH, ROZMOWA I GLOBUS.

Str. 176.

Cena F. 70,00.

TOM 425 — DANIEL BEAUVOIS

**POLACY NA UKRAINIE
1831-1863**

**SZLACHTA POLSKA NA WOŁYNIU, PODOLU
I KIJOWSZCZYZNIE**

Z francuskiego przełożyli Ewa i Krzysztof Rutkowski „Za panowania króla Stanisława mieszkał ubogi szlachcic na Podolu”. Ilu ogółem mieszkano tam wtedy szlachciców ubogich i bogatych? Zapewne mniej więcej tyluż co w dobie Powstania Listopadowego: 140 tysięcy. Dalszych 270 tysięcy mieszkano na Wołyniu i na Kijowszczyźnie... Nikt jednak szczegółowo nie opisał historii unicestwienia całej grupy społecznej, którą była uboga szlachta na prawobrzeżnej Ukrainie... Historii zagłady pewnej swoistej kultury, zacofanej wprawdzie i która by uległa najpewniej powolnej erozji, ale którą zniszczyła kultura równie zacofana, tyle tylko, że władająca przemocą”.

(Z przedmowy Krzysztofa Pomiana)

Str. 296.

Cena. F. 120,00.

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

B.B., NYC — na opozycję polityczną — \$ 25,00	F. 135,00
Jadwiga Buko-Szreder, Kassel (RFN) — na pomoc ludziom walczącym przeciwko przemocy komunistycznej w Kraju — DM 10,00	F. 33,00
Krystyna i Włodzimierz Dietrich, Luxemburg — zamiast życzeń świątecznych	F. 150,00
E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL	F. 200,00
Grupa Pomocy „Solidarności” w Cleveland, OH (USA) (nadesłała Aleksandra Zduńska) — \$ 300,00	F. 1.702,00
A. i M. Obuchowiczowie, Fairfield, CT (USA) — na ruch oporu w Polsce — \$ 10,00	F. 49,00
Redakcja Polska radia szwedzkiego, Sztokholm — na prasę niezależną w Polsce — Krs 190,00	F. 180,50
Dr Zygmunt Stankiewicz, Trangsund (Szwecja) — z życzeniami świątecznymi dla przyjaciół w kraju i na emigracji — Krs 100,00	F. 95,00
Zbigniew Brzeziński, Waszyngton — honorarium za odczyt zorganizowany przez Północno-Amerykańskie Studium Spraw Polskich w Ottawie — \$ 200,00	F. 1.138,00

WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

Bezimiennie z Paryża — dla uczczenia pamięci Romana Jurysia, w 9-tą rocznicę Jego śmierci	F. 300,00
Thadeus J. Maczyński, Chicago, IL (USA) — \$ 25,00	F. 143,00
Wojciech M. Szczygielski, Markham, ON (Kanada) — \$ c. 30,00	F. 127,00

Edmund Stamberg, San José, CA (USA):	
— dla wydawnictwa KPN — \$ 20,00	F. 119,00
— dla wydawnictwa „Solidarności Walczącej” we Wrocławiu — \$ 20,00	F. 119,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trimestre 1987.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 8661.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1988			
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA : « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA : Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA : Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BELGIA : prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA : prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
DANIA : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
HOLANDIA : Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL : Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Nellor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. Donald M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C.; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiazkowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 10,00	\$ can. 50,00	\$ can. 98,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 45,00	K.S. 300,00	K.S. 500,00
U.S.A. : S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 480; półroczna — F. 250.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 431 — J. M. BOCHEŃSKI

STO ZABOBONÓW

Krótki filozoficzny słownik zabobonów

Z przedmowy: „Słownik ten zostanie z pewnością przyjęty z oburzeniem, ponieważ nazywam 'zabobonami' wiele rzeczy, uchodzących powszechnie za szlachetne, czcigodne, ba, święte”. Kilka przykładów takich haseł: altruizm, Oświecenie, filozofia chrześcijańska, postęp, idealizm, młodość, marksizm, pacyfizm, prawda (moja) światopogląd (naukowy).

Str. 120.

Cena F. 55,00



TOM 432 — KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

1985-1987

Tom IV — zakończenie cyklu

Str. 192.

Cena F. 80,00



TOM 433 — CZESŁAW MIŁOSZ

KRONIKI

Nowy tom poezji

Str. 80.

Cena F. 45,00



TOM 434 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY DRUGI

zawiera opracowania: A.P.: 25 lat „Zeszytów Historycznych”; Stanisław Sosabowski: *Józef Rybicki: Józef Rybicki: Rok 1945*; Jerzy Łojek: *Historia nie jest obrazem czarno-białym*; Tadeusz Wyrwa: *Kościół i państwo w pierwszym dziesięcioleciu PRL (na podstawie raportów dyplomatów francuskich)*; Z. S. Siemaszko: *Jeńcy wojenni (ZSSR 1939-1941)*; Marek Kazimierz Kamiński: *Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne przed konferencją trzech mocarstw w Poczdamie (maj-czerwiec 1945 roku) (dok.)*; Z zeszytów gen. Józefa Jaklicza; Bohdan Tadeusz Urbanowicz: *Ze wspomnień dowódcy 10 Pułku Ułanów Litewskich*; Dr Stefan Mozołowski: *Przed zgonem Marszałka Józefa Piłsudskiego*; Józef Garliński: *Sprawa Józefa Hammera oraz działy RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI*

Str. 240.

Cena F. 70,00